KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 5/103 1956



• «La Culture» • Revue mensuelle •

K. A. JELEŃSKI : **PO "TRZĘSIENIU ZIEMI"**

M. SPERBER :

DWUNASTEGO SIERPNIA 1952

NIEZNANA INICJATYWA PIŁSUDSKIEGO

SPIS RZECZY

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Maj-Mai 1956

INSTYTUT  LITERACKI

DALSZE WPŁATY NA DOM "KULTURY"

A. Borsukowski, Lyon (Francja)	300 fr.
Jerzy Krzeczunowicz, Addis Ababa (Etiopia)	1.000 "
W.A. Zbyszewski, Monachium (Niemcy) po raz trzeci	5.000 "
Anonimowo, Miami (USA)	750 "
Zdzisław Broncel, Londyn (Anglia)	4.000 "
Z. Balko-Niwski, South-Yarra, Vic. (Australia) ponownie ..	1.000 "
Czytelnicy „Kultury" w Polsce równowartość	550 zł

DZIĘKUJEMY

Imprimé en France

Po "trzęsieniu ziemi"

Stalin był zbrodniarzem, procesy polityczne krwawą maskaradą, więzienia polskie i sowieckie są wciąż jeszcze pełne niewinnych ludzi, ,,radosny świt'' okazuje się ,,mrokiem średniowiecza'', na jednym poziomie stawia się zbrodnie stalinistów i nazistów, socrealizm — to bujda, literatura ostatnich lat — to nędza, socrealistyczne malarstwo — to brudne i nieszczere ścierki. Wiedzieli o tym wszyscy, ale nikt nie śmiał pisnąć, częściowo z hipokryzji i oportunizmu, częściowo ze strachu. Oto co czytamy dziś w ,,Przeglądzie Kulturalnym'', w ,,Nowej Kulturze'', w ,,Życiu Literackim'', nawet w ,,Trybunie Ludu''. Nie inaczej by pisano gdyby Polska przeszła przez autentyczną rewolucję antystalinowską. Jeśliby się miało mierzyć polskie życie miarą literackich i prasowych dyskusji, można by pomyśleć że jest to dziś niemal wolny kraj. Dlatego należy opanować pierwszy odruch zdumienia i postarać się o trzeźwą i obiektywną ocenę tych obrazoburczych wystąpień. O ustalenie jakie są granice wolności w dyskusji, do jakiego stopnia jest ona inspirowana, jakie jest miejsce tej dyskusji w procesie historycznym którego jesteśmy świadkami. Zacznijmy od przeglądu materiału. Są to częściowo referaty i publiczne wystąpienia na XIX Sesji Kultury i Sztuki, która odbyła się w dniach 24 i 25 marca, częściowo echa XX Zjazdu partii komunistycznej Z.S.S.R. i przemówienia Chruszczowa zadającego ostateczny cios kultowi Stalina, przemówienia które, jak się dowiadujemy, jest doręczane członkom partii nie tylko w Z.S.S.R., ale i w krajach ,,demokracji ludowej'' w formie broszury, dziwacznie nazwanej ,,informacja tow. Chruszczowa'' pt. ,,O kulcie jednostki i jego następstwach''. Trudno jest o ścisły podział tematyczny tego dużego materiału. Powtarzają się w tych referatach i artykułach niemal zawsze te same motywy: czym były usprawiedliwiane przeszłe zbrodnie, jaka jest odpowiedzialność moralna tych którzy zbrodnie te żyrowali, jakie niesprawiedliwości są jeszcze do naprawienia, ku czemu idziemy? Poruszane są często najbardziej

dla Polaków drażliwe tematy, te które były dotychczas spychane w podświadomość narodu, powodując bolesne kompleksy: sprawa zsyłki Polaków z ziem wschodnich do sowieckich łagrów, sprawa Powstania Warszawskiego, sprawa prześladowania byłych żołnierzy Armii Krajowej, by wymienić parę przykładów.

TRZĘSIENIE ZIEMI

Mimo że są nieśmiałe próby przedstawienia obecnej dyskusji jako ,,samorodnej'', mimo że niektórzy mówcy i pisarze podkreślają trochę naiwnie że oni ,,nie dlatego że XX Zjazd'' — wszystko to nie byłoby oczywiście do pomyślenia bez tego ,,trzęsienia ziemi'' o którym pisze przedwojenny komunista Władysław Machejek w ,,Życiu Literackim'' z dnia 8 kwietnia:

,,Oto doszła mnie informacja tow. Chruszczowa ,,O kulcie jednostki i jego następstwach''. Osoba Stalina została obnażona od tej strony, od której jej nie znałem.

Stalin brutalny, Stalin nie liczący się ze zdaniem nawet Politbiura. Stalin chorobliwie podejrzliwy, Stalin podporządkowujący teorię o zaostrzaniu się walki klasowej ugruntowaniu swej niepodzielnej władzy. Czystki. Łagry dla komunistów. Stalin nie zwołujący ani Komitetu Centralnego ani Zjazdu... Stalin, który nie przygotował Kraju Rad do wojny, bo wierzył Hitlerowi. Stalin, dopisujący sobie pochwały. Stalin, ulegający pochlebcom i kanalii Berii. Stalin w ostatnich latach życia zżerany paroksyzmem zarozumiałości, co groziło zwartości obozu socjalistycznego i międzynarodowego ruchu rewolucyjnego...

...Nie mogę się dziś rozgrzeszyć niewiedzą o łagrach w ZSRR. Nie mogę się rozgrzeszyć niewiedzą o wywózce Polaków z ,,kresów'' na Sybir i pod biegun, co robiło NKWD, prawie nigdy nie dla jakichś racji klasowych. A więc dla jakiej racji?! Zresztą działo się to nie tylko z Polakami. Wcale nie mogę się rozgrzeszyć wiarą w winy Politbiura KPP, którego członkowie zostali zlikwidowani w ZSRR. Zastanawiałem się, dlaczego tak późno i tak mało zrzucano broni radzieckiej naszym oddziałom GL—AL. Zdaje mi się, że przestrzeń dla samolotu w konkretnej sytuacji 1943 roku nie była dłuższa na przykład z Charkowa nad lasy lubelskie, od przestrzeni z Palermo w to samo miejsce dla samolotów angielskich, które zrzucały broń dla AK. Gwałtownego bicia serca dostawałem na myśl, że działają stare podejrzenia i nie wierzy się nawet PPR, wyrosłej z pnia KPP, na którą rzucono hańbę prowokacji...

...To samo myślałem przy sprawie Gomułki, Spychalskiego i wielu innych towarzyszy, starych komunistów, których nie błędy pogrążały w oczach Berii, ale to, że nie zgięli się do trepaka przed jego przedstawicielem...''

MITOLOGIA I PRAWDA

Intelektualista Jan Kott interpretuje ,,trzęsienie ziemi'' bardziej abstrakcyjnie w swym referacie wstępnym do dyskusji na XIX Sesji Kultury i Sztuki (,,Przegląd Kulturalny'' z 11-go kwietnia):

„W ciągu ostatniego piętnastolecia marksistowskie ujmowanie procesu historycznego ustępowało coraz bardziej ujęciu pragmatycznemu. Jak za dobrych lat szczęśliwej burżuazji byliśmy skłonni powtarzać za Popem, że wszystko co jest, jest dobre, że wszystko co jest, jest słuszne, że wszystko co jest, jest konieczne...

...Przy pomocy pozornie tej samej aparatury i tych samych pojęć dążyliśmy nie do poznania prawdy, ale do wytłumaczenia rzeczywistości. Do wytłumaczenia i do usprawiedliwienia. Za wszelką cenę! Nawet za cenę prawdy.

I tak w naszych oczach, z roku na rok coraz bardziej, historia współczesna stawała się wielką mitologią. Jeśli zawadzały w niej fakty, zmieniano fakty, jeśli zawadzali jej rzeczywiści bohaterowie, wyparowywali.

Narzucona teza, że każdy z etapów rewolucji i budowy socjalistycznego państwa jest zawsze krokiem naprzód, musiała prowadzić do przyznania atrybutów boskiej nieomylności kierownictwu i temu, który to kierownictwo reprezentował. Jeżeli w historię wprowadza się Boga, musi się również wprowadzić i diabła. Zmitologizowaniu postaci wodza odpowiadać musiało zmitologizowanie samej walki ideowej i urojonych lub prawdziwych przeciwników. Posłużyła temu teza o zaostrzaniu się walki klasowej i pojęcie „wrogów ludu". Mitologia rodzi inkwizycję. Inkwizycja wspiera mitologię. Każdy proces polityczny stawał się procesem o czary...

...Literatura, której nie wolno było mówić o zbrodniach, literatura, która musiała milczeć o procesach, wstrząsających sumieniem, a które były codzienną rzeczywistością wielu lat, literatura, która miała zamknięte usta, musiała brnąć coraz dalej i głębiej w kłamstwo, tworzyć coraz bardziej fikcyjną wizję rzeczywistości...

...Dla sumienia i umysłu były to lata ponure i wielu z nas przeżywa je jako ciężką sprawę osobistą, jako sprawę, z której przed samym sobą i nie tylko przed samym sobą, musi się tłumaczyć. Zagubiliśmy w nas samych to, co było porywem rewolucyjnym. Utraciliśmy przeświadczenie, że wszystko, co się dzieje i co robimy, ma służyć budowie przyszłego społeczeństwa, nie wielkiej historycznej abstrakcji, tylko człowiekowi. Dawaliśmy swoją moralną zgodę na krzywdę i dawaliśmy swoją moralną zgodę na zbrodnię. I z tego niewątpliwie będziemy się musieli tłumaczyć...

...Proces obumierania ideologii i obumierania literatury, który nastąpił po roku 1949 i tak silnie i boleśnie dotknął nasze środowiska twórcze, nie doprowadził jednak do ich zupełnego uwiądu. W Polsce, bardziej może niż w jakimkolwiek innym kraju naszego obozu, dążenia do oczyszczenia literatury i sztuki z kłamstwa i niemocy umiały przezwyciężyć stawiane im opory.

I musimy powiedzieć z wielkim smutkiem, że w tym procesie odnowy na pewno nie wolnym od błędów, ale przecież w swojej zasadniczej linii twórczym i ożywczym, nie otrzymaliśmy ze strony kierownictwa partyjnego ani pomocy, ani zachęty. Przeciwnie, polityka kierownictwa wyraźnie oddziaływała hamująco na wielki proces odnowy literatury i sztuki, który zachodził w latach ostatnich. Na proces, który podobnie jak wszystkie autentyczne przemiany literackie, świadczył przecież o głębokiej rozterce wewnętrznej, o niepokoju serc, o naprawdę bliskim związku pisarzy z Partią..."

ODPOWIEDZIALNI... ALE NIE WSZYSCY

Karol Estreicher odpowiada Kottowi, że nie wszyscy w Polsce muszą bić się w piersi:

„Napisaliśmy, zrobiliśmy, popełniliśmy" — nie ja, to trzeba sobie jasno i wyraźnie powiedzieć, nie wszyscy z nas, niektórzy z nas — kto mniejsza o to. Nie dla sporu to podnoszę, ale trzeba o tym pamiętać, bo to ma i powinno mieć pewne konsekwencje. To trudno. Nie myśmy w życiu postępowali w ten sposób i nie myśmy narzucali naszym uczniom fałszywy pogląd o impresjonizmie francuskim, albo z katedr naszych szkół artystycznych wydziwialiśmy różne teorie, które nie miały żadnego związku z życiem i prawdą o sztuce..."

DLACZEGO JEDLI TĘ ŻABĘ?

Witold Wirpsza (dyskusja na Sesji) opowiada, że w ciągu „jakże nerwowego rachunku ostatnich ubiegłych lat" przyjaciel jego wstał i zapytał: „No dobrze, ale dlaczego tę żabę jedli?" I Wirpsza odważniej od innych dokonuje rachunku sumienia („Dr Faul" — to światły inkwizytor partyjny z „Obrony Grenady" Brandysa):

„Kłamaliśmy. Wielu dzisiaj mówi — kłamaliśmy, ściślej — mówiliśmy jakąś nieprawdę. Jak ta nieprawda wyglądała? Jak do nas przyszła? Jaki był proces likwidacji zwątpień? Proces fideizacji sumienia? Czy rzeczywiście każdy z nas miał jakiegoś dra Faula, któremu uległ? I — dalej, czy rzeczywiście byliśmy tak odcięci od wszelkiej informacji o zwyrodnieniach i zbrodniach minionego okresu, że mamy prawo mówić jak owi Niemcy, którzy po wkroczeniu wojsk sprzymierzonych zapewnili usłużnie — „Dopiero od was dowiadujemy się, że był Oświęcim".

Czy był taki okres w moim życiu, kiedy byłem naprawdę przekonany o tym, że bohaterowie procesów moskiewskich byli rzeczywiście zdrajcami i agentami faszyzmu. Nie, zawsze miałem co do tego niejakie wątpliwości, albo, mówiąc oględniej, odczuwałem pewien niepokój. Czy niepokój ten likwidował jakiś dr Faul. Zapewne — trochę i dr Faul. W głównej mierze jednak ja sam likwidowałem w sobie ten niepokój. I dlatego, że przez dłuższy czas stale odbywała się we mnie ta likwidacja — dlatego jadłem tę żabę".

...O, słówko, „obiektywnie". Gdyby Lenin wiedział, jakich ono narobi spustoszeń, będąc nadużywanym — wyrzuciłby je na pewno ze swego słownika...

...Sądzę, że chodzi tu o usprawiedliwienie naszej konieczności, samego procesu historycznego. I pojawia się słówko: „obiektywnie", słówko, które użyte niewłaściwie, staje się fetyszem, groźnym fetyszem fatalizmu.

Na tej zasadzie trockiści musieli być szpiegami, czy chcieli, czy nie. Niezależnie od swojej woli, a choćby i wbrew swojej woli — ponieważ byli nimi „obiektywnie"...

...A nade wszystko baliśmy się — i też o tym powiedzieć trzeba, bo był nacisk strachu — baliśmy się sami zostać żabami, które by ktoś pożerał. Więc — proces zakłamywania się. A za to, co się mnie tyczy — pragnę osobiście ponosić odpowiedzialność..."

SPRAWA ARMII KRAJOWEJ

Sprawę AK poruszono w Polsce (w sensie rewizji podejścia do tego problemu) po raz pierwszy w marcu 1956. Ukazał się

w młodzieżowym piśmie „Po Prostu” list młodych (22-25 lat) publicystów Ambroziewicza, Namiotkiewicza i Olszewskiego pt. „Na spotkanie ludziom z AK”. W kilka tygodni później, w „Nowej Kulturze”, artykuł byłego „Akowca” Jerzego Piórkowskiego z na pół bolesnym, na pół ironicznym akcentem :

„Wszystkie nasze rany pogoiły się już dawno; co było do uratowania z cielesnej powłoki, jakoś tam żyje i wegetuje. Że gdzieś tam w piersiach powstał bolesny guz żalu do świata za niezrozumienie? No i cóż z tego, zarósł go pancerz urzędowej dialektyki”.

Artykuł kończył się propozycją postawienia w Warszawie wielkiego wspólnego pomnika A.L. i A.K. Temat ten podjął Edmund Osmańczyk w audycji radiowej, po której otrzymał szereg listów od słuchaczy. Jego artykuł w „Nowej Kulturze” z 8 kwietnia pt. „Wstęp do poważnej rozmowy” jest reasumpcją dotychczasowej dyskusji. I tutaj ślad zażenowania że sprawa wychodzi na światło dzienne właśnie teraz :

„Na zachodzie wyobrażają sobie, że dyskusja o AK rozpoczęła się u nas w taki sposób, iż po XX Zjeździe nasze Biuro Polityczne otrzymało z Moskwy instrukcję : „U was w przeszłości był ze znanych powodów zły stosunek do AK. Skrytykujcie więc to w waszej prasie!” Z kolei do KC PZPR wezwano redaktorów, dano dokładne instrukcje i „hejże, no śmiało!” I u nas zresztą spotkałem podobnie myślących obywateli, ironicznie wszystko przypisujących inspiracji XX Zjazdu, w sensie „Moskwy”.

I tutaj także taktyczne połączenie A.K. z A.L. i z Batalionami Chłopskimi :

„...Przecież w więzieniach z podłych prowokacji stawali nad krawędzią obłędu nie tylko AK-owcy, lecz AL-owcy i BCh-owcy i weterani wojny hiszpańskiej i żołnierze armii polskich, stworzonych na obczyźnie, na wschodzie i na zachodzie. Mówię tu wyraźnie o tych absolutnie — jak dziś wiadomo — *niewinnych* komunistach, socjalistach, ludowcach i bezpartyjnych weteranach walk zbrojnych z faszyzmem, osadzonych pod fałszywymi oskarżeniami w więzieniach”.

Co można teraz zrobić?

„Oto trzeba nam z pomocą całego społeczeństwa tropić i zwalczać wszystkie dalej ciągnące się czy tu, czy tam, małe czy wielkie krzywdy robione ludziom za to, że wpisali do swej ankiety personalnej prawdę, iż walczyli z hitlerowskim okupantem w szeregach Armii Krajowej”.

Ale najciekawsze są ustępy z listów, które otrzymał Osmańczyk od słuchaczy radiowych. Niektóre wysłane zostały anonimowo, inne podpisane (autor nie cytuje zresztą nazwisk). Po raz pierwszy do prasy krajowej zaczyna przenikać jakiś nieśmiały odgłos opinii publicznej (równoważony, być może, „pozytywnymi” wypowiedziami). Listy cytowane przez Osmańczyka, pewne aluzje w innych artykułach, pozwalają nam dostrzec coś z reakcji zwykłych ludzi na zachodzące przemiany :

„,...Rehabilitacja winna przyjść od czynników oficjalnych nie tylko w formie artykułu w piśmie „Po prostu", czy też przez wypowiedzi Ob. Osmańczyka. Wtedy będziemy przeświadczeni, że naprawdę uczciwie czynniki oficjalne chcą naprawić krzywdę, jaka spotkała w różnych postaciach bytowych członków ruchu oporu z czasów okupacji hitlerowskiej. Ludzi takich, których tego rodzaju krzywdy spotkały, liczymy nie na setki, czy tysiące...

Nawiązując do powyższego, rehabilitacja winna nastąpić przez wypuszczenie na wolność wszystkich członków ruchu oporu z okresu okupacji hitlerowskiej, zasądzonych niesłusznie i przebywających w różnych więzieniach i obozach izolacyjnych.

Następnie czynniki oficjalne to znaczy Partia i Rząd winny definitywnie załatwić sprawę całkowitej repatriacji byłych członków AK z terenu Rosji. Jeżeli konkretne kroki zostaną podjęte przez oficjalne czynniki w tej sprawie — to wszystko stworzy inną atmosferę i inny klimat, który może przyczynić się do scementowania społeczeństwa"...

(Członkowie Ruchu Oporu z okresu okupacji hitlerowskiej)

Lub głos bardziej jeszcze pesymistyczny :

„...Jakiekolwiek próby poprawy czy też naprawy tych spraw są nie tylko spóźnione, ale już przedawnione. Dziś nie ma już kogo leczyć, bo nawet tacy jak ja mówią Wam, że wiedzą, dyplom uzyskany w Polsce Ludowej nie przysłania już i nie naprawia raz złamanego życia. Moim zdaniem, pozostawcie sprawę byłych AKowców jak i ich samych tym, którym ich zleciliście, niech dokonają dzieła do końca, który już jest widzialny każdemu. Za walkę, za trud, za łzy i morze krwi, my uwieńczeni tylko symbolem „AK" nie możemy przyjąć tej o dwanaście lat spóźnionej dobroduszności partii i rządu. Nie wolno jest Wam domagać się książek, scenariuszy czy sztuk teatralnych, wskrzeszających najpierw podeptanych, oczernionych, a później zapomnianych ludzi z „AK"...

(Złamany z symbolem „AK")

A czyja to wina ?

„...Winę za ten stan rzeczy składa Pan na barki „personalnych" dopatrujących się w rubrykach ankiet zbrodniczości akowskiego elementu. Ale czy twórcami wzorów ankiet byli owi personalni?"

(podpis i adres)

Pomijamy oczywiście liczne listy wymyślające Osmańczykowi od „pachołka Free Europe" za tę próbę „rehabilitacji faszystów". Dają one obowiązującą „równowagę".

NEGACJA KOMUNIZMU

W liście otwartym Wandy Leopold do Wiktora Woroszylskiego (ten sam numer „Nowej Kultury") znajdujemy też kilka informacji o nastrojach pewnych grup społecznych :

„...W tej chwili jak każdy komunista ponoszę też część szerszej odpowiedzialności. Muszę się stykać osobiście i z cichą Schadenfreude, maskowaną

„dobrotliwym" współczuciem: tyle ci zmarnowano cennego entuzjazmu; stykam się i z całkowitą negacją wartości międzynarodowego ruchu robotniczego i negacją możliwości zachowania czystości moralnej w ruchu politycznym. Muszę też na to wszystko i za to wszystko odpowiadać. Myślę, że mam prawo mówić z Tobą na równi..."

„Całkowita negacja wartości międzynarodowego ruchu robotniczego". Czytaj: otwarty antykomunizm. U kogo? Chyba nie u „reakcjonistów", nie u „wewnętrznej emigracji", nie u „byłych ludzi" — ci nie mogą interesować Wandy Leopold i ci antykomunistami byli zawsze. A więc o kogo chodzi? Może o komunistów, którzy nie zdołali przenieść swej zabobonnej wiary przez „trzęsienie ziemi", może o robotników, może o młodzież... „Negacja możliwości zachowania czystości moralnej w ruchu politycznym". Czytaj: jeśli takie były zbrodnie Stalina, to czy można zaufać w czystość intencji jego następców?

CZY UCZYĆ SIĘ OD GEYERÓW?

Wolna, czy wolniejsza dyskusja o literaturze, o sztuce, nawet o teoretycznych zagadnieniach komunizmu pojawiała się już w Polsce od paru lat. Nowym objawem jest rozszerzenie wolności dyskusyjnej na dziedziny konkretne, na życie gospodarcze, na byt robotników. Dotychczas istniała tu wyłącznie dyskusja fikcyjna, dotycząca szczegółów i odgrywająca rolę częściowo klapy bezpieczeństwa, częściowo „podniety" do wzmożenia produkcji. Pisano o złym funkcjonowaniu fabryki guzików, o złej kuchni w robotniczej stołówce, o bałaganie w hostelach. Ale samych zasad organizacji życia gospodarczego i społecznego nikt nie ośmielał się poddać w wątpliwość. Artykuł Bohdana Drozdowskiego pt. „Niekonsekwencje Gospodarcze" ukazał się w „Kronice" i został przedrukowany w „Życiu Literackim" z dnia 25 marca 1956. Drozdowski zastanawia się nad przyczyną upadku, w ostatnich czasach, mitu „współzawodnictwa pracy":

„...W prasie pełno było fotografii przodowników pracy, ludzi, którzy wychodzili z suteryn do jasnych mieszkań, wstawiali drogie meble, najlepsze radioodbiorniki, kupowali sobie „setkowe" ubrania. To było znamię nowego czasu tym kneblowaliśmy usta naszym wrogom. Ostatnio wszystko to znikło ze szpalt gazet, z audycji radiowych. Ostatnio zaczynamy nagle bełkotać, że jest nam trudno. Obawiam się, czy to nie jest bardziej demoralizujące, niż malowanie wszystkiego na słonecznie. Zadaję sobie pytanie, skąd się wziął ten nowy barwnik naszej propagandy? Spróbuję na to odpowiedzieć.

Otóż zanim rozwinę swoje przypuszczenia, powiem, że wysoka wydajność pracy, ta oś wszelkiego postępu, przestała się ludziom opłacać. Wydajność można powiększać tylko wówczas, jeśli ludzie produkujący będą mieli z tego wzrostu jakiś profit dla siebie. Inaczej żadne szczytne hasła i idee nie pomogą. Nikt nie chce pracować dużo i zarabiać mało.

„Im więcej ukrywam rezerw — mówił pewien mój znajomy tokarz — tym więcej i dłużej mogę dobrze zarabiać. Wszyscy wiedzą, że na

pierwszego maja, na dwudziestego drugiego lipca, na rocznicę październikowej rewolucji, na zjazd Ligi Kobiet i TPP-R trzeba będzie podejmować zobowiązania. To już przestało bawić, przestało emocjonować, jak za pierwszych lat. Zanadto zbiurokratyzowano współzawodnictwo. Oczywiście, każdy, komu zależy na dobrej opinii w organizacji partyjnej, w radzie, w dyrekcji, musi przecież na wszelką rocznicę coś tam dorzucić do swej ,,wydajności". Gdyby pracował przez cały rok na pełnych obrotach, a pracowałby na pewno, gdyby mu się to opłacało, to, przepraszam, skądby wziął te dodatkowe, majowe czy lipcowe procenty? Otóż, mój miły, dyrekcja wie z góry, że plan to norma plus zobowiązania rocznicowe. Centralny Zarząd wie to samo i Ministerstwo to samo. Wszyscy zgodnie akceptują tu wzajemne ,,kiwanie gości", żeby tylko móc w odpowiednim momencie wysłać dumne sprawozdanie: ,,podjęto majowych (lipcowych) zobowiązań na tyle a tyle złotych" (podpisy nieczytelne)".

Przyczyna jest jasna: robotnikom *nie opłaca się* szybsza produkcja:

,,...Jasne było, że moim przyjaciołom nie opłaci się puszczać maszyny szybciej, produkować więcej, bowiem natychmiast pociągnęłoby to za sobą podwyższenie czasów jednostkowych, a zatem — przy zwiększonym wysiłku, mniejsze zarobki. Fabryka w tym czasie odczuwała poważne trudności. Plany wykonywane były ledwo-ledwo, premie stały się rzadkością. Biedzili się sekretarze POP i radcy zakładowi, czemu tak źle się dzieje, i — udawali, że nic nie wiedzą. A przecież mogli powiedzieć robotnikom: Towarzysze! Kładziemy kres nieustannemu podnoszeniu norm. Usztywniamy normy, powiedzmy na lat trzy, pokażcie, co potraficie. Wówczas, wierzcie mi, następny miesiąc kształtowałby się pięciokrotnie korzystniej dla zakładu, dla państwa i dla samych robotników. Ale tak nikt, nigdy i nigdzie w Polsce nie powiedział. Albowiem to byłaby kontrrewolucja i konserwatyzm".

A zresztą czy te osławione ,,współzawodnictwo" było oparte na uczciwych danych?

,,...Mało kto dziś rozprawia o sławnych lwach produkcji. Zresztą, być może także dlatego, że wielu z nich pracowało przy pomocy ,,murzynów", że fabryki pragnąc wykazać się słynnymi nazwiskami, sztucznie rozdymały ich procenty, że dawały im całe brygady pomocnicze. To było współzawodnictwo na pokaz i to przygasiło robotniczy entuzjazm".

Ale Drozdowski idzie dalej w swojej krytyce. Podnosi on zagadnienia opłacalności obecnego systemu:

,,...Nie od dziś krąży po Łodzi powiedzonko, że gdyby stare Geyery, Scheiblery, Poznańscy otrzymali przy obecnym nakładzie kosztów własnych obecną produkcję — to by z torbami poszli na dziady. Zastanawiające to powiedzonko i chyba niezupełnie bez racji. Geyerowie nie mieli tak potwornej machiny biurokratycznej. Geyerowie nie mieli referentów od współzawodnictwa, a przecież każdy tkacz wam powie, że od Geyera można by się było niejednego nauczyć".

A, co ciekawsze, stawia, co prawda jeszcze dość nieśmiało, kluczową i zasadniczą kwestię niezależności związków zawodowych, jeden z punktów jugosłowiańskiej reformy po zerwaniu ze stalinizmem:

„...Obowiązkiem polemisty jest wysunąć własne postulaty. A więc: po pierwsze — jestem zdania, że należy odbiurokratyzować współzawodnictwo. Zwolnić wszystkich referentów, kierownictwo złożyć w ręce związków zawodowych. Związki zaś nie mogą stanowić martwej komórki rejestrującej, muszą stać się aktywnym przedstawicielem interesów mas robotniczych. Bez zgody związków zawodowych, zasięgających nieustannie rady załóg robotniczych, nie mogą być podwyższone normy".

KLASY „BEZKLASOWEGO SPOŁECZEŃSTWA"

O istnieniu klas w ramach społeczeństwa „socjalistycznego" wiedzieliśmy od dawna. Ale oto przykład zaczerpnięty z satyrycznego artykułu pt. „Przemówienie inauguracyjne na otwarcie nowego sklepu specjalnego przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie" („Nowa Kultura", 8 kwietnia). „Sklepy specjalne", są jak wiadomo instytucją stworzoną dla elity partyjnej i dla uprzywilejowanych przez reżym osobistości:

„...Myśl tworzenia sklepów specjalnych, do których dostęp mają nieliczne, szczególnie uprzywilejowane grupy pracowników oraz ich znajomi, wyrasta bezpośrednio z ducha epoki oraz realnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Jest to myśl pod wieloma względami przekonywająca, zadziwiająca swoją klarownością, prostotą i logiką.

Być może w tym przytulnym pomieszczeniu stwierdzenie to zabrzmi niewłaściwie i anachronicznie, jednakże faktem jest, że tak zwane społeczeństwo, to znaczy ludzie którzy chodzą po ulicy za firankami naszego sklepu, znajduje się w dość trudnej sytuacji aprowizacyjnej. ... Celem naszym jest jak najsurowsze odseparowanie się od tej pod wszelkimi względami niekorzystnej atmosfery. Pomaga to nam szerzyć w masach zdrowy optymizm, zdobyć — przez oddalenie — należytą perspektywę wobec trosk narodowych, co z kolei znakomicie odbija się na podejmowanych przez nas decyzjach, wolnych od nadmiernego pośpiechu, pochopności i niecierpliwości, będącej udziałem wielu ludzi z tak zwanego społeczeństwa. A cóż bardziej potrzebne jest narodowi budującemu socjalizm, jak spokój, równowaga ducha i tak ułatwiający życie radosny uśmiech na twarzy?"

„WYCHODZIMY Z MROKÓW ŚREDNIOWIECZA"

„Mroki Średniowiecza" — to tutaj ostatnie lata „Polski Ludowej". Cytata zaczerpnięta z przemówienia Antoniego Słonimskiego na XIX Sesji Kultury i Sztuki. Odnajdujemy tu dawnego Słonimskiego. Ciętość, ironia, gorycz, autentyczny liberalizm — wszystko godne „Kronik Tygodniowych" w przedwojennych „Wiadomościach Literackich".

„Historia filozofii mało zna okresów, które by tak jak lata ostatnie pogłębiły nietolerancję. Prześladowania myśli krytycznej w początkach Odrodzenia czy później w wieku siedemnastym i osiemnastym wydają się niemal sielanką w porównaniu do czasów, które przeżywaliśmy i które powiedzieć możemy z ulgą — odchodzą".

A oto jak Słonimski rozprawia się z socrealizmem :

,,Pierwszym karygodnym spaczeniem i odstępstwem od klasyków marksistowskich był zjazd pisarzy radzieckich w 1936 roku. Wtedy to opierając się na lekkomyślnych opiniach Gorkiego, wyzyskując jego autorytet pisarski, stworzył Żdanow tezy realizmu socjalistycznego i to precyzyjne narzędzie do niszczenia sztuki rozdał urzędnikom, którzy ze smakiem i gorliwością zaostrzoną strachem, wykonywali lat dwadzieścia swój niszczycielski proceder''.

Ale Słonimski nie poprzestaje na tym. Pierwszy odważa się powiedzieć że dwudziestolecie polskiej niepodległości było okresem bujnej i liberalnej twórczości :

,,Warto przypomnieć, że w owym okresie Kruczkowski wydał ,,Kordiana i Chama'', Broniewski pisał swe najlepsze wiersze. Warto przypomnieć że cała wspaniała działalność teatralna Leona Schillera zamyka się w okresie XX-lecia, że najlepszy scenograf polski Władysław Daszewski w owych czasach pracował chlubnie dla sceny polskiej.

Wiemy i skonstatować to musimy z goryczą, że w Polsce Ludowej zniszczono Schillera, Daszewskiego nie wystawiano na wystawach międzynarodowych. Ograniczam się tu umyślnie do działalności polskich artystów skrajnej lewicy i członków Partii Komunistycznej. Koledzy nasi : Stande, Wandurski, Bruno Jasieński nie w polskich zginęli więzieniach''.

BRUDNE I NIESZCZERE ŚCIERKI

Równie ostro jak z literaturą, rozprawiono się na XIX Sesji z socrealistyczną sztuką :

Poeta Julian Przyboś :

Wiemy wszyscy, że nie można teraz robić Gierasimowa, że nie można budować takich słoniowato-żyrafich budowli jak Pałac Kultury i Nauki, że to jest karykatura, a nie sztuka socjalistyczna. O tym wszyscy wiemy, tak dziś myślimy wszyscy''.

Malarz Zbigniew Pronaszko :

,,Jak ten realizm wielu rozumiało — pamiętamy wszyscy: temat najbliższy, nieraz z okna — traktor, cegły, kołchoz, no i fabryki, fabryki, fabryki. Napisy na obrazkach — tytuły sążniste — wszystko to omal z dokładnością aparatu fotograficznego, w szarym błotnistym sosie.

Odpowiednio też wyglądały wystawy : pokaz brudnych ścierek o bardzo niewybrednej i nieszczerej tematyce''.

A malarz Tadeusz Kantor nawołuje do zerwania z fałszywie pojętym mitem ,sztuki narodowej''. ,,Realizmowi'' Matejki przeciwstawia... unizm Strzemińskiego

,,Chciałbym jeszcze wypowiedzieć się na temat sztuki narodowej, ponieważ ta sprawa jest dość niejasno postawiona, a wiąże się z pojęciem nowoczesności. W dzisiejszych czasach pojęcie sztuki narodowej nieco się zmieniło. Dziś można mówić o sztuce internacjonalnej, dlatego że trudno jest

stworzyć taką sztukę, która byłaby poza zasięgiem ogólnoświatowym. To jest niemożliwe. Sztuka narodowa powstaje wtedy, jeżeli dany naród stwarza kierunek, który obowiązuje na całym świecie. Tak było ze sztuką włoską, holenderską czy francuską. My w naszej historii stworzyliśmy tylko jeden narodowy kierunek, to był unizm Strzemińskiego, za granicą mało znany, ponieważ nie wykorzystaliśmy go propagandowo. Nie mówię, czy to jest słuszne. Ale taki kierunek powinien być rozreklamowany, mówiąc językiem handlowym”.

STALINISTA I AGENT

Wśród zastanawiająco swobodnych i odważnych przemówień na XIX Sesji, jedno było odważne swoiście: obrona Stalina przez Ludwika Maja:

„Dzisiaj ja nie mogę się pogodzić z tym co mówią o Stalinie, z którego imieniem na ustach ginęli przecież żołnierze radzieccy i nasi ludzie. Ja osobiście nie mogę się z tym pogodzić, dlatego, że Stalin mnie wyprowadził na tę drogę, która mnie dała prawo do bicia się z różnymi kacykami. To dało mi siłę. Nieraz złamany trudnościami, do północy czytałem dzieła Stalina, żeby znowu bić się o to, co słuszne. I uzyskiwałem zwycięstwo — w wielu wypadkach”.

W obecnej sytuacji rola „reżymowych katolików” wydaje się mocno nadwyrężona. Może tego rodzaju dywersyjni agenci będą teraz mniej potrzebni. Toteż najbardziej hipokryzyjny ton, najbardziej przypominający wczorajsze samoponiżenia odnajdujemy u Zygmunta Lichniaka. Wolność?

Przecież on wybrał już ją dawno... w socjalizmie:

„Wybrałem wolność. Wolność w socjalizmie. Surową, niełatwą, często bolesną, ale — według mnie — najlepszą, jaką ma do zaprojektowania świat współczesny, jedyną, która jest moralnie uzasadniona. Wybrałem tę wolność znając i akceptując truizm, że jest ona rozumieniem konieczności. Mało tego — wartość tej wolności widziałem i widzę w randze spraw, które awansowały w jej kategoriach do stopnia konieczności nie tylko społecznych, politycznych, lecz także moralnych. Nie trzeba przypominać imion tych spraw znanych w skrótowych określeniach jako dyktatura proletariatu, walka klas, wyzwolenie ludu, dobro narodu, godność człowieka”.

„A TERAZ SĄDŹCIE NAS...”

To był chór. Najciekawszy jest głos dyrygenta. W przemówieniu Sokorskiego jest mała perełka niezamierzonego humoru. Mówiąc o wystąpieniach na XIX Sesji Kultury i Sztuki, Sokorski stwierdza ze „*wszyscy myślą politycznie i osobiście jednocześnie*”. To wielki postęp. Wczoraj myśleli „politycznie”. Jutro będą może mogli myśleć „osobiście”. Także i Sokorskiemu rewelacje o Stalinie zrobiły dużą przykrość. Ale pogodził się z nimi łatwiej od Maja:

,,...mówił najzupełniej osobiście. Na pewno sprawa Stalina, sprawa jego metod w polityce i metod w polityce kulturalnej, to jest zagadnienie jakiegoś wielkiego dramatu każdego z nas''.

Oczywiście powołuje się on wielokrotnie na XX Zjazd K.P. Z.S.S.R. Wszyscy tak ochoczo atakowali mity stalinizmu, że w przemówieniu Sokorskiego cieszy ślad choć jednego z mitów post-stalinowskich : zbrodnie, tak, ale zawinił tu imperialistyczny agent Beria. No i wnioski na przyszłość : oczywiście, jak przywrócić zaufanie, aby ,,tym samym ludziom'' można było ,,powierzyć do końca'' sprawy ,,budowy socjalizmu'' — czyli władzę.

,,Oto jest historia, która z jednej strony dała pierwsze socjalistyczne państwo na świecie, a z drugiej strony popełniono nie tylko przestępstwa, ale przy udziale Berii nawet zbrodnie. A teraz sądźcie nas. Sądzę, że dla komunistów jest tylko jeden słuszny wniosek. Musimy iść dalej razem tak, żeby nigdy te sprawy nie mogły się więcej powtórzyć. Ale, żeby te sprawy nie mogły się więcej powtórzyć zasadniczym warunkiem jest przywrócenie zaufania. Musimy przezwyciężyć do końca fałszywą tezę o tym, że ludziom, w praktyce budującym nowe społeczeństwo, nie można do końca zawierzyć sprawy budowy socjalizmu. To znaczy — musimy przywrócić demokrację wewnątrz-partyjną, musimy przywrócić twórcom pełne prawo do wolności twórczej''.

,,BOHATERSKI OPORTUNIZM''

Krytyki nie były nowym zjawiskiem na Sesji. Kott czy Ważyk, krytykowali już niejednokrotnie nową rzeczywistość''. Były to nieraz krytyki, które wydawały się nam zadziwiająco odważne. Ale wydaje się, że miała na nie monopol drobna grupka ludzi. Czy krytyki te nie były zresztą nową formą ,,społecznych zamówień''? Na XIX Sesji wystąpili z krytykami ludzie do tej uprzywilejowanej grupy nie należący. Nic więc dziwnego, że mieli oni w pierwszym rzędzie pretensje do ,,krytyków nadwornych''. Słonimski powiedział, że Kott, w swoim przemówieniu ,,układał się z wierzycielami w imieniu masy upadłościowej''. Podobne akcenty były w przemówieniach Estreichera, Przybosia, Kantora. Najdalej poszedł Artur Sandauer, stwierdzając że mimo gadaniny o ,,wolnej dyskusji'' każdy wie, że istnieją pewne granice których nie wolno przekraczać. Jakie to granice? Znawców systemów totalitarnych nie zdziwi stwierdzenie, że chodzi tu o problemy personalne. Pod tym względem nie ma różnicy między faszyzmem i komunizmem. Sandauer atakuje tym razem otwarcie różnych brandysów :

,,Wciąż jeszcze są rzeczy, o których się — publicznie — nie mówi. Celem, jaki sobie w obecnym przemówieniu postawiłem jest — granicę tę przekroczyć.

Do sfery rzeczy znanych a przemilczanych należą przede wszystkim sprawy personalne. Nikt się nie oburzy, jeżeli powiedzieć — czy ja

wiem? — że ustrój jest do niczego, ale niech-no kto spróbuje zaryzykować twierdzenie, że kol. Kazimierz Brandys napisał grafomańskie opowiadanie — oho! — zobaczycie, jaka burza się podniesie".

I żąda by krytyki miały skutki praktyczne:

„Z Rady dzisiejszej wysnuć należy wnioski praktyczne, dotyczące reorganizacji życia artystycznego. Jeśli bowiem poprzestaniemy na ideologii „bohaterskiego oportunizmu", która głosi, że prawo do naprawienia maszyny ma tylko ten, kto ją zepsuł, nie sądzę, abyśmy daleko zajechali. Do zmian organizacyjnych i personalnych należy przystąpić natychmiast: nie są one trudne do przeprowadzenia".

Jak ocenić te głosy? Analiza jest tym trudniejsza że nie można ich traktować w oderwaniu od globalnych przemian w Związku Sowieckim, nie zapominając jednocześnie że istnieją specyficzne warunki polskie.

Blok sowiecki przedstawiał do niedawna charakter monolitu. Monolitu w podwójnym sensie. Z jednej strony absurdalna, ale bezwzględnie logiczna teoria. Z drugiej strony narzucenie tej teorii bez żadnego zróżniczkowania wszystkim satelitom (podobnie zresztą jak i zachodnim partiom komunistycznym).

Mówiąc o teorii, mamy na myśli zarówno założenia „filozoficzne" komunizmu, „sumę" marksizmu, leninizmu i stalinizmu, jak jej zastosowanie do fabrykacji historii, do interpretacji zdarzeń, do polityki, do nauki, do literatury, do sztuki. Mieliśmy do czynienia ze ściśle zazębionym zespołem teorii, faktów — i fikcyjnych faktów, z dosłownie „totalnym" ujęciem świata i życia. Jasne, że absurd tego ujęcia był oczywisty. Jasne, że niezliczona ilość dokumentów, świadków naocznych, faktów naukowych niezbicie przeczyła tej czy innej pozycji sowieckiej. Ale wewnątrz tej teorii, komunista mógł się czuć obwarowany, odgrodzony obronnymi murami od „prawdy". Mógł sobie nawet pozwolić na harce na zewnątrz murów teorii wychodząc wówczas z „ezoterycznych" założeń, z dumą wtajemniczonego patrząc z góry na tę „prawdę", którą miał prawo odtrącić jako „obiektywnie szkodliwą". To lekceważenie było jednak możliwe tylko pod warunkiem że wszystko co się zdarzyło pod przewodnictwem Partii było *konieczne*, że inaczej załamałaby się „rewolucja". Dlatego też wielu zachodnich znawców komunizmu twierdziło że w Z.S.S.R. nic się nie może zmienić, chyba że runie cały reżym. Dla umysłów logicznych było nie do przyjęcia częściowe odełganie się sowieckiego reżymu. Wydawało się że musi on kontynuować globalnie swoje gigantyczne kłamstwo, że musi wyciągać konsekwencje ze wszystkich swych dawnych zbrodni, że skazany jest na zawsze na wycinanie stron z encyklopedii, na inkwizycyjne procesy, na okresowe krwawe czystki, nawet na fałsz w biologii, nawet na oleodruki w sztuce. Wydawało się że gmach absurdu trzyma się cało pod warunkiem że nie usunie się z niego ani jednej cegiełki. Że inaczej wszystko musi runąć.

Bieg historii — na krótką metę przynajmniej — raz jeszcze zaprzeczył logice. Likwidując mit Stalina, oskarżając go o zbrodnie i — co gorsza — o błędy — kolegialni dyktatorzy ujawnili w oczach całego świata absurd swojej pozycji. Nie tylko zlikwidowali część mitologii, ale pozostawili nietknięte niektóre jej części równoległe, identyczne. Proces Rajka był łgarstwem, zbrodnią, oszustwem. Ale proces Slanskiego, oparty na tych samych elementach i prowadzony tymi samymi metodami, pozostał wyrazem „sprawiedliwości ludu". Pogarda, jaką żywią sowieccy przywódcy dla ludzi i ich inteligencji jest tak całkowita, że nadal każą wierzyć w to że Beria był od lat agentem imperialistycznym i szpiegiem.

Stąd dziwaczny charakter nawet tak swobodnej i tak odważnej dyskusji jak ta która toczy się dziś w Polsce. Referat Jana Kotta, „Mitologia i Prawda", powinien się nazywać „Mitologia i część Prawdy". Obnażenie fałszu i potworności niektórych mitów sowieckich musiało spowodować wielki wstrząs psychiczny u ludzi którzy od lat byli ochoczymi piewcami reżymu. „Totalne" zakłamanie pozwalało im na zachowanie pewnych pozorów. Świadomość własnego łgarstwa i poniżenia była ściśle wewnętrzna. „Nieubłagany bieg historii" był na zewnątrz wygodnym pretekstem. Teraz pretekst ten runął: świetna karykatura w „Przeglądzie Kulturalnym" przedstawia złośliwego golaska, który skacze z radości i „wytyka" palcem: „Król jest nagi!". Wśród listy przestępstw i zbrodni dokonanych przez sowieckich i polskich komunistów, którą podają nam dziś polscy pisarze, *na próżno byśmy szukali nazwiska czy zdarzenia, które nie byłoby uprzednio przedmiotem oficjalnej rehabilitacji ze strony Kremla.* Ale oprócz Sokorskiego, który nieśmiało wspomina o Berii, nikt już nie daje swojego „placet" na szczątkowe, nadal obowiązujące mity. Przeciwnie: niektóre odważne aluzje wskazują na to że są ludzie którzy, nie atakując ich wprost, chcą jednak z tą pozostałością walczyć. Mamy tu aluzje do krwawego „prokuratora" Wyszyńskiego, którego nikt przecież jeszcze nie potępił oficjalnie, aluzje globalne do „procesów czarownic" itd. Wydaje się że tak twardo podejmując oskarżenia Chruszczowa i wzmacniając emocjonalnie ich ton, polscy intelektualiści starają się przyczynić do rozszerzenia marginesu prawdy i wolności.

Czyniąc to, asekurują się oni oczywiście ciągłym powoływaniem się na Lenina i leninizm. Zagadnienie „powrotu do leninizmu" jest ciekawe. Machiawel twierdził, że w czasach kryzysu Książę winien zwrócić się do najbardziej odległych tradycji swej władzy i w tym powrocie do „źródeł" szukać odrodzenia systemu. Porównuje się często obecny okres w Z.S.S.R. do francuskiego Dyrektoriatu. Ale historia zna o wiele więcej takich analogii. W każdym systemie autokratycznym znajdziemy podobne „wytchnienia", podobne nawroty do względnego „liberalizmu" po krwawej tyranii. Neron, Kaligula, Iwan Groźny, Robespierre,

Stalin — za każdym razem powtarza się motyw uratowanych dzieci, których nie zdążył pożreć Saturn, praojciec bogów, i które obiecują „nowy ład". Ład nowy, ale zarazem powrót do dawnego „złotego wieku". Tym „złotym wiekiem" (jakże względne są osądy historyczne) ma być dla Z.S.S.R. leninizm. W Rosji slogan ten ma zresztą pewną siłę propagandową. Wiadomo było od dawna że opozycja polityczna w obozach koncentracyjnych powołuje się na Lenina. Że hasła leninizmu popularne są wśród antystalinowskiej młodzieży. Pewne zdobycze rewolucji zostały przyjęte przez ogromną większość ludności. Prócz bardzo starych niedobitków, nikt na pewno nie wzdycha do czasów carskich. Kiereńszczyzna była epizodem krótkim — błyskawiczną kompromitacją liberalnej demokracji. O formach demokracji zachodniej mało kto wie — a zresztą jak je zastosować do tej olbrzymiej biurokratycznej machiny którą jest Związek Sowiecki? Leninizm — to jedyna forma względnej wolności którą w Sowietach pamiętano. Wolności? Była to oczywiście tyrania. Ale nie totalitarny koszmar przenikający każdą chwilę życia. Dla ludzi którzy przyjęli zasady komunizmu istniała wówczas nawet możliwość dyskusji, krytyki, odmiennych tez. Powołując się na nowo na leninizm, sowiecki kolektyw podjął formułę potencjalnej opozycji, zdecydował się „nazwać" nowy okres historyczny. Nazwa ta jest dogodna, zapewnia poniekąd „legitymizm" reżymu. Partia komunistyczna musi się opierać na zasadzie ciągłości, niczem najbardziej absolutna monarchia. Wykreślając Stalina, trzeba było nawiązać do Lenina. Ale, oczywiście, o powrocie do „leninizmu" nie ma mowy, nawet gdyby istniała „najlepsza wola" Chruszczowa i jego towarzyszy. Zasadnicze cechy leninizmu nie wynikały z jego teorii, ale z historycznego momentu. Było to nazajutrz po krwawej rewolucji, która wzniecila ogromne nadzieje wśród robotników i lewicy na całym świecie. Rządziła grupka intelektualistów, teoretyków i zawodowych konspiratorów, zbuntowanych od dawna przeciw niesprawiedliwościom świata burżuazyjnego, ale wychowanych w liberalnej atmosferze intelektualnej burżuazji. Opierając się częściowo na teorii, częściowo na zdobywanej z dnia na dzień praktyce, ci panowie z bródkami, z pince-nez i z dewizkami na kamizelkach przenieśli do różnych komisariatów coś z atmosfery wiedeńskich i szwajcarskich kawiarń, w których przegadali pół życia. Był to okres gorączkowej budowy, okres entuzjazmu i krwawych ofiar, okres w którym tyrania wypierała powoli żywą jeszcze anarchię. Starano się jeszcze wówczas wprowadzać w życie pewne zasady społeczne które wydawały się nieodłącznie związane z komunizmem: bezbożnictwo, internacjonalizm, swobodę seksualną, walkę z rodziną. Na tym tle zrozumiały był „proletkult" w sztuce, Błok, Majakowski i awangarda. Dziś wszyscy powołują się znowu w sowieckim świecie na leninowską swobodę „dyskusji wewnętrznopartyjnej", rehabilituje się starych rewolucjonistów, a na XIX Sesji Kultury i Sztuki w War-

szawie wszyscy na wyścigi cytują ,,wspaniałą sztukę rewolucji'', przypominają Majakowskiego, Tatlina, Wachtangowa. Wszystko to są oczywiście preteksty. Nie ma chyba dziś części świata dalszej od atmosfery pierwszych lat po rewolucji październikowej od bloku sowieckiego. To co się dziś nazywa ,,zbrodniami Stalina'' umożliwia poniekąd obecnym przywódcom Z.S.S.R. bezkarne powoływanie się na ten okres. Ktokolwiek miał jakąś indywidualność, jakiś kręgosłup, wszyscy antykonformiści, wszyscy autentyczni rewolucjoniści zostali wymordowani lub złamani w katorgach. Któż pozostał ze starych bolszewików? Kilka łachmanów ludzkich, powyciąganych z łagrów i na Zachodzie garstka najbardziej zaciętych wrogów sowieckiego reżymu, jak Borys Suwaryn. Stalin, którego zestawia się dziś w Polsce pośrednio z Hitlerem, sterroryzował miliony, uformował kasty urzędników i biurokratów. Samoobrona i cynizm rządzących, formacja elit, wszystko to złożyło się na zadanie osobistej, krwawej dyktaturze ostatecznego ciosu. Zaczyna się nowy okres. Rządzącym chodzi o zachowanie władzy. Gdyby z jednej strony nie wykończono całkowicie potencjalnej opozycji, gdyby z drugiej strony nie zdążono uformować kadr, ta zmiana kursu byłaby bardzo niebezpieczna. Wydaje się że Kreml liczy na to że bierne i wytresowane masy przyjmą dziś z wdzięcznością pewną liberalizację, zbytnio nie podnosząc głowy. Nie mówimy tu oczywiście o korzyściach, które zmiana kursu przynieść może w polityce zagranicznej.

,,Powrót do leninizmu'' jest bardziej jeszcze paradoksalny w Polsce niż w Z.S.S.R. O ile w Rosji oficjalny slogan odpowiada częściowo cichym nostalgiom ludności, o tyle w Polsce ,,leninizm'' nie może oznaczać więcej niż daleką, wrogą abstrakcję. Argumenty leninizmu używane są dziś w Polsce po to aby zaasekurować się ideologicznie, aby, mniej lub bardziej świadomie, rozszerzyć pewien margines wolności, powołując się na bezsprzeczny autorytet. Jeśli polski malarz wynosi pod niebiosa ,,rewolucyjną'' sztukę sowiecką z tego okresu, to po prostu dlatego że chce aby w Polsce artyści mogli malować tak jak się im podoba. Jeśli polski poeta z oburzeniem stwierdza że Żdanow ,,karygodnie'' zniekształcił zasady marksizmu-leninizmu, to dlatego że chce wzmocnić jeszcze obecną reakcję przeciw nudzie i hipokryzji ,,socrealizmu''. Jeśli ekonomista powołuje się na wydajność pracy którą może osiągnąć gospodarka socjalistyczna przy ścisłym zastosowaniu zasad marksizmu — to dlatego że chce przyczynić się do zmniejszenia wyzysku robotnika i marnotrawstwa biurokratycznej organizacji. Jeśli dziennikarz na pierwszym miejscu wymienia niesprawiedliwie wrzuconych do więzień i łagrów starych komunistów, to dlatego także by móc wspomnieć równolegle o zsyłkach Polaków na Syberię, o żołnierzach A.K. i ,,bezpartyjnych''. I to jest może, w wypadku Polski, najbardziej uderzająca konsekwencja ,,nowego kursu'': po raz pierwszy można używać oficjalnych sloganów uświęco-

nych najwyższymi autorytetami partyjnymi, w celach rozszerzenia prawdziwej wolności i w imię interesów całego narodu.

Istnieje też inny slogan, rzucony przez Chruszczowa z okazji pogodzenia się z Tito, który ma dla Polski specjalne znaczenie. Jest nim równouprawnienie „różnych dróg do socjalizmu". Polityka sowiecka stosuje oczywiście to „równouprawnienie" wyłącznie do Jugosławii, nie ma tymczasem mowy aby je rozszerzyć oficjalnie na kraje „demokracji ludowej". Ale Polska jest jedynym krajem z całego bloku sowieckiego, w którym pojawiają się raz po raz aluzje do tej zasady. Jeśli w piśmie polskim czytamy że „prawdziwa niepodległość Polski leżałaby w interesie Związku Sowieckiego", to wynika z tego jasno że tak szeroko reklamowana w ciągu ostatnich lat „niepodległość Polski ludowej" była po prostu fikcją. Rehabilitacja Gomułki i Spychalskiego (częściowo pod wpływem presji dołów partyjnych) jest, mimo dalszego oficjalnego potępienia ich tez, częścią tego właśnie procesu. Wydaje się że do uchronienia Polski przed terrorem zakrojonym na skalę Czechosłowacji czy Węgier przyczyniła się specjalna pozycja K.P.P. Polscy komuniści nie pozbyli się nigdy kompleksu krzywdy po rozwiązaniu partii. Nawet jej obecni przewódcy, którzy poddali się wszystkim rozkazom i stali się potulnymi wykonawcami Stalina, musieli zachować pewien uraz po śmierci swych towarzyszy w sowieckich łagrach. Podobnie dzieje się z pewnymi zakonami rozwiązanymi przez kościół katolicki. Podporządkowują się one wyrokowi, ale uraz pozostaje. Może to właśnie dzięki temu urazowi Gomułka i Spychalski uniknęli losu Rajka i Slanskiego. Opowiadano mi niedawno o starej polskiej działaczce komunistycznej, która przemawiając publicznie niedługo po rehabilitacji K.P.P. wybuchnęła nagle płaczem i wspomniała o swoim ojcu, zamordowanym w Sowietach komuniście. Gdzie, w jakich psychicznych głębinach, jaką drzazgą, tkwiło przez tyle lat to wspomnienie? Marksistowskim mentorem Bieruta był stary profesor Hempel, również zlikwidowany przez Sowiety. Po rehabilitacji partii, a niedługo przed śmiercią Bieruta ukazała się w „Trybunie Ludu" wielka fotografia młodego Bieruta z nieznanym nikomu starszym panem. Czytelnik polski zapoznawał się z Hemplem, „nauczycielem Bieruta". Nie mam zamiaru wpadać w sentymentalizm mówiąc o ludziach odpowiedzialnych za mordy, więzienia, bezpiekę, za degradację polskiej myśli, polskiej literatury i sztuki. Ale fakt że Ochab mówi o swoich dawnych towarzyszach jako o ofiarach stalinizmu a więc Rosji, fakt że na pogrzeb Bieruta (pisze o tym otwarcie Wanda Leopold w „Przeglądzie Kulturalnym") udawali się ludzie częściowo w celu „demonstracji antyradzieckiej" (oczywista aluzja do kursujących w Polsce pogłosek na temat zamordowania Bieruta w Moskwie) — nie pozostaje bez wpływu na dość specjalny „polski kurs" w ramach bloku sowieckiego.

Trzeba tu zaznaczyć, że przynajmniej w dziedzinie kultury

i sztuki, Polska pierwsza, i najśmielej, wprowadziła w życie objawy ,,odwilży''. Postawiono tu na właściwego konia — zapewne. Ale dzisiaj, kiedy te sprawy poszły dalej i stały się ,,obowiązujące'', Sokorski, Putrament, i inni kulturalni gauleiterzy z dumą powołują się na obrady XI Sesji Kultury i Sztuki z roku 1954, na których po raz pierwszy podważono zasady żdanowizmu. Przez parę lat krytyka była przywilejem ograniczonej grupy ludzi. Słowami Sandauera, *,,prawo do naprawiania maszyny mieli tylko ci którzy maszynę zepsuli''*. Ale z chwilą gdy krytyka stalinizmu stała się *obowiązującą,* trudno było nie dopuścić do głosu innych ludzi, którzy byli, w niewielkim co prawda stopniu, ofiarami systemu. Ograniczają się oni do powtarzania uznanych ogólnie i zatwierdzonych krytyk. Pozwalają sobie na większą śmiałość i samodzielność tylko w aluzjach. Ale, mimo wszystko, krytyki ich mają odmienny ton. No i chcą oni skończyć z systemem ,,uprzywilejowanej grupy''.

W ,,Zniewolonym Umyśle'' Czesław Miłosz dał pewną subtelną interpretację mechanizmu psychicznego ludzi którzy powoli przyjmują zasady ,,Nowej Wiary''. Pojęcia ,,Murti-Bingu'' i ,,Ketmanu'' wydawały się tak logiczne, tak dalece wyjaśniały niezrozumiałe na pozór procesy, że mieliśmy na Zachodzie tendencję do przypisywania im uniwersalnego znaczenia. Okazuje się teraz że umysłów naprawdę ,,zniewolonych'' nie było tak wiele. Nie jest przypadkiem że na interpretację Miłosza rzucili się właśnie ci ludzie w Polsce, którzy najdalej posunęli się w kolaboracji. Putrament i Brandys, którzy tak nienawidzą Miłosza, zapożyczyli od niego właśnie cały system analizy. Gdyby nie ,,Zniewolony Umysł'' nie mielibyśmy ,,Obrony Grenady''. A cały szereg wystąpień na XIX Sesji zawiera okrężne cytaty z Miłosza. Gdyż, mimo wszystko, ,,Zniewolony Umysł'' Miłosza, tłumacząc powolny proces wewnętrznych przemian fascynacją przez ,,rewolucję'', ,,nieubłagane prawa historii'', ,,obiektywne procesy'' przedstawia ludzi przyjmujących bez słowa protestu największe zbrodnie dokonywane wokół nich nie jako zwykłych tchórzy, ale jako ofiary pewnej hipnozy. Teza Miłosza tłumaczy uległość ludzi niesamowitą siłą systemu. Przez to samo motywy tchórzostwa, oportunizmu, słabości charakteru, schodzą na plan dalszy. Nic dziwnego, że ci którzy ulegli wolą widzieć się jako ofiary zbiorowej intoksykacji. Ale obecna dyskusja na XIX Sesji i w prasie polskiej wskazuje na to, że tezę ,,zniewolonego umysłu'' można zastosować najwyżej do wyjątków. Skoro tylko opadły pewne zakazy, okazało się że wszyscy niemal wiedzieli doskonale co się wokoło nich dzieje. Działała nie tyle fascynacja ,,historią'', co po prostu strach, strach przed bezpieką. Nie tyle interpretacja ,,obiektywnych procesów'', co zwykły oportunizm. Nie tyle atrakcja ,,nowej wiary'', co osobiste ambicje. Podobnie jesteśmy świadkami upadku innej interpretacji sowieckiego świata. Chodzi nam tu o ,,mit Rubaszowa''. Jednym z najbardziej tajemniczych przejawów sowieckiego systemu

były „dobrowolne" wyznania oskarżonych na procesach. Jak wytłumaczyć te zeznania, najbardziej nieprawdopodobne i absurdalne? Te orgie samoupodlenia? Zachodni świat z zachwytem przyjął interpretację Koestlera: oskarżeni przyznając się do imaginacyjnych win, składali ostatnią ofiarę „sprawie rewolucji". Mascolo podbudował tę koestlerowską interpretację w swej książce o komunizmie szczegółową, subtelną analizą zeznań Bucharina i innych ofiar „czystek". Pakt między Gletkinem i Rubaszowem wydawał się kluczem nie do zastąpienia. W jednym z ostatnich numerów „Observateur" powraca do sprawy tych zeznań Alexander Werth, długoletni korespondent „Sunday Timesa" w Moskwie, znany ze swych sympatii dla Sowietów. Opisuje on spotkania z kilkoma ofiarami procesów moskiewskich, których obecnie wypuszczono na wolność. Dlaczego przyznali się do winy? Odpowiedź jest prosta, grubiańska nawet, wobec subtelności „Ciemności w Południe": tortury, bicie, głodzenie, całodzienne i całonocne zeznania przed śledczymi, a wreszcie obietnica że jeśli oskarżeni przyznają się do wszystkiego, jeśli potulnie wyrecytują swoją lekcję, daruje im się życie i będą mogli spokojnie zamieszkać gdzieś w głębi Rosji, pod fałszywym nazwiskiem i w wygodnym domku. Nie inaczej przedstawiała się sprawa z tymi, których zamordowano: sam Chruszczow mówi w swej „informacji" o tych obiecanych „daczach", dodając z mrożącym krew w żyłach humorem: „a dacza była pod ziemią"... I tak z końcem stalinowskiego mitu zbiega się koniec dwóch mitów antystalinowskiej analizy: mitu Ketmana i mitu Rubaszowa.

Zarówno Koestler jak i Miłosz opisywali rzeczywistość świata sowieckiego bez osłonek. Ale obaj starali się wytłumaczyć, każdy w swoim zakresie, jak się to dzieje, że nawet w policyjnym państwie, nic nie mającym wspólnego z ideałami komunizmu, istnieje jakaś wiara w mit „rewolucji". Otóż w miarę jak dochodzą nas bardziej szczegółowe informacje o sowieckim świecie, wydaje się że prestiż tego mitu jest tam znacznie mniejszy niż się nam mogło wydawać. Oczywiście, że przemiany które prawdopodobnie pójdą tam znacznie dalej, będą długo jeszcze usprawiedliwiane marksistowską frazeologią. Ale mimo powoływań się na czystość marksistowskiej doktryny, mimo powrotu do „leninizmu", coraz silniej uwydatnia się czysto pragmatyczny charakter tych przemian. W książce, którą niezadługo wyda „Kultura", Raymond Aron przewidywał ten proces, ale nie przypuszczał by ów „Koniec Wieku Ideologii" stał już, być może, na horyzoncie.

„Zwierzęcy Folwark" Orwella kończy się sceną, w której świnie, narzuciwszy na powrót reszcie zwierząt jarzmo niewolnictwa, układają się z sąsiednimi farmerami. Zwierzęta patrzą przez okno, i trudno jest im rozpoznać „kto jest człowiekiem, a kto świnią". Orwell kierował swą satyrę przeciw Rosji Stalina. Ale mimo wizyt Lavala i Ribbentropa, mimo paktu z Hitle-

rem, mimo „zdrady rewolucji", stalinizm miał swoje własne, straszliwe oblicze. To teraz właśnie, gdy Malenkow głaszcze angielskie dziatki, gdy „Mr. K." i „Mr. B." zajmują suity w Claridge'u satyra Orwella staje się prawdziwie aktualna.

W tym podzielonym świecie, różnice dotyczą może coraz bardziej przepisów na zastosowanie środków technologii, niż walki „ideologicznej". Odzwierciadla się to nawet w dyskusjach które toczą się w tej chwili w prasie polskiej. Porusza się dziś szereg spraw konkretnych, które do niedawna były poza zasięgiem krytyki. Czy uczyć się od Geyerów? Czy uczyć się od Tita? Te pytania w dziedzinie gospodarczej wskazują na pewne zrozumienie zasadniczego faktu, który polega na tym że ważniejsza jest z jednej strony opłacalność produkcji i z drugiej strony dobrobyt robotnika, od wszelkich ideologicznych sloganów.

Z nieśmiałych jeszcze głosów, z echa które po raz pierwszy od dawna dochodzi nas od strony pewnej opinii publicznej, można by wnioskować że istnieją w polskim życiu społecznym prądy, nieskoordynowane oczywiście i funkcjonujące pod warunkiem przyjęcia oficjalnej frazeologii, które dążą do wywarcia pewnego wpływu na życie narodu. Poprawa bytu materialnego, utrzymanie granic, reintegracja do życia społecznego ludzi wywiezionych, uwięzionych i prześladowanych, swoboda twórczości — oto w tej chwili ograniczone cele do których można dążyć pracując w Polsce. Czy prądy te idą wbrew rządowi i partii, wbrew „reżymowi", czy też odpowiadają pewnym jego dążeniom — trudno na to w tej chwili odpowiedzieć. Być może że rozwój wypadków wyjaśni i to zagadnienie. Wiadomo dziś, że w Moskwie mówi się po cichu o możliwości rewizji polskich granic zachodnich. Niektórzy zachodni obserwatorzy (*) w tym właśnie widzą jeden z głównych powodów akcji „antystalinowskiej", twierdząc, że oddanie Polsce granic na Odrze i Nysie można będzie łatwo przypisać jeszcze jednej pomyłce politycznej Stalina. Gdyby rzeczywiście miało dojść do takiej inicjatywy, trudno byłoby przewidzieć jakby zareagował na to nawet komunistyczny rząd polski.

W trakcie pisania tego artykułu doszły mnie dalsze numery polskiej prasy, z których wynika, że uznano, iż swoboda dyskusji na XIX Sesji poszła za daleko. Do tego rodzaju wahań trzeba się przyzwyczaić i nie wyciągać z nich żadnych zbyt daleko idących wniosków. Droga do pewnej, ograniczonej nawet swobody jest trudna, zwłaszcza jeśli pozostały więzienne mury i ten sam garnitur strażników. Być może że zadając śmiertelny cios mitologii komunizmu, Chruszczow i Bułganin przedłużyli okres swej władzy. Ale na długą metę otwarli prawdopodobnie drogę procesowi w którym realne prawa życia wymkną się ideologicznym abstrakcjom.

K.A. JELEŃSKI

(*) Al. Werth, „Observateur", Nr 309 z 12. IV. 1956.

Dwie emigracje

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKAŃSKIE")

I

Nie ma takiego mieszkańca Stanów Zjednoczonych, który by nie był emigrantem, synem, wnukiem czy w ogóle potomkiem emigranta. Bo przecież nawet Czerwonoskórzy Indianie tylko z tytułu dawności mogą sobie rościć pretensje do nazwy autochtonów. I ich przodkowie — tysiące lat temu — zawędrowali do Ameryki z innego kontynentu.

Snobizm amerykański każe szukać przodków, którzy dawno osiedli w Ameryce. Jest tu cała profesja specjalistów od wyprowadzania genealogii rodzin amerykańskich. A jeżeli nie uda się wykazać, że przodek był jednym z pasażerów „Mayflower", to przynajmniej trzeba dowieść, iż przybył w wieku XVII i to z Anglii, albo ze Szkocji, a już co najmniej z Holandii lub Szwecji. Choć mieć za przodka francuskiego hugonota też nie jest najgorzej. Ale zawsze górują ci z „Mayflower". Złośliwcy zaś powiadają, że musiał to być statek nielada rozmiarów, skoro potrafił pomieścić tych wszystkich, od których swój rodowód bierze aż tyle rodzin amerykańskich.

Tradycja amerykańska każe w tych wczesnych przybyszach widzieć ludzi zbuntowanych przeciw uciskowi w dawnych ojczyznach, szukających za oceanem wolności — politycznej i religijnej. Niewątpliwie i tacy byli wśród tych, którzy na wątłych stateczkach płynęli przez „Wielką Wodę". Większość pasażerów „Mayflower" rzeczywiście stanowili nonkonformiści, religijni radykałowie, uciekający przed prześladowaniami. A i po nich płynęli do Ameryki nonkonformiści, heretycy wszelkiego rodzaju. Penn otworzył Pennsylwanię dla kwakrów. Baltimore dał w Maryland możność istnienia i służenia Bogu anglikanom, których w Anglii tępili purytanie, i katolików, których zgodnie

prześladowali i anglikanie i purytanie. W wieku XIX każda przegrana w Europie rewolucja wyrzucała na brzegi Ameryki jakąś falę uciekinierów politycznych. Przecież po Powstaniu Listopadowym spora garść Polaków-żołnierzy znalazła schronienie w Ameryce. A już całkiem poważnie ilościowo prezentowali się liberałowie i radykałowie niemieccy, którzy po roku 1848 zawędrowali do Stanów Zjednoczonych. I byli wśród nich ludzie bardzo wybitni, żeby tylko wymienić Schurza. Razem z nimi przybyło i sporo rewolucjonistów węgierskich. Ba, sam Kossuth w tym czasie odwiedził Amerykę i był entuzjastycznie witany. A nie brakło rewolucjonistów włoskich i nawet francuskich.

Znacznie później zaczęli pojawiać się rewolucjoniści rosyjscy i polscy. Sporą ich grupę przygnała do Ameryki przegrana roku 1905. Wśród nich zaś ważną część stanowili socjaliści żydowscy z Rosji i Polski. Zresztą znaczna ilość rewolucjonistów żydowskich płynęła z masą Żydów, którą do Ameryki wygnały pogromy w Rosji, przede wszystkim — pogrom kiszyniowski. Dla podobnych względów płynęli do Ameryki tureccy Ormianie, szukający nowej ojczyzny po rzezi nad jeziorem Wan.

Bez końca można by snuć opowieść o tych wszystkich, którzy, uciekając przed uciskiem i tyranią, w Ameryce szukali swobody. A nie zapomnijmy i o niepodległościowcach irlandzkich i o Białych Rosjanach, których tylu osiedliło się w Stanach Zjednoczonych po roku 1918.

Jednakże wszyscy oni stanowili tylko bardzo drobną mniejszość w tych masach ludzkich, które od wieku XVIII puszczały się na wędrówkę przez ,,Wielką Wodę''. Masom tym obcy był nonkonformizm — polityczny czy religijny. I jeżeli w Ameryce szukały one wolności, to było to wyzwolenie od głodu i nędzy. A wędrówka ta nie zawsze miała charakter dobrowolnej emigracji.

Nie dobrowolnie przypłynęły do Ameryki tysiące czarnych niewolników afrykańskich. Ich nikt o zgodę nie pytał. Byli towarem, który Stary Świat eksportował do Nowego. A i wśród białych nie każdy płynął dobrowolnie. W wieku XVII przyjęła się praktyka używania jako siły roboczej na plantacjach Virginii tak zwanych ,,indentured servants'', co dałoby się przetłumaczyć jako ,,zakabaleni słudzy''. Byli to ludzie, którzy z właścicielem plantacji podpisywali długoletni kontrakt, w praktyce oddający ich w całkowitą niewolę. Właściciel opłacał koszta przejazdu, żywił i odziewał ,,zakabalonego'', i traktował go jak niewolnika. Zerwanie kontraktu przez ,,zakabalonego'' było przestępstwem kryminalnym. I nie trzeba sądzić, by kontrakty takie były przez ,,zakabalonych'' podpisywane dobrowolnie. W wielu miastach angielskich agenci plantatorów po prostu porywali ludzi z ulic, siłą zaciągali na statki i zmuszali do podpisywania umów. Bardzo często ręka w rękę z plantatorami działali sędziowie angielscy, którzy w ten sposób starali się pozbywać ,,niepożądanych'' elementów. Słowem — taką drogą

usuwano z Anglii mniejszych przestępców kryminalnych, a zwłaszcza prostytutki. Nietaktowni historycy amerykańscy wykazali, że nie każda ze „starych rodzin" winna się szczycić swym protoplastą.

Bardzo też wcześnie przyjęła się w Anglii zasada wysyłania do Ameryki tych członków rodzin, których wypadało się wstydzić. Za przykładem Anglii poszły i inne kraje i zwyczaj ten trwał bez mała do naszych czasów. Zamożniejsze rodziny, by uniknąć wstydu, do Ameryki wysyłały swe „czarne owce". Inna rzecz, że wiele tych „czarnych owiec" później w Ameryce zbielało i ich rodziny ku swemu zdumieniu dowiadywały się, że nie mają powodu wstydzić się swych wyrodnych synów.

Ale na rzeczywistą masę emigrantów złożyły się inne elementy ludzkie i inne racje masy te skłoniły do wędrówki. Byli to ludzie szukający chleba. Emigracja zarobkowa, wędrówki milionowych rzesz biedoty ludzkiej — oto co wyznaczyło charakter procesu zaludniania się Stanów Zjednoczonych.

Na temat emigracji zarobkowej do Ameryki istnieje potężna literatura we wszystkich językach świata. Pewne jednak aspekty emigracji zostawiła ona na uboczu. Tak na przykład zbyt mało uwagi poświęcono sprawie topografii punktów wyjściowych emigracji. Jak dotąd nie ma wyczerpującej analizy warunków lokalnych, które powodowały emigrację. Oczywiście jest szereg monografii poświęconych poszczególnym rejonom, są uogólnienia — niekiedy bardzo cenne, nie ma jednak wciąż pracy, która by kraj po kraju, rejon po rejonie rozpatrzyła punkty wyjściowe emigracji.

W olbrzymiej swej większości były to okręgi rolnicze, gospodarczo bardzo zacofane, położone daleko od ośrodków przemysłowych, okręgi chłopstwa małorolnego i bezrolnego. Ludność tych okręgów nie znajdowała w przemyśle ujścia dla nadmiaru swych sił. Gdy ujście takie powstawało — emigracja kończyła się. Tak było z emigracją z Niemiec w końcu wieku XIX, gdy Rzesza weszła w okres kolosalnej industrializacji. Jeżeli i wtedy utrzymała się pewna emigracja, to płynęła ona z najbardziej zacofanych rolniczych rejonów Bawarii oraz z tej części Poznańskiego, gdzie własność chłopska była najmizerniejsza i bieda najdotkliwsza. Inowrocławskie dostarczyło Polonii amerykańskiej poważną ilość swych dzieci.

Podobnie w końcu wieku XIX do minimum zredukowało się wychodźtwo z krajów skandynawskich, na początku wieku tak potężne. Szwecja szybko się uprzemysławiała, w Danii następował fenomenalny rozwój kooperacji rolnej, Norwegia w swej flocie handlowej i rybackiej znajdowała ujście dla ludności wiejskiej. Amerykańska Skandynawia przestała być zasilana przez dopływ nowych sił ze Starego Kraju.

Ale stale rosła fala wychodźcza z Irlandii, i z Włoch, i z Polski, i ze Słowacji, i z Litwy, ze wszystkich tych zakątków Europy, gdzie wieś była biedna i prymitywna i gdzie nadmiar

sił ludzkich nie znajdował ujścia w przemyśle. Tu jedna okoliczność zasługuje na specjalne podkreślenie: związek między emigracją a wielkim kryzysem ekonomicznym, jaki w wieku XIX i XX ciążył nad wsią europejską. Europejski kryzys agrarny — fakt, który aż dotąd nie został usunięty i który ogarnął i inne części świata, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi — miał zasadnicze znaczenie dla dziejów populacji w Ameryce. Emigracja była pochodną tego kryzysu, tej strasznej katastrofy ekonomicznej i społecznej, która najsilniej uderzyła w biedne i zacofane rejony rolniczej Europy.

Tam, gdzie społeczne następstwa tego kryzysu występowały najostrzej, największe też było nasilenie wychodźtwa do Ameryki. Z Polski mało emigrowało Zagłębie, czy okolice Warszawy lub Łodzi. Stosunkowo słabo emigrowała Lubelszczyzna. Ale masowo emigrowało Podhale i Podlasie, emigrowała Małopolska i emigrowało Inowrocławskie. Z Włoch nie emigrowała Północ. Prawie całe wychodźtwo szło z Sycylii, z Kalabrii, z Apulii. Stosunkowo mało emigrowali Czesi, ale masowo emigrowali Słowacy i mieszkańcy Rusi Zakarpackiej. I w podobny sposób da się przeanalizować geografia wszystkich innych punktów wychodźczych.

Rzecz znamienna, że i emigracja żydowska — tak ważny składnik ruchów wychodźczych do Ameryki — była ściśle związana z wielkim kryzysem agrarnym. Jest wysoce pouczające zapoznać się z żydowskimi ,,ziomkowstwami'' w Ameryce (Landsmannschaften). Są to organizacje towarzysko-samopomocowe, skupiające ludzi, pochodzących z tych samych miejscowości w Starym Kraju. Co za fantastyczna kolekcja małych mieścin Polski, Ukrainy, Słowacczyzny czy Węgier! Istny katalog najbardziej zakazanych dziur Starego Świata. I jak dziury te są reprezentowane na ziemi amerykańskiej! Można by mniemać, że Stoczki, Przasnysze, Zbaraże, Skałaty, czy ich słowackie lub węgierskie odpowiedniki były ludnymi metropoliami, usuwającymi w cień Warszawę, Łódź, Budapeszt czy Pragę.

Wszystkie te mieściny były centrami handlowymi niewielkich rejonów agrarnych. Swe mizerne istnienie zawdzięczały lokalnemu rolnictwu. Gdy wieś biedniała, biedniały i one. I nic dziwnego, że geografia punktów wyjściowych chłopskiego uchodźtwa polskiego, czy litewskiego, czy słowackiego, i uchodźtwa żydowskiego jest identyczna. Nie emigrowała żydowska Warszawa, bowiem nie emigrowała i polska Warszawa. Ale emigrował żydowski Nowy Targ czy żydowski Stryj, bowiem emigrowały masy biedoty chłopskiej z okolicznych wiosek i folwarków.

II

Znane są okoliczności, które towarzyszyły przebiegowi emigracji. Szybko rozwijający się przemysł amerykański szukał ta-

niej siły roboczej. Dostarczała jej agrarna Europa. Z przemysłem współdziałały agencje okrętowe, żywym mięsem ludzkim napychające podpokładzia swych statków. Agenci kompanii okrętowych docierali do najbardziej zapadłych zakątków Europy. Ich wytrwałość była zaiste godna podziwu. Nie zrażali się, choć praca ich z początku nie była łatwa. Nawet głodnych ludzi nie od razu udawało się zachęcić do szukania szczęścia za morzem.

Ale wyniki działalności agencji okrętowych były coraz lepsze. W końcu wieku XIX i na początku XX nie trzeba było szukać pasażerów. Sami się znajdowali. Zaczął się okres największego nasilenia emigracji — ze Wschodniej Europy, z Włoch i — rzecz jasna — w dalszym ciągu z Irlandii. Albowiem do wsi i wiosek agrarnej Europy zaczęli docierać lepsi od agentów propagatorzy Ameryki. Były to listy od krewnych i przyjaciół, którzy wcześniej odważyli się wyprawić za morze.

Rola tych listów była kolosalna. Nie były to słowa-obietnice agentów. To były fakty, żywe świadectwa, pochodzące od ludzi bliskich, znanych, godnych zaufania. I były one poparte przez najlepsze dowody: zielone banknoty dolarowe, które znajdowano w listach. Tam, gdzie agent nie trafiał, trafiały listy. One to sprawiły, że całe rodziny, bez mała całe wioski płynęły do Ameryki, by zaznać tego szczęścia, o którym opowiadali ci, co już byli po drugiej stronie Wielkiej Wody.

Istnieje kolosalna literatura, poświęcona przemianom, przez jakie przechodziło wychodźtwo europejskie na ziemi amerykańskiej. Sprawy te były wszechstronnie badane i wciąż są badane. Co więcej, dziś, dzięki emigracji portorikańczyków, pewne miasta Stanów Zjednoczonych stały się żywymi laboratoriami, gdzie procesy tych przemian mogą być badane. Obecna emigracja z Puerto Rico pod wieloma względami przypomina emigracje dawne, i procesy, które dziś tu zachodzą, mogą nam posłużyć za żywą ilustrację tego, co zachodziło lat temu sześćdziesiąt. Z tą oczywiście zasadniczą różnicą, że portorikańczycy są obywatelami amerykańskimi, i że cały aparat adoptowania ich do życia amerykańskiego jest dziś nieskończenie doskonalszy, niż ten, jaki istniał przed półstuleciem.

Nie tu miejsce na streszczanie tego wszystkiego, co było już powiedziane na temat amerykanizacji mas wychodźczych. Podkreślimy jednak kilka momentów, które jak dotąd były mało uwzględniane czy nawet zupełnie pomijane.

Emigrant był przedstawicielem zapadłej, prymitywnej wsi. Był nieraz analfabetą. Świat jego doświadczeń zamykał się w kręgu stosunków sąsiedzko-rodzinnych. Kościół, dwór dziedzica i karczma — oto były trzy zasadnicze instytucje, które tworzyły ramy dla jego szerszych stosunków społecznych. Jego udział w życiu i sprawach szerszej zbiorowości narodowej był minimalny, o ile w ogóle istniał. W krajach, w których był już powołany do składania swego głosu w czasie wyborów, jego

uświadomienie obywatelskie było w stanie zaczątkowym. Jeżeli głosował, to tak jak kazał proboszcz, urzędnik administracyjny, niekiedy lokalny ,,naganiacz'' partyjny. Ale w wielu krajach nawet tak rudymentarne formy udziału w procesie demokracji były kandydatowi na emigranta nieznane.

Przeskok od świata stosunków rodzinno-sąsiedzkich do wielkomiejskiej, industrialnej cywilizacji Stanów Zjednoczonych był czymś fantastycznym. To była nie tylko zmiana miejsca, zmiana kraju, zmiana rodzaju zarobkowania. To było coś bezporównania większego: kompletna *rewolucja psycho-socjalna,* przejście od układu cywilizacyjnego, jaki zachowywał się od stuleci, do układu niezmiernie płynnego, wysoce skomplikowanego, posługującego się potężnym aparatem nowoczesnej techniki. Trzeba się głęboko wmyślić w rozmiary tej rewolucji psychicznej, by ocenić rozmiar wysiłku, jakiego musiał dokonać emigrant, by zapuścić korzenie na nowej ziemi.

Nie przychodziło to prędko, wymagało długiego okresu dla zachodzących przemian. W rzeczywistości pełna adaptacja następowała dopiero w potomstwie emigranta, już urodzonym w Stanach Zjednoczonych. A i to nie zawsze. Nieraz dopiero potomstwo tego potomstwa świadczyło o zakończeniu się procesu amerykanizacji.

Proces ten następował łatwiej i szybciej w tych, stosunkomo mniej częstych wypadkach, gdy emigrant wywodził się ze świata mniej prymitywnego, mniej odległego od cywilizacji wielkomiejskiej Ameryki, gdy sam posiadał jakieś wykształcenie i z dawnej ojczyzny wynosił zapas bardziej złożonych doświadczeń społecznych, kulturalnych, politycznych i technicznych. Ale właśnie w tych wypadkach przeszkodą dla amerykanizacji było poczucie lojalności dla dawnego kraju. Taki emigrant miał świadomość istnienia bogatej cywilizacji swej dawnej ojczyzny, poczuwał się do związku z nią, ze związku tego czerpał poczucie własnej godności i siły. To była przeszkoda natury ideologicznej. Jednakże odpadały tu, czy zmniejszały się, przeszkody natury psycho-socjalnej. Przeskok od jednego świata do drugiego nie był tak znaczny i emigrant, choć nieraz boleśnie odczuwający rozdwojenie swej lojalności, łatwiej mógł się adaptować do Ameryki. W potomstwie jego adaptacja ta była już zupełna.

Że adaptacja taka — w każdym wypadku — była w ogóle możliwa, było wynikiem specyficznych właściwości cywilizacji amerykańskiej. Była to cywilizacja niezmiernie dynamiczna, nieekskluzywna, chłonna, otwarta dla każdego, co więcej — idąca na spotkanie każdemu przybyszowi. Emigrant ex definitione był traktowany jako przyszły Amerykanin. Od chwili zejścia z pokładu statku był traktowany jako ten, który ma stać się pełnym Amerykaninem. Naród amerykański powstał z emigracji. Aż do roku 1914 jego przyrost był w wielkim stopniu wyznaczony przez fakt emigracji. Ustawodawstwo amerykańskie po pięcioletnim

pobycie dawało emigrantowi prawo nabycia obywatelstwa. I to obywatelstwa całkowitego, bez żadnych ograniczeń, jeżeli pominąć ograniczenie odnoszące się do stanowiska Prezydenta (tylko urodzony Amerykanin).

Ten dynamizm wynikał z plebejsko-ludowego charakteru cywilizacji amerykańskiej. Obce jej były te prawne i obyczajowe zróżnicowania społeczne, jakie cechowały feudalizm starej Europy. Niewątpliwie i cywilizacja amerykańska znała zróżnicowania — majątkowe, specyficznie kastowe itp. Ale i one były płynne, nie były trwałymi instytucjami, mającymi za sobą stuletnie tradycje.

I pierwszym wymaganiem, jakie ta cywilizacja stawiała przybyszowi, było zerwanie z tradycyjnym układem społecznym cywilizacji Starego Świata. Układ ten opierał się na istnieniu dwóch zasadniczych sfer — pańskiej i chamskiej. Był tu świat panów i świat ludu, każdy o własnej kulturze, własnych rolach społecznych, własnych obyczajach, ba — o własnym języku. Trwałość tego systemu opierała się na przyjęciu go przez obie strony. Chłop wiedział, że jest chłopem, i jako rzecz naturalną przyjmował swe obowiązki wobec pana. Pan nie aprobował chłopa, który wychodził z roli, próbując przyjąć coś, co było uważane za właściwe panom. Ale tak samo nie aprobowała tego i sama wieś. Wiejscy nowatorzy nieraz natrafiali na większy opór i silniejszą dezaprobatę wśród swych sąsiadów, niż ze strony panów. Jak dalece podział ról był rygorystyczny, o tym świadczy choćby imiennictwo w niektórych krajach europejskich, włączając w to Polskę. Były imiona pańskie i były imiona chłopskie. I znane były fakty, że księża nie chcieli chrzcić chłopskich dzieci imionami które były uważane za ,,pańskie''.

Ogłoszone w Polsce przed wojną ,,Pamiętniki'' emigrantów i robotników oraz materiały zebrane przez Józefa Chałasińskiego w jego ,,Młodym pokoleniu chłopów'' mówią dużo o tej rewolucji obyczajowej, jaka pod wpływem sezonowej emigracji do Niemiec zaczęła się dokonywać na wsi polskiej. Powracający z ,,saksów'' przynosili ze sobą pewne urządzenia, które dotąd były właściwe tylko dla świata pańskiego. Na pozór były to rzeczy bardzo drobne : chustka do nosa, kapelusz, zegarek, rower itp. Rewolucyjny ich charakter polegał na tym, że powracający z ,,saksów'' poczuł się *uprawnionym* do posiadania tego, co dotąd tradycyjnie było uważane za atrybuty świata pańskiego. Słowem — zostawała przekraczana linia, dzieląca jeden świat od drugiego. Na tym też polegał sens społeczny tych drobnych inowacji, jakie od końca drugiej połowy wieku XIX zaczęły coraz liczniej przenikać do wsi europejskiej. Od przemiany technicznej stokroć ważniejsza była przemiana w świadomości chłopa : najpierw w drobiazgach, później w rzeczach coraz poważniejszych poczuł się uprawnionym do sięgania po to, co dotąd pozostawiał panom.

Cywilizacja amerykańska wymagała całkowitego zerwania z tradycyjnym układem życia wsi europejskiej. Była to cywilizacja industrialna i towarowa, i była to cywilizacja plebejska. Głosiła ona, że nie tylko prawem, ale i *obowiązkiem* każdego jest korzystanie z towarów masowo wytwarzanych przez przemysł. Co więcej, z najwyższą dezaprobatą odnosiła się ona do tych, którzy z dobrodziejstw tych korzystać nie chcieli czy nie umieli. Tych wyśmiewała, traktowała jako ludzi, których całe zachowanie jest sprzeczne z ideałem życia amerykańskiego.

I od tego bodaj zaczynała się ta wielka rewolucja, przez którą przeszło europejskie ludowe wychodźtwo w Ameryce. Emigrant na każdym kroku był wzywany do tego, by żyć jak każdy inny Amerykanin, ubierać się jak każdy inny Amerykanin, mieszkać, jeść, przyjmować cały styl życia, jaki w Ameryce był uważany za właściwy. Jeżeli więc w Starym Kraju, chłop, przyjmując atrybuty stylu pańskiego, musiał pokonać najpierw własne tradycyjne postawy (uznać się za ,,uprawnionego''), to musiał nieraz w stopniu jeszcze większym pokonywać postawy swego otoczenia. W Ameryce przeciwnie — właśnie wzór życia szerszego otoczenia, właśnie panujące oceny nakazywały mu żyć ,,po pańsku''.

To była elementarna szkoła demokracji. Demokracja nie może istnieć, jeżeli w każdej jednostce nie istnieje poczucie, że ma ona *prawo* do tego, co jest udziałem wszystkich innych jednostek. Inaczej, demokracja nie może istnieć bez poczucia w jednostkach godności osobistej, ufności w siebie, przeświadczenia, że jestem tak samo dobry jak i każdy inny. Demokracja nie może istnieć tam, gdzie jednostka przyjmuje wyznaczone sobie miejsce w zbiorowości ludzkiej, i wraz z tym miejscem przyjmuje i uznaje specyficzność swego stylu życia i specyficzność stylu życia jednostek, zajmujących inne miejsca.

Choć brzmi to paradoksalnie, wejście emigranta w świat procesu demokratyzacji i tym samym w świat Ameryki rozpoczynało się w tym momencie, gdy za pierwsze zarobione pieniądze kupował sobie nowe ubranie ,,amerykańskie'', zegarek, ,,amerykańskie'' meble itp. Skoro miał pieniądze, miał takie samo *prawo* jak i każdy inny do korzystania z tych niezwykłych rzeczy. Jednocześnie widział, że o niego jako o nabywcę ubiega się kupiec, że otoczenie ceni go tym bardziej, im więcej tych nowych i niezwykłych rzeczy nabywa. Czuł się więc nowym człowiekiem, zdobywał pewność siebie, poczucie swego znaczenia. Tu zaczynała się droga, która z czasem zaprowadziła go do własnego, elegancko umeblowanego domu, do auta, elektrycznej lodówki, aparatu telewizyjnego. A równocześnie droga ta prowadziła go do udziału w życiu politycznym zbiorowości (choć udział ten nie zawsze był piękny!), a dzieci jego zaprowadziła do szkoły amerykańskiej i do dalszego awansu w ramach cywilizacji Stanów Zjednoczonych.

III

Ale nie upraszczajmy naszego zagadnienia. W gruncie rzeczy całe wychodźtwo żyło — i poniekąd dotąd żyje — tylko jedną nogą w świecie amerykańskim. Drugą nogą tkwiło ono w tradycyjnym życiu starokrajskim, tylko że przeniesionym na nowy teren i tu ulegającym ciągłym modyfikacjom.

Jeżeli Ameryka na każdym kroku wdzierała się w życie emigranta, to z drugiej strony nie mógł on — a i nie chciał — od razu zerwać ze światem, z którego wyszedł. Nowy świat, w którym teraz się znalazł, był obcy i niezwykły. Inny był tu język, zupełnie inny obyczaj. Wszystko odbiegało od układu stosunków rodzinno-sąsiedzkich, w których nasz emigrant wyrósł. Jasne więc, że na nowej ziemi starał się trzymać swojaków — bliskich mu mową, obyczajem, myślą. I razem z nimi świat swoich wspomnień starał się zachować w jakiejś formie na ziemi amerykańskiej.

Pociągało to za sobą powstanie narodowościowego ghetta. Ono zaś prowadziło do izolacji, zatrzymywało postęp. Z drugiej jednak strony ghetto miało swe dobre strony : zbyt gwałtowny postęp amerykanizacji mógł mieć groźne następstwa społeczne i psychiczne. A i tak z amerykanizacją w parze szły objawy antyspołeczne — nieuniknione następstwa rozpadu tradycyjnego układu życia zbiorowego, zwłaszcza rodzinnego. Ghetta narodowościowe zwalniały tempo tego procesu, były jakby naturalną obroną przed zbyt szybką niwelacją, przed zbyt gwałtownym załamywaniem się dawnych wartości i sposobów życia. Niewątpliwie ghetta miały swe bardzo złe strony. Ale gdyby ghett nie było, zapewne byłoby jeszcze gorzej. Zetknięcie się przybyszów z obcym im światem nowej cywilizacji byłoby tak gwałtowne, że mogłoby doprowadzić do tragicznych następstw. To, że każda emigracyjna grupa etniczna tworzyła swe ghetta, było nie tylko nieuniknionym następstwem osiedlania się w obcym kraju, ale i jakąś nieuświadomianą formą samoobrony przed zbyt raptowną dezyntegracją społeczną i indywidualno-moralną.

Ghetto starało się utrzymać coś z dawnych instytucji starokrajskich. Były to instytucje kręgu doświadczeń rodzinno-sąsiedzkich. Emigrant starał się przenieść na grunt amerykański te instytucje, które były dobrze mu znane, które uznawał za właściwe. Ale bardzo szybko następował konflikt między tym, co emigrant przyniósł ze Starego Kraju, a tym, co zewsząd wdzierało się w jego życie od strony kraju nowego. Prawie od chwili swego przybycia do Ameryki mógł się przekonać, że zasób doświadczeń kręgu rodzinno-sąsiedzkiego nie znajdował zastosowania w nowej cywilizacji. Siłą rzeczy prowadziło to do rozdwojenia w postawach emigranta i w całym jego stylu życia. A równocześnie z tym wytwarzał się w nim ambiwalentny stosunek do faktów, z którymi miał do czynienia.

Jest rzeczą wysoce interesującą badać język, jakim aż dotąd posługują się grupy emigracyjne w Ameryce — obojętne czy jest to język polski, czy włoski, czy czeski, czy jeszcze jakiś inny. Podstawą jego jest ta mowa, jaką emigrant przyniósł ze Starego Kraju. Była to mowa ,,ludowa''. Była ona bardzo bogata w pewnych dziedzinach, na przykład w dziedzinie określania stosunków pokrewieństwa, i zupełnie uboga w tych dziedzinach, które nie mieściły się w kręgu świata wiejskiego. Cała terminologia współczesnej technologii, życia wielkomiejskiego, stosunków politycznych itd. była zupełnie obca emigrantowi. Oczywiście terminologia ta istniała w języku kraju, z którego wywodził się emigrant. Ale nie była mu znana, gdyż przedmioty, które ona oznaczała, nie wchodziły w krąg jego doświadczeń. W Ameryce jednak od razu w ten krąg nie tylko weszły, ale wtargnęły. I stąd do słownictwa swego musiał emigrant wprowadzić nowe nazwy, zapożyczając je z języka angielskiego. Nazwy te najczęściej uswojszczał, przerabiał, upodobniał do form gramatycznych języka ojczystego. Stąd te niesamowite formy językowe, w rodzaju ,,moja kara (ciekawe, że ,,car''-auto jest w języku polsko-amerykańskim rodzaju żeńskiego, jak jest ono często i w ludowej mowie angielskiej) stoi na kornerze strytu''.

Przemiany w mowie emigranta odzwierciadlały znacznie szersze przemiany w całym jego życiu. Coraz wyraźniej zaznaczały się w jego życiu różnice między dwiema sferami — starokrajską i nową amerykańską. Pierwsza sfera odnosiła się do prób utrzymania dawnych form życia rodzinno-sąsiedzkiego. Pozostałości tych form zachowały się aż po dziś dzień. Wieś dawna miała trzy ośrodki życia gromadzkiego: kościół z plebanią, dwór dziedzica i karczmę. Ghetto wychodźcze zachowało kościół jako zasadniczy swój ośrodek, choć bardzo go przeobraziło w duchu amerykańskim. Dziedzic oczywiście zniknął, choć w pewnym stopniu funkcje jego przejął ,,boss'' partyjny, jako patron i opiekun gromady. Patronacka rola amerykańskiego ,,bossa'' partyjnego nasuwa niejedną analogię z rolą dawnego dziedzica. Wreszcie karczmę zastąpił ,,dom narodowy'' (u Irlandczyków ,,tavern''), który przy całej swej odmienności zewnętrznej dziwnie przypomina dawne karczmy czy gospody wiejskie.

W tym kręgu znalazło się miejsce i dla prasy emigranta. Spora część wychodźców wyniosła ze Starego Kraju sztukę czytania. Wielu nauczyło się czytać w Ameryce. W każdym razie potrzebna była gazeta, która by mówiła o rzeczach dla emigranta ważnych, żywo go interesujących. Amerykańska prasa obcojęzyczna — z małymi wyjątkami — jest prasą ludową (typu dawnej ,,Gazety Świątecznej''), której naczelnym zadaniem jest informować o sprawach rodzinno-sąsiedzkich i o tym, co dzieje się w Starym Kraju. Dziś, gdy emigracja tak już znacznie się przeobraziła, dla informacji ogólnych potrzebna jest gaze-

ta amerykańska w języku angielskim. Ale gazeta ta nie mówi o sprawach „intymnych", „prywatnych", o tym, co dzieje się w ghetcie i w Starym Kraju. Inaczej — gazeta obcojęzyczna w Ameryce jest jedną z instytucji utrzymania ciągłości z przeszłością, służy potrzebom kręgu rodzinno-sąsiedzkiego. Zresztą dziś, w miarę rozpadania się dawnych ghett i postępów amerykanizacji, znaczenie prasy obcojęzycznej słabnie, zmniejsza się ilość pism i kurczą się ich nakłady.

Ale był teren pracy zarobkowej. Tu zaczynała się Ameryka, kończyła się dawna wieś. Tu emigrant wchodził w trwałą styczność z ludźmi spoza ghetta i tu musiał się przystosować do wymagań Ameryki. Zresztą nie tylko przez pracę zarobkową Ameryka nacierała na niego. Nacierała ze wszystkich stron: przez organizację życia wielkomiejskiego, przez sklepy, ogłoszenia, koleje i tramwaje. Nacierała przez politykę: emigrant stawał się obywatelem i mógł głosować. Był więc obiektem oddziaływania amerykańskiego aparatu politycznego. Korzystał z patronatu „maszyn" partyjnych. Nie odgrywał w tym wszystkim roli bardzo wzniosłej, ale któż w Ameryce taką rolę mógł odgrywać, gdy wypadało mu zetknąć się z „polityką"!

Wreszcie — i najsilniej — wdzierała się Ameryka przez młode pokolenie. Przeszło ono przez szkołę amerykańską, nie miało za sobą doświadczeń Starego Świata. Co zaś o tym świecie wiedziało, to miało postać ustnego przekazu, tradycji rodzinnej, dążenia starszej generacji do zachowania ciągłości z przeszłością. To ostatnie nieraz rodziło konflikt między starymi i młodymi. Dla młodzieży tradycje rodziców, cały układ ich życia, były czymś dziwacznym i obcym. I coraz częściej młodzież zaczynała narzucać rodzicom nowy styl życia, właściwy Ameryce.

Nie ulega wątpliwości, że młoda generacja odegrała wybitną rolę w procesie amerykanizowania się generacji starszych wychodźców. Wielu starszych od swych dzieci nauczyło się angielskiego, a raczej musiało się go nauczyć, by móc się z dziećmi porozumieć. Dzieci, zwłaszcza dorastające, narzucały rodzicom nowy sposób zachowywania się, ubierania się, mieszkania, nowy styl życia.

Nie znaczy to, by nowa generacja całkowicie zrywała z tradycją rodziny. Pewna ciągłość z przeszłością była nadal zachowywana. Oczywiście i ona odnosiła się wyłącznie do tradycji rodzinno-sąsiedzkich. Jeżeli nowa generacja posługiwała się mową swych ojców, to w okazjach życia rodzinnego, i całe słownictwo było ograniczone do spraw domowych, rodzinnych, „prywatnych". Sam zaś język był takim, jakim posługiwali się rodzice, tylko że zepsutym i obfitującym w dziwolągi gramatyczne i wokabularne. Gdy się rozmawia po polsku z Amerykanami polskiego pochodzenia, ludźmi wykształconymi — lekarzami, prawnikami — uderza, że jest to język ludowy, często archaicz-

ny, zazwyczaj zachowujący lokalno-gwarowe cechy starokrajskie. Język ten dziwnie kontrastuje z wykształceniem i stanowiskiem społecznym naszego rozmówcy. I najczęściej też, gdy rozmowa przechodzi na tematy bardziej skomplikowane, mniej prywatno-domowe, rozmówca nasz zaczyna mówić po angielsku. Język polski (to samo oczywiście odnosi się do każdej innej grupy językowej) wystarcza dla celów domowych i użycie go tu jest całkowicie właściwe. Przestaje on wystarczać i przestaje być właściwym, gdy przechodzi się na teren spraw ogólnych — zawodowych, politycznych, naukowych, czy w ogóle ,,amerykańskich''.

Niewątpliwie w młodym pokoleniu z dwóch lojalności — jednej wobec starych tradycji i drugiej wobec Ameryki — ta ostatnia przeważała. Nie wynika z tego, by wszystko to przechodziło gładko i szybko. Przeciwnie — właśnie w młodej generacji przystosowywanie się do Ameryki było nieraz połączone z trudnościami, prowadzącymi do tragicznych konsekwencji. Nie jest rzeczą przypadkową, że przestępczość małoletnich jest w Ameryce tak silnie reprezentowana w środowiskach emigracyjnych.

Przede wszystkim — mimo próby zachowania tradycyjnego układu życia prywatnego — szybko następował rozkład rodziny. Emigrant — dawny rolnik wyrosły w atmosferze patriarchalnej rodziny, podporządkowanej autorytetowi ojca — teraz znalazł się w warunkach, w których istniało całkowite rozdzielenie pracy zarobkowo-gospodarczej od rodzinno-domowej. Jak w całej cywilizacji amerykańskiej, autorytet w zakresie kierowania domem przypadł kobiecie — żonie-matce. Funkcją męża-ojca stało się zaopatrywanie domu w środki materialne. Ale rola, jaką tradycyjnie odgrywał we wsi europejskiej, w Ameryce szybko się skończyła. Mąż-ojciec nie od razu z tym się godził. Próbował zachować swój autorytet. Prowadziło to do konfliktów rodzinnych. Młode pokolenie było przeciwko niemu. Bardzo szybko zaczynało ono samodzielnie zarobkować. Miało swoje własne sprawy. Emancypowało się spod władzy domu rodzinnego.

Słowem, młoda generacja wchodziła w życie pod znakiem rozpadu tradycyjnej rodziny i tych wartości, jakie ona reprezentowała. Życie, w które wchodziła, było rozgwarem wielkich miast, z ich pokusami i prymitywnymi, łatwo dostępnymi rozrywkami. Co młodzież od życia tego przyjmowała, to były wartości płynne, pełne sprzeczności, pozbawione trwałych podstaw moralnych. Na spotkanie młodzieży szła filozofia sukcesu, mierzonego w dolarach, w nowych mieszkaniach, meblach, nade wszystko — w nowych autach. Młodzież ta wchodziła w stan głębokiego kryzysu moralnego i psychicznego. Za sobą miała rozpadające się wartości świata rodziców, przed sobą — płynność i zamęt wielkomiejskiej cywilizacji.

IV

To — bardzo zresztą szkicowe i niekompletne — omówienie
blicza starej emigracji posłuży nam za tło dla rozpatrzenia
prawy jej stosunku do przeszłości i do teraźniejszości, do Sta-
ego Kraju i do Ameryki. Emigrant jedną częścią swego życia
tarał się utrzymać ciągłość z przeszłością. Ale drugą częścią
wego życia — coraz większą i coraz ważniejszą — tkwił
v Ameryce. Z tego wyrastały dwie jego lojalności — wobec
radycji dawnego kraju i wobec Stanów Zjednoczonych. A to
nów prowadziło do konfliktów wewnętrznych i wytwarzało
mbiwalentne postawy.

Jak w świadomości emigranta wyglądał kraj, z którego wy-
zedł? Obraz jego był wyznaczony przez wspomnienie osobis-
ych doświadczeń emigranta. Inaczej, był to obraz cywilizacji
viejskiej, opartej na systemie wartości rodzinno-sąsiedzkich. Był
o obraz zlokalizowany, zredukowany do wsi czy najbliższego
kręgu. Miał on bardzo mało wspólnego z całością kraju, z któ-
ego emigrant pochodził, i z cywilizacją tego kraju.

Z ust nieżyjącego już Jakuba Appenszlaka słyszałem opo-
vieść o spotkaniu się jego, po przyjeździe do Ameryki, ze sta-
uszką-ciotką, która jako młoda dziewczyna wyjechała z maleń-
iego miasteczka gdzieś w Kieleckim. Staruszka oprowadzała
iostrzeńca po swym mieszkaniu. W pewnym momencie powie-
ziała mu: „A teraz pokażę ci coś takiego, czegoś nigdy w Pol-
ce nie widział". I zaprowadziła go do pewnego ustronnego
niejsca, gdzie z dumą spuściła wodę, patrząc na swego krew-
iaka, jakie to na nim wywrze wrażenie. Appenszlak — człowiek
ołębiego serca — nie chciał sędziwej damie sprawić zmartwie-
ia. Tłumiąc z najwyższym wysiłkiem paroksyzm śmiechu, przy-
nał, że tego w Polsce nigdy nie widział. A zresztą gdyby powie-
ział, że widział, czy by mu ciotka uwierzyła? Bardzo wątpli-
ve. W jej własnym doświadczeniu urządzenia takie w Polsce
nane nie były. Dla niej Polska to była mała mieścina w Kie-
eckim, tak zupełnie różna od wspaniałości Ameryki. Nie, takich
zeczy tam nie było i być nie mogło.

W świadomości emigranta rzeczywistość starokrajska za-
howała się taką, jaką była mu znana. Niewątpliwie przyjmo-
vał on możliwość zachodzenia tam pewnych zmian. Ale zmiany
e przedstawiały mu się bardzo mgliście i nie mogły być czymś
dpowiadającym Ameryce.

Po osiedleniu się w Ameryce jego kontakty z dawną oj-
zyzną były przypadkowe i bardzo rzadko kiedy bezpośrednie.
Vizyta do kraju przodków była rzeczą kosztowną i nie każdy
migrant mógł był sobie na to pozwolić. A jeżeli nawet odwie-
ział swą dawną ojczyznę, to na krótko i zazwyczaj raz jeden
v życiu. Bardzo nieliczni posyłali swe dzieci do szkół w Starym
Kraju. Częściej tradycję kształcenia dzieci za oceanem podtrzy-

mywali Włosi. Wśród Polaków były to bardzo rzadkie wypadki.

Ale co innego miało decydujące znaczenie dla przerwania bezpośrednich kontaktów z Europą : nowe amerykańskie ustawodawstwo emigracyjne. Po pierwszej wojnie światowej emigracja do Ameryki, jako zjawisko masowe, faktycznie przestała istnieć. Stara emigracja nie mogła odtąd spotykać się z ludźmi, którzy by językiem dla niej zrozumiałym mogli jej opowiedzieć o zmianach w Starym Kraju, i którzy by sami byli żywym świadectwem zaszłych zmian. I to tak bardzo różni na przykład Polonię w Stanach Zjednoczonych od Polonii w Kanadzie, dokąd przychodzili emigranci już wyrośli w Polsce niepodległej i mogący przedstawić zmiany, jakie w niepodległym państwie zachodziły.

Ustanie masowej emigracji, a tym samym ogromne osłabienie bezpośrednich kontaktów ze Starym Krajem, miało kolosalne znaczenie dla utrwalenia się w umyśle emigranta obrazu dawnej ojczyzny takiej, jaką znał z własnych doświadczeń. Jeżeli w obrazie tym zachodziły korektywy, to tyczyły się one raczej rzeczy zewnętrznych, nie sięgając w głębię stosunków.

To zaś z kolei miało swój wpływ i na obraz Europy, jaki istniał w świadomości szerszego środowiska amerykańskiego. Przeciętny Amerykanin swe wyobrażenie o krajach Europy w bardzo dużym stopniu kształtował na podstawie swych kontaktów z emigrantami. Obraz, jaki w ten sposób otrzymywał, nie przedstawiał mu się pociągająco. Był on bardzo daleki od tego, co Amerykanin uznawał za ,,właściwy'' sposób życia. Europa nie musiała być pociągająca, ani w tym, co emigranci sami opisywali, ani w tym, jak sami się prezentowali. A przecież musieli być lepsi od swych dawnych rodaków, skoro zdobyli się na tak słuszny krok, jak osiedlenie się w Ameryce! Słowem — i emigracja i jeszcze bardziej jej ustanie były czynnikami wzmacniania się postaw izolacjonistycznych w społeczeństwie amerykańskim.

Jak da się scharakteryzować stosunek starego emigranta do dawnej ojczyzny ? W rzeczywistości w olbrzymiej ilości wypadków trudno było mówić o świadomości narodowej wychodźcy. Czy był Polakiem, Włochem, Litwinem, Słowakiem, Węgrem ? — Dla faktu świadomości narodowej niezbędne jest poczucie związania z *całością* narodu, z jego przeszłością, z jego instytucjami, z jego kulturą. Niezbędne jest ujmowanie siebie w ramach tej całości i jej spraw. Pamiętajmy, że znaczna część wychodźców pochodziła z krajów, pozbawionych własnej państwowości. Tak było z Polakami, Irlandczykami, Litwinami, Słowakami, Czechami i całą masą innych. Inni — jak sycylijscy Włosi — zbyt krótko byli w ramach włoskiej wspólnoty państwowej i zbyt słabo z nią byli związani, by przejść przez proces kształtowania się współczesnej narodowości. Emigrant był

bardziej „tutejszym” czy „tamtejszym”, niż członkiem określonego narodu.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że proces kształtowania się w nim poczucia związania ze wspólnotą narodową, z której wyszedł, zaczął się dopiero w Ameryce, jako rezultat amerykanizacji. Stopniowe wchodzenie emigranta w świat amerykański miało szerszy wpływ wychowawczy. Mówiliśmy już o tym, jak pod wpływem Ameryki w emigrancie załamywało się tradycyjne poczucie niższości wobec świata panów i jak powstawało w nim poczucie własnego znaczenia i godności osobistej. Emigrant, coraz bardziej wchodząc w Amerykę, zaczynał dostrzegać rzeczy, przekraczające ramy dawnej wsi i obecnego ghetta, i tym samym pogłębiał swe zainteresowania dla Starego Kraju.

Od Ameryki przejął również i filozofię sukcesu. Sam zaczął patrzeć na siebie jako na człowieka, któremu się powiodło, jako na „success”. By dojść do takiej konkluzji, wystarczało porównanie między tym, czym był w Ameryce, a tym, czym był w Starym Kraju. I to wytworzyło w nim nowy stosunek do bliskich, których zostawił po drugiej stronie Wielkiej Wody, do wsi rodzinnej i do całego ojczystego kraju. Ameryka nauczyła go, jak należy żyć. Dała mu wzór życia, różny od starokrajskiego, ale godny przyjęcia. Prawda, że tradycja rodzinno-sąsiedzka była w nim wciąż żywa. Ale coraz bardziej stawała się ona sprawą obrzędowości domowej, współistniejąc z coraz ważniejszą rzeczywistością amerykańską. I coraz bardziej odczuwał on swą wyższość nad dawnymi rodakami w Starym Kraju.

Prowadziło to do *protekcyjnej* postawy najpierw wobec bliskich, pozostałych po drugiej stronie, później — do dawnej ojczyzny. Emigranci, którzy myśleli o powrocie, wyobrażali sobie, jak posłużą przykładem swym krajanom, jak zabłysną przed nimi. Większość, która decydowała się na pozostanie w Ameryce, patrzała na siebie jak na protektorów dawnego kraju i jego ludzi.

Ten protekcyjny stosunek wyrażał się i w tej hojnej pomocy, jakiej emigracje udzielały i udzielają swym bliskim po „drugiej stronie”. W tej akcji pomocy splatały się najrozmaitsze motywy. I nie wszystkie one miały czysto „humanitarny” charakter. Rozmiary pomocy były poniekąd dowodem rozmiarów osiągniętego sukcesu, były potwierdzeniem dla samego siebie, że się go osiągnęło, i były świadectwem jego dla innych. Były też wyrazem protektorskiego ustosunkowania się do tamtych, mniej szczęśliwych, którzy zostali się w starokrajskich wioskach. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że protekcjonizm, z jakim Stany Zjednoczone w swych stosunkach międzynarodowych odnoszą się do reszty świata, ma bardzo silne oparcie w postawach mas emigracyjnych. Jest to ten protekcjonizm, jaki zawsze i wszędzie cechował plebejskich dorobkiewiczów.

Miało to duże konsekwencje polityczne. Zwłaszcza w cza-

sie pierwszej wojny. Niektóre emigracje — irlandzka, polska, czeska, litewska — odegrały bardzo wybitną rolę w dziele powstawania nowych państwowości w Europie. Emigracje te posunęły się już znacznie po drodze dojrzewania politycznego. Były już na takim poziomie, że Paderewski, Masaryk i inni przywódcy mogli do nich trafić. Doszły do uświadomienia narodowego w stosunku do dawnych ojczyzn i gotowe były udzielić im swej protekcji.

Powstanie w Europie szeregu nowych państw, z których wywodziło się wychodźtwo, miało na to ostatnie bardzo znaczny wpływ. Trzeba stale pamiętać, że państwa te powstały w okresie, gdy proces rozwoju cywilizacyjnego emigracji był już dość daleko posunięty, gdy zaczęła ona wychodzić z początkowego osamotnienia w ghettach. Rodowód państwowego pochodzenia, fakt przynależności do narodu niepodległego, miał dla emigranta duże moralne znaczenie. Jeżeli w pierwszych etapach swego pobytu w Ameryce godził się ze swą państwową bezosobowością, to stopniowo zaczął to odczuwać jako coś poniżającego, niekorzystnie wyróżniającego go od emigrantów, pochodzących z krajów państwowych. Polak, Irlandczyk, Czech, Litwin — poczuli teraz, że nie są gorsi od Niemca, Szweda, Włocha czy Anglika. Ich dawne ojczyzny przestały być prowincjami, bezimiennymi miejscami na mapie, ale stały się państwami — nieraz roszczącymi sobie wielkie pretensje międzynarodowe.

Rzecz znamienna, że okoliczność ta stała się czynnikiem *sprzyjającym* postępom amerykanizacji. Niejeden najbardziej narodowo uświadomiony emigrant uważał, że obowiązki jego wobec dawnej ojczyzny były niejako spełnione, że z czystym sumieniem może teraz myśleć o swej nowej amerykańskiej ojczyźnie. Oczywiście zawsze był gotów służyć swą protekcją ojczyźnie dawnej (szczególnie znamienne dla Irlandczyków), ale jako Amerykanin, jako obywatel kraju, którego jedną z misji jest darzyć swą protekcją inne narody świata.

To, że jego kraj był niepodległy, dawało emigrantowi *legitymację* wobec Ameryki. Ważny to moment, na który warto zwrócić uwagę. Decyzja stania się Amerykaninem sama przez się oznaczała pokonanie dawnego, starokrajskiego, „chamskiego" poczucia własnej niższości. Pokonanie tego poczucia byłoby niemożliwe bez potężnego i wszechstronnego oddziaływania niwelującej, plebejskiej demokracji Stanów Zjednoczonych. Ale w obrębie jej niwelujących wpływów istniały różne wartościowania jej członków i kandydatów na członków. Jedni byli cenieni bardziej, inni — mniej. Emigrant, zgłaszając się do współuczestnictwa w demokracji amerykańskiej, potrzebował jakiejś *legitymacji*, jakiegoś dowodu, który by w oczach innych — a i w jego własnych oczach — wykazywał jego zdolność do udziału w Ameryce, ba — nawet jego *prawo* do takiego uczestnictwa. Wywodzenie się z własnego państwa mogło być użyte dla takiej legitymacji.

Jest rzeczą wysoce pouczającą badanie kultów *narodowych patronów* grup emigracyjnych w Stanach Zjednoczonych. Patroni tacy to wielcy rodacy, znane postacie historyczne, które zasłużyły się Ameryce i niejako weszły do amerykańskiego Panteonu narodowego. Pułaski i Kościuszko dla Polaków, Steuben i Schurz dla Niemców, Kolumb dla Włochów, Lafayette dla Francuzów — oto przykłady takich patronów emigracji, służących jako legitymacja prawa do Ameryki.

Rola tych patronów jest bardzo ważna. Jest ona w rzeczywistości dwojaka. Kult patrona podnosi znaczenie dawnej ojczyzny, która takiego bohatera zdolna była wydać. W postaci patrona usuwała się w cień dawna rodzinna wioska z jej ciasnym kręgiem stosunków rodzinno-sąsiedzkich, a występowała szeroka dawna ojczyzna, kraj ważny, bogaty w dzieje, o wielkich tradycjach. I do tego kraj, któremu Ameryka coś zawdzięcza i który z tego tytułu ma prawo do amerykańskiej przyjaźni i protekcji.

Ale zarazem patron *wprowadzał* emigranta do Ameryki. Dzięki patronowi emigrant przestawał być bezimienną jednostką, małocenioną czy lekceważoną. Jako rodak Kolumba, czy Pułaskiego, czy Steubena, czuł się należycie wylegitymowanym wobec Ameryki, czuł się związanym z jej dziejami, z jej tradycją. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że kult patronów-rodaków stał się bardzo ważnym elementem w procesie amerykanizowania się mas emigracyjnych.

Ciekawe, że nawet te grupy etniczne, które obiektywnie mają bardzo mało podstaw do powoływania się na patronów, starają się jakoś ich sobie stworzyć. Irlandczycy w kulcie Św. Patryka wytworzyli sobie kult patrona, łączącego ich ze starą i z nową ojczyzną, i legitymującego wobec nowej. Węgrzy amerykańscy wyzyskali krótki pobyt w Ameryce Kossutha, by z niego zrobić swego patrona. Wśród Jugosłowian dziś w ten sposób wytwarza się kult Tesli. I podobnych przykładów można by przytoczyć więcej.

V

W jak najbardziej tylko szkicowej formie mogliśmy omówić proces przekształcania się w Ameryce mas emigracyjnych. Temat to bowiem kolosalny i nie da się wyczerpać w ramach tych rozważań. O wielu stronach emigracji w ogóle nie było mowy, inne — były poruszone tylko bardzo ogólnikowo.

Istota rzeczy jest w tym, że emigrant w Ameryce przeszedł długą drogę i uległ całkowitej przemianie. Przemiana ta była najpełniejsza i sięgała najgłębiej w tej części jego życia i duchowości, która była wyznaczona przez udział w zbiorowości amerykańskiej. Ale zmiany te wdarły się również i do tej dziedziny jego życia, która miała być kontynuacją przeszłości, do świata stosunków rodzinno-sąsiedzkich. Wraz z dorastaniem młodego

pokolenia i w tej dziedzinie następowały coraz większe przemiany. Z przeszłości zachowywały się pewne tradycje, raczej formy niż treści. Dawne ghetta rozpadały się, emigrant zaczynał je opuszczać. Zanikały i dawne obyczaje, przychodziły nowe, upodobniające emigranta do reszty Amerykanów. Słowem — amerykański ,,tygiel'' (melting pot) wytwarzał nowy produkt.

Aby to w pełni ocenić, trzeba stale porównywać, czym był emigrant, gdy przybywał do Ameryki, z tym, czym się on stał po dziesięcioleciach, a zwłaszcza z tym, czym stało się jego potomstwo. Nędzarz, analfabeta, często istota narodowościowo bezimienna, człowiek żyjący na marginesie życia w dawnej ojczyźnie — w Ameryce zdobywał pozycję życiową, ufność w siebie, dobrobyt, stawał się uczestnikiem demokratycznej zbiorowości.

Jeżeli mówi się o różnych cudach Ameryki, to chyba największym z nich jest to, co stało się tu z milionami emigrantów. Niewątpliwie sprzyjały temu warunki geograficzne i gospodarcze : rozmiar kraju, jego słabe zaludnienie, kolosalne bogactwa naturalne. Wszystko to by jednak nie wystarczyło, gdyby nie rzecz najważniejsza i decydująca — istnienie demokracji ludowej, cywilizacji plebejskiej z jej potężnymi procesami niwelacyjnymi, z jej brakiem ekskluzywności, z jej wyjątkową chłonnością. To było możliwe w społeczeństwie, któremu obce były sztywne nawarstwienia społeczne Europy i które wzywało każdego do pogoni za sukcesem, mierzonym w dolarach. Plebejskie masy z Europy w plebejskiej Ameryce mogły znaleźć miejsce dla siebie i poczuć się tu u siebie. I zarazem mogły przejść przez potężny proces wychowawczy, w pełni je przekształcający. Jeżeli się porówna listy, pisane przez emigrantów do rodzin w Europie, zebrane przeszło trzydzieści lat temu przez Thomasa i Znanieckiego (,,Polish Peasant in Europe and America''), z dzisiejszym emigrantem — nie mówiąc już o jego potomstwie ! — różnica wyda się zdumiewającą.

Nic dziwnego, że w starym emigrancie mogło się wytworzyć uczucie głębokiej wdzięczności dla Ameryki i silnego do niej przywiązania. Emigrant, nawet wtedy, gdy zachowuje jakąś łojalność dla Starego Kraju, jest dobrym Amerykaninem. A i ta łojalność wobec dawnej ojczyzny jest raczej odświętna, tradycyjna i ponadto zabarwiona tym patronalizmem, o którym już wspominaliśmy. We wszystkich środowiskach emiganckich poczucie amerykańskiego posłannictwa, amerykańskiego przodownictwa i w ogóle amerykańskiej idei jest bardzo silne. Emigrant wie, ile Ameryce zawdzięcza, i na tej podstawie buduje swą wiarę w Stany Zjednoczone i w ich misję.

Podkreślmy raz jeszcze — nie chodzi tu tylko o awans życiowy w sensie materialnym. Pewnie, że awans ten był bardzo wielki. Ale w parze z nim szedł awans moralny — rozwinięcie w sobie zaufania do samego siebie, poczucia własnej godności, optymizmu, każącego wierzyć w to, że świat jest otwarty dla

mnie i — jeszcze bardziej — dla moich dzieci. W tym szczególnie emigrant stał się Amerykaninem, stosunkowo szybko i łatwo przyswajając sobie zasadnicze cechy mentalności amerykańskiej.

VI

Tak w ujęciu najbardziej szkicowym da się narysować oblicze tego emigranta, który przez dziesięciolecia aż do pierwszej wojny światowej w milionowych zastępach płynął na podpokładziach wielkich statków transoceanicznych, szukając w Ameryce pracy i chleba. Ta emigracja dziś należy już do przeszłości. Ludzie, których ona przyniosła do Stanów Zjednoczonych, po przejściu w nowym kraju przez zupełną transformację stopniowo wymierają. Zostają się po nich nowe generacje, które coraz pełniej ulegają amerykanizacji.

Ale w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci powstała nowa emigracja, zupełnie różna od starej. Ta nowa emigracja zaczęła się po pierwszej wojnie światowej, gdy rewolucja bolszewicka wyrzuciła do Ameryki sporą grupę Białych Rosjan. Później od roku 1934 zaczęła do Ameryki napływać emigracja z Niemiec — żydowsko-niemiecka i niemiecka, a w czasie wojny nadeszli uchodźcy z innych krajów, ujarzmionych przez Niemcy. Wreszcie po wojnie i aż dotąd zaczęli napływać i wciąż napływają ci, którzy nie chcieli wracać do swych ojczyzn, opanowanych przez komunizm.

Słowem, motywem dla tej emigracji były względy polityczne a nie zarobkowe. Pod tym względem przypominała ona te grupy dysydenckie, o których wspominaliśmy na początku tych rozważań. Ale z analogiami trzeba tu być ostrożnym. Inny był bowiem dysydentyzm i inna była Ameryka, do której przybywali ci sprzed stuleci.

Trudno tu ustalić dane liczbowe odnośnie tej nowej emigracji. Materiały, jakimi rozporządzają amerykańskie władze emigracyjne, są bardzo niepełne i nie wiele mogą powiedzieć. Poza tym pewna ilość wychodźców po wojnie opuściła Amerykę. W każdym razie liczby te, w porównaniu z emigracjami starymi, nie są wysokie. Włączając w to rosyjską emigrację po rewolucji, można najwyżej mówić o setkach tysięcy, co na przestrzeni przeszło trzydziestu lat stanowi znacznie mniej, niż jednoroczny napływ z epoki wielkich wędrówek.

O nowych emigrantach da się powiedzieć, że do Ameryki zaniosła ich fala historii, że na brzegi Stanów Zjednoczonych wyrzuciły ich konwulsje wypadków naszej epoki. Olbrzymia większość tych wychodźców — czy raczej uchodźców — nie zamierzała udawać się do Ameryki i gdyby nie nieoczekiwany rozwój wydarzeń historycznych, nigdy by się do Ameryki nie była wybrała. W warunkach normalnych nie działały w niej motywy, które przedtem miliony jej rodaków popchnęły za ocean. Nie

tyle emigrowała do Ameryki, ile została do Ameryki wyrzucona.

Przyjazd do Ameryki w życiu indywidualnym każdego z tych emigrantów był wyznaczony przez fakt *katastrofalnej a nieoczekiwanej przemiany* — rewolucji, najazdu wroga, okupacji kraju rodzinnego, która pociągnęła za sobą całkowity przewrót socjalny. Do tej przemiany — nazwijmy ją *katastrofą* — ludzie ci żyli w sposób ustabilizowany, byli ekonomicznie zabezpieczeni, zajmowali poważne — nieraz kierownicze — stanowiska w życiu swych zbiorowości. Przeważnie też byli ludźmi wykształconymi, nieraz — bardzo wykształconymi. Wśród nich byli pisarze, uczeni, artyści. Słowem, tworzyli ważną część intelektualnych, politycznych czy społecznych elit swych krajów.

Jeżeli o dawnych masowych emigracjach do Ameryki można mówić, że reprezentowały one margines starej Europy, to nowe emigracje wychodziły od jej centrum. Były na ogół zaprzeczeniem ludowości czy plebejskości. Ich przedstawiciele w swej większości reprezentowali świat „wyższy", świat „pański", górną warstwę lub szczyt organizacji socjalnej Europy.

Znaczna ich część, przybywając do Ameryki, żyła nadzieją powrotu do dawnych ojczyzn i dawnych warunków istnienia. Ameryka miała być tylko czasowym schronieniem, miejscem przetrzymania złych czasów. Emigranci rosyjscy — pierwsi z tej serii — byli przekonani, że bolszewizm szybko się skończy i że znów będą mogli wrócić do Rosji. Pytaniem było, czy będzie to Rosja monarchistyczna czy demokratyczno-republikańska. Ale z pewnością nie miała to być Rosja komunistyczna.

Ta sama wiara istniała i wśród tych uchodźców, których do Ameryki zaniosła zawierucha hitleryzmu. Jeżeli chodzi o pewną część tych uchodźców, to wierze ich sądzone było się urzeczywistnić. Po wojnie prawie całe uchodźtwo z Francji, Belgii, Holandii, Włoch, Norwegii, spora grupa z Niemiec i Austrii (nawet niektórzy Żydzi), powróciły do Europy. I nawet jakaś cząstka uchodźtwa z Polski i Czechosłowacji zdecydowała się na powrót. Na miejsce jej przyszła bezporównania liczniejsza gromada powojennych uchodźców, głównie spośród DP.

Ale wśród tych, którzy nie wrócili (w sumie liczba ich po wojnie znacznie się powiększyła), wiara w bliskość powrotu słabła. Czas przechodził, wypadki posuwały się szybko i stawało się wyraźne, że nadziei na powrót jest coraz mniej. Najwcześniej przyjęła to najstarsza z nowych emigracji — pobolszewicka rosyjska. Przyjęła i żydowska z Niemiec i Austrii. Dziś zaczynają to przyjmować i pozostałe emigracje. Ameryka nie będzie chwilowym schronieniem, ale miejscem, gdzie wypadnie osiąść na długo, zapewne — na resztę życia. Do tego dołączyły się i momenty osobiste. Nowi emigranci jakoś urządzali się na nowej ziemi, jakoś zapuszczali korzenie. A i dorastać zaczynało młode pokolenie, już wychowane w Ameryce. To nowe pokolenie — o czym wypadnie nam jeszcze mówić — staje się ważnym czynnikiem wiążącym nową emigrację z Ameryką.

Spróbujmy teraz — znów w formie szkicowej — scharakteryzować procesy, jakie w tej nowej emigracji zachodzą. Trzy momenty wymagają tu specjalnego omówienia: adaptacja emigracji do Ameryki, kształtowanie się jej ocen nowej rzeczywistości, oraz stosunki między nowymi a starymi emigrantami.

VII

Zacznijmy od stwierdzenia podstawowego faktu, że Stany Zjednoczone nie były przygotowane na przyjęcie tego rodzaju emigrantów. Cały aparat wchłaniania nowych przybyszów — organizacja prawno-administracyjna, układ stosunków społecznych — był w Stanach Zjednoczonych obliczony na zupełnie inne elementy. Amerykańskie władze emigracyjne miały duże doświadczenie, gdy chodziło o dawne fale emigracyjne. Tu była rutyna, tu istniał odpowiedni typ urzędników emigracyjnych. Urzędnik ten miał swój wzór emigranta. Nowy emigrant nie odpowiadał temu wzorowi. Niewątpliwie w świetle powszechnie przyjętych kryteriów nowy emigrant był lepszym materiałem na Amerykanina niż emigrant dawny. Ale w praktyce zapominało się o kryteriach, a widziało się ludzi, którzy nie byli tacy, jakimi emigranci ,,normalnie'' bywali. Było to kłopotliwe, nieraz irytujące. Na tym tle dochodziło do nieporozumień, scysji, bardzo przykrych dla emigrantów i nieprzyjemnych dla urzędników, w których głowach powstawał zamęt, gdy musieli odchodzić od biurokratycznej rutyny.

Ale to były jeszcze rzeczy drobne. O wiele poważniejsze było to, że Ameryka jako całość nie była przygotowana na przyjęcie takich emigrantów. Społeczny, gospodarczy, kulturalny aparat wchłaniania przybyszów, który sprawnie działał w przeszłości, teraz zaczynał szwankować.

Bez wątpienia ze strony społeczeństwa amerykańskiego i jego instytucji była jak najlepsza wola w kierunku życzliwego przyjęcia uchodźców. Było współczucie dla ich ciężkiej doli, była chęć dopomożenia im, było wreszcie przekonanie o ich użyteczności dla Ameryki. Trudnością było to, że obie strony — Amerykanie i przybysze — w wielu zasadniczych sprawach nie mogli znaleźć wspólnego języka, że myślenie ich i odczuwanie szły po różnych drogach. Każda ze stron reprezentowała odmienną cywilizację, odmienny system wartości społecznych i obu trudno było porozumieć się ze sobą.

Strona amerykańska przyjmowała, że kondycja socjalna jednostki i jej prestiż w społeczeństwie są pochodnymi jej kondycji ekonomicznej. Równocześnie Amerykanie uznawali za rzecz naturalną elastyczność w wykonywaniu zawodów, jeżeli tą drogą dochodzi się do lepszej kondycji ekonomicznej. Oczywiście jest rzeczą dobrą wykonywać pracę zawodową, zgodną z posiadanymi kwalifikacjami. Ale kwalifikacje same przez się nie są wy-

starczające podstawą do zdobycia możności wykonywania określonej czynności gospodarczej. I jeżeli nie mogły być zastosowane, należało brać się do takiego sposobu zarobkowania, jaki się nasuwał i jaki mógł zapewnić najlepsze wyniki finansowe.

To zaś było obce filozofii Europejczyka. Kwalifikacje, jakie dało mu wykształcenie, w ogromnym stopniu wyznaczały w Starym Świecie jego pozycję socjalną i jego prestiż. Wyznaczały zarazem i rodzaj jego działalności gospodarczej. Przejście do innego zawodu, nie wynikającego z jego kwalifikacji i związanej z nimi kondycji socjalnej, nie mówiąc już o sprawie zamiłowania — oznaczałoby *deklasację*. Przybysz w Ameryce chciał być tym, kim był w Europie. Oczywiście godził się z tym, że jego pozycja gospodarcza może się pogorszyć. Ale nie chciał się wyrzec swej pozycji socjalnej, nie chciał ulegać deklasacji.

Tu od pierwszej chwili dochodziło do konfliktu. Amerykanie — w postaci różnych instytucji pomocy czy krewnych od dawna osiadłych w Stanach Zjednoczonych — chętnie służyli pierwszą pomocą, ale po to, by dać przybyszowi możność przetrwania początkowego okresu i tym samym czas na zdobycie środków zarobkowania. Pomoc miała na celu umożliwienie emigrantowi „stanąć na własnych nogach". To zaś następowało, gdy emigrant zaczynał zarobkować, po prostu zarobkować — bez względu na to, czy zgodnie ze swymi kwalifikacjami czy niezależnie od nich.

Europejski prawnik, któremu zalecano pracować jako robotnik fabryczny, taką zmianę kondycji odczuwał bardzo boleśnie. Tego znów nie mógł zrozumieć Amerykanin. Niewyzyskiwanie lub złe wyzyskiwanie kwalifikacji, otrzymanych drogą szkolnego wykształcenia, jest w ogóle bardzo charakterystyczne dla całego życia amerykańskiego. Jeżeli w Ameryce mówi się, że „marnotrawstwo jest głównym grzechem amerykańskim" (waste is America's main vice), to w ogromnym stopniu da się to odnieść do niewyzyskiwania kwalifikacji, jakie dać może wykształcenie. Ameryka wobec emigrantów zachowywała się tak, jak i wobec własnych dzieci. Emigrant jednak, przyzwyczajony do stosunków europejskich, tego właśnie zrozumieć nie umiał. Stąd płynęło rozgoryczenie z jednej strony i rozczarowanie z drugiej.

Nie oznacza to, by znaczna część nowych przybyszów nie znajdowała zastosowania dla swych kwalifikacji w dziedzinach właściwych. Znaleźli zastosowanie lekarze. Duża ilość europejskich specjalistów-techników mogła w Stanach Zjednoczonych szczęśliwie zastosować swą wiedzę i wykształcenie. Amerykańskie zakłady naukowe zatrudniły wielu europejskich naukowców. Szczególnie w latach wojny cały szereg amerykańskich instytucji, związanych z obroną narodową, dał pracę europejskim specjalistom. Wojenna propaganda i informacja amerykańska w poważnym stopniu opierała się na udziale przybyszów.

Bardzo jednak znaczna ilość nowych emigrantów nie zna-

lazła zastosowania dla swych kwalifikacji. Prawnicy, literaci, dziennikarze, wojskowi, urzędnicy państwowi, wielu przemysłowców itd. znaleźli się wobec konieczności brania się do pracy, dalekiej od ich kwalifikacji i doświadczenia.

Ale nawet i w tych dziedzinach, gdzie emigrant mógł najpełniej zastosować swe kwalifikacje, nie wszystko szło gładko. Europejski naukowiec nie czuł się swobodnie w ramach amerykańskiego college'u czy uniwersytetu. Organizacja tych instytucji jest bardzo różna od organizacji wyższych szkół w Europie. Zupełnie inne są stosunki z młodzieżą. I co najważniejsza — różna jest pozycja socjalna profesora po tej i po tamtej stronie oceanu. Nie od razu naukowiec europejski umiał się przystosować do nowych warunków i bardzo trudno było mu się z nimi pogodzić. To samo da się powiedzieć o wszystkich innych dziedzinach, w których znalazło się miejsce dla wykwalifikowanych przybyszów, miejsce, pozwalające wykorzystać ich kwalifikacje.

A ogromna ilość nowych emigrantów musiała zaczynać życie na nowo i to w warunkach, do których nie była przygotowana. Przy czym, rozpoczynając to życie na nowo, musiała rezygnować z tych pretensji do socjalnego prestiżu, jakie wyniosła ze Starego Świata. To znów odczuwała jako deklasację. I tego właśnie nie rozumiało otoczenie amerykańskie.

W odniesieniu do dawnej, masowej emigracji ekonomiczny aparat adaptacyjny działał w Stanach Zjednoczonych bardzo sprawnie. Dawny przybysz otrzymywał pracę, dla której jedyną kwalifikacją było posiadanie pary mocnych rąk. Tę kwalifikację przybysz posiadał. Na inną pracę nie liczył. Zajęcie, które teraz wykonywał, nie było trudniejsze od zajęcia, jakie wykonywał przed emigrowaniem. Często było nawet łatwiejsze. A ekonomicznie dawało lepsze wyniki. Z wynikami zaś szedł prestiż, podnoszenie się kondycji socjalnej.

VIII

Dawne, masowe, ludowe emigracje do Ameryki prowadziły do awansu gospodarczego i społecznego. Emigrant w Ameryce podnosił się — materialnie i moralnie. Porównywując swą dolę w Stanach Zjednoczonych z dolą w Starym Kraju, nie miał wątpliwości, że życiowo bardzo mu się powiodło. Mógł zachowywać wspomnienia przeszłości, mógł zachowywać sentyment dla dawnej ojczyzny, ale to, co było pomyślnego w jego życiu, wiązał z Ameryką. I w Ameryce widział swoją przyszłość i przyszłość swoich dzieci.

Inaczej — nowa emigracja. Pomijając rzadkie wypadki, Ameryka nie jest dla niej awansem materialnym. Na znaczną część tej emigracji składają się ludzie, którzy w Starym Kraju mieli zabezpieczoną pozycję gospodarczą. Spora grupa wśród

nich to ludzie niegdyś majętni. I najczęściej nie potrafili oni osiągnąć w Ameryce tego poziomu materialnego, jaki im przypadał w udziale przed emigracją.

Nie oznacza to, by materialnie im się koniecznie źle powodziło. Ameryka jest wciąż w okresie boomu. W Stanach Zjednoczonych umrzeć z głodu jest rzeczą bardzo trudną. Istnieją tu możliwości zarobkowania takie, jakich nie wiele jest w innych krajach. Nowi emigranci na pewno nie biedują w europejskim sensie tego słowa... Ale w przeważającej ilości wypadków powodzi im się gorzej, niż przed amerykańskim okresem ich życia. Niekiedy znacznie gorzej. A brak zabezpieczenia, ową amerykańską insecurity, odczuwają bardzo wyraźnie. Uczucie to przed emigracją było im na ogół nieznane.

Jednakże brak awansu materialnego nie jest jeszcze rzeczą najważniejszą. Boleśniej jest odczuwany brak awansu socjalnego. Gorzej — odczuwana jest deklasacja. ,,My przecież wszyscy jesteśmy *déclassés''* — mówiła mi niedawno lekarka-wiedenka, z powodzeniem wykonywująca swój zawód.

To zdeklasowanie odczuwają emigranci europejscy ze wszystkich krajów i to zarówno ci, którzy musieli przejść do zawodów kwalifikacyjnie im obcych, jak i wielu z tych, którzy zdołali znaleźć zastosowanie dla swych kwalifikacji. Adwokat europejski, który w Ameryce zajmuje się ubezpieczeniami czy pośrednictwem w handlu nieruchomościami, choćby nawet dobrze zarabiał, odczuwa swe nowe zajęcie jako społeczną degradację. Nie w oczach Amerykanów! Ale we własnych oczach i w oczach swych europejskich przyjaciół. I czy ma jakieś szanse na zdobycie pozycji przodowniczej w środowisku czysto amerykańskim?...

Pisarz, który stał się robotnikiem fabrycznym, elegancka dama, która pracuje w fabryce kosmetyków czy — jeszcze gorzej — w kafeterii, były przemysłowiec, który jest rad, że ma posadę magazyniera, były oficer, który zarobkuje jako tokarz — wszyscy oni czują się zdeklasowanymi. A ci, którzy pracują w dziedzinach zgodnych z ich kwalifikacjami, najczęściej zajmują stanowiska podrzędne w porównaniu z tymi, które zajmowali dawniej lub do których mogliby dojść w warunkach normalnych we własnym kraju.

Konflikt dwóch cywilizacji — amerykańskiej ludowo-plebejskiej i europejskiej elitarno-intelektualnej — występuje szczególnie jaskrawo na tle losów nowej emigracji. Swe zdeklasowanie widzi ona przede wszystkim w odejściu od tych zasadniczych wartościowań społecznych, jakie cechowały starą Europę.

Wiemy, że stare emigracje tworzyły instytucje utrzymania ciągłości z przeszłością. Podobne tendencje istnieją i wśród nowej emigracji. Zachodzą tu jednak bardzo zasadnicze różnice. Przede wszystkim nowa emigracja nie tworzy własnych ghett narodowościowych (na to jest zresztą zbyt nieliczna) i stara się trzymać z dala od istniejących starych ghett. Jednakże osiedla-

jąc się w miastach amerykańskich, stara się wybierać ,,lepsze'' dzielnice, bardziej spokojne, z parkami w pobliżu. W tym sensie pewne dzielnice na przykład New Yorku, nie przybierając charakteru ghett, są dość często zaludniane przez pewne grupy nowych przybyszów. Równocześnie nowa emigracja tworzy instytucje utrzymania ciągłości z przeszłością, nadając im jednak charakter bardzo różny od instytucji emigracji starej.

Nowej emigracji zależy na utrzymaniu ciągłości kulturalnej i — w jakiejś mierze — socjalnej. To pierwsze jest dla niej sprawą szczególnie zasadniczą. Nie wyszła przecież z marginesu kulturalnego swych narodów, ale z samego centrum. Jeśli wydaje pisma, to są one na wysokim poziomie. Emigracja rosyjska utrzymuje kilka doskonałych periodyków. Wydawnictwo imienia Czechowa może się szczycić swymi wynikami. Niemieckie ,,Aufbau'' nie da się porównać z typowymi amerykańskimi pismami obcojęzycznymi. Grupy emigracyjne polskie, ukraińskie, żydowskie starają się utrzymywać szereg poważnych ośrodków kulturalnych. Taki Żydowski Instytut Naukowy (YIVO), przeniesiony z Wilna do New Yorku, jest świetną placówką naukową, która badaniami swymi również objęła szeroki zakres spraw polskich.

Ale obok tego istnieje dążenie do zachowania tych form społecznych, jakie są namiastką utraconej przeszłości. Jednym z celów jest tu odrodzenie utraconego prestiżu społecznego, czy — choćby — stworzenie jego iluzji. To jest zadaniem tych rozlicznych organizacji, stowarzyszeń zawodowych, klubów, nawet grup politycznych, jakie wytwarza nowa emigracja. Każda grupa narodowościowa ma stowarzyszenia literatów, którym coraz trudniej jest drukować, aktorów, którzy nie grają, adwokatów, którzy nie praktykują, oficerów, którzy zajmują się wszystkim tylko nie wojskiem, itd., itd. Rosjanie i Niemcy wykazują tu szczególną aktywność, choć Polacy, Ukraińcy i Litwini niewiele im ustępują. Ludzie, którzy biorą udział w tych zespołach i wyżywają się w nich, znajdują tam jakąś namiastkę utraconego prestiżu społecznego, szukają wskrzeszenia atmosfery czasów, które przeminęły.

IX

A jednak i nowa emigracja jest wsysana przez Amerykę. I pod pewnymi względami łatwiej i szybciej niż emigracje stare. Łatwiej opanowuje język, jest nieskończenie lepiej przystosowana do życia wielkomiejskiego i technologicznych osiągnięć cywilizacji amerykańskiej, niż masy uchodźtwa wiejskiego. Pewna jej część przyjechała do Ameryki z jakimiś zasobami pieniężnymi, niektórzy — z większymi kapitałami. Pewnej części pomogły posiadane kwalifikacje szkolne. Łatwiej jej było nawiązywać stosunki w świecie amerykańskim, łatwiej się jakoś urządzać.

W wypadku wielu emigrantów przekonanie, że powrotu do Starego Kraju już nie ma, stało się potężnym czynnikiem świadomego dążenia do zamerykanizowania się. Jeszcze ważniejszym czynnikiem stają się dzieci. Tak samo, jak ogromną rolę odegrały one w amerykanizowaniu się dawnych emigracji.

Jest rzeczą uderzającą, że młode pokolenie nowej inteligenckiej emigracji amerykanizuje się znacznie szybciej niż młode pokolenie emigracji ludowych. I idzie mu to łatwiej. Fakt, że nie żyje ono w ghettach narodowościowych, że ambicją rodziców jest danie mu jak najlepszego wykształcenia, ma tu kolosalne znaczenie.

Nowa emigracja chce zachować w swym potomstwie ciągłość intelektualnych zainteresowań i wykształcenia. Do Ameryki ze sobą przyniosła europejskie tradycje inteligencji. Ambicją europejskiego inteligenta jest to, by syn jego był inteligentem. Jest to zresztą więcej niż ambicja. Jest to przekonanie o *obowiązku* starszego pokolenia wobec młodzieży. Ci zaś z emigrantów, którzy w Ameryce musieli zrezygnować z nadziei na wykorzystanie swych kwalifikacji, tym bardziej marzą o tym, by dzieci ich znów stały się intelektualistami.

Nowa emigracja nie szczędzi więc największych wysiłków, by dzieciom dać wykształcenie. Nieraz idzie w tym dalej, niż same dzieci. Znam wypadki, gdy dla ojca-intelektualisty prawdziwą tragedią było oświadczenie szybko amerykanizującego się syna, że chce iść do businessu i że nie potrzebne mu jest wielkie wykształcenie.

W wielu jednak wypadkach intelektualne tradycje rodzinne znajdują dla siebie kontynuację w młodym pokoleniu. Jestem przekonany, że nowa emigracja dostarczy kulturze amerykańskiej niejedno wybitne nazwisko. A i dziś wśród nowej generacji poważnych naukowców amerykańskich ilość dzieci świeżych emigrantów jest stosunkowo znaczna.

Będzie to jednak już intelektualizm amerykański. Niewątpliwie jakaś doza europejskości — nieraz bardzo znaczna — przejdzie i do niego. Młode pokolenie nowych emigrantów wynosi z domu tradycje, które zupełnie były obce synom i córkom dawnych wychodźców. Pod tym względem — po raz pierwszy w dziejach Ameryki — emigracja będzie mogła stać się poważnym łącznikiem między europejską puścizną kulturalną a kulturą amerykańską. Dotąd takimi łącznikami były te jednostki, które dzięki sławie zdobytej w Europie odrazu były przyjmowane przez Amerykę i darzone pełnym zaufaniem.

Ale młode pokolenie, nawet przejmując od rodziców dawne tradycje kulturalne, szybko amerykanizuje się. Pochłania je szkoła amerykańska, rozwijają się w nim zainteresowania i nawyki, które są znamienne dla całej młodzieży amerykańskiej. Nie zawsze to idzie łatwo. Od młodzieży emigranckiej — szczególnie od nieco starszej — nieraz słyszę skargi na trudności współżycia z amerykańskimi kolegami, na płytkość i brak zain-

teresowań wśród tych ostatnich, na płynące stąd osamotnienie młodych eks-Europejczyków. Ale jednocześnie ta sama młodzież podkreśla, że miejsce swoje widzi w Ameryce, i zdaje sobie sprawę z tego, że w rzeczach najbardziej zasadniczych upodobnia się do reszty Amerykanów. Zresztą — pomijając nieliczne wypadki — jej wyniki w szkole są doskonałe. Panuje ogólne przekonanie, że młode pokolenie nowych emigrantów wybija się wśród swych rówieśników. To jeszcze raz zdaje się przemawiać na rzecz tezy, że młodzieży tej w przyszłości wypadnie odegrać poważną rolę w życiu duchowym Stanów Zjednoczonych.

I młodzież ta coraz bardziej staje się łącznikiem między rodzicami a Ameryką. Od swych przyjaciół nieraz słyszę, że w każdym wypadku zostaną się do końca życia w Ameryce. Albowiem dzieci ich nigdy nie zgodzą się na powrót do Europy. Stara prawda o niezwykłej zachłanności amerykańskiego ,,tygla'' i tu raz jeszcze znajduje swe potwierdzenie.

X

Na tle tych wszystkich przemian i zachodzących procesów szczególnie ważne staje się zagadnienie stosunków między obu emigracjami — starą i nową. Zagadnienie to jest tak istotne, że wymaga poświęcenia mu specjalnej uwagi.

Występuje tu problemat zasadniczej rozbieżności obu emigracji. Stara emigracja to świat ludowo-plebejski, który w Ameryce osiągnął swój awans społeczny i kulturalny oraz sukces ekonomiczny. Nowa emigracja wywodzi się od ,,panów'', reprezentuje ,,elity'', które spotkała katastrofa. Emigrację tę zawierucha wyrzuciła do Ameryki, gdzie znalazła się w sytuacji, którą odczuwa jako deklasację. Słowem — każda emigracja reprezentuje różne nawarstwienia społeczne dawnych ojczyzn i ma za sobą inne koleje na nowej ziemi. Starzy — to dół, który się wzniósł; nowi — to góra, która spuściła się na dół.

Chodzi tu nie tylko o momenty ekonomiczne. Najważniejsze są momenty społeczno-kulturalne. Obie emigracje wyszły z krajów, w których zróżnicowanie społeczno-kulturalne występowało bardzo wyraźnie. W Ameryce cywilizacje ,,ludowe'' spotkały się z cywilizacjami ,,pańskimi''. To staje się źródłem nieporozumień, nawet — konfliktów.

Trzeba stwierdzić, że stare emigracje przyjmowały nowych przybyszów z dawnych ojczyzn nadzwyczaj życzliwie. Udzielały im pomocy materialnej, starały się o znalezienie pracy, szukały bliższych kontaktów towarzyskich.

W tych postawach starej emigracji wobec nowej działały różne motywy, niekiedy o charakterze ambiwalentnym. Oczywiście działał czysto ludzki motyw współczucia dla rodaków, których spotkało nieszczęście. Pierwszy, najbardziej ludzki odruch

nakazywał pomóc nieszczęśliwym. Ale obok tego działały jeszcze i inne motywy.

Przede wszystkim nowa emigracja dawała starej jeszcze jedną i to ważną legitymację wobec Ameryki. Stara emigracja odczuwała dumę z tego, że pochodzi z kraju, z którego teraz do Ameryki przybyło tylu wybitnych ludzi — znakomitych polityków, głośnych pisarzy, uczonych itp. Niektórzy z tych ludzi byli znani w Ameryce i przez Amerykanów szanowani. Ich splendor spadał na kraj, który ich wydał, a tym samym i na emigrantów, którzy w tym kraju się urodzili. Nowa emigracja była niejako uzupełnieniem tradycyjnych patronów emigracji starej — Pułaskiego, Steubena, Kolumba i innych.

Trzeba pamiętać, że nowa emigracja zaczęła do Ameryki napływać właśnie w tym okresie, kiedy w miarę postępów amerykanizacji sprawa legitymacji wobec Ameryki była dla starej emigracji szczególnie doniosła. Ameryka znów miała jasny dowód, że nie tylko bezimienne masy pochodziły z Europy. Pochodzili z niej i ludzie, których Ameryka podziwiała. A więc dawny emigrant polski, włoski czy czeski mógł od Ameryki wymagać uznania i dla siebie, mógł oczekiwać, że będzie lepiej oceniony. Choć brzmi to paradoksalnie, nowa emigracja pod pewnymi względami wpłynęła na postęp amerykanizacji emigracji dawnej. Wzmocniła jej moralne podstawy w świecie amerykańskim, dała jej nowe przekonanie o jej cenności dla Ameryki.

Bardzo jednak szybko stosunki między obu emigracjami zaczęły się wikłać. Powstawały trudności, prowadzące do konfliktów. Było to na tle sprawy przewodnictwa. Nowe emigracje, przybywając do Ameryki, miały nadzwyczaj mętne wyobrażenie o tutejszych stosunkach, a przede wszystkim — o starej emigracji. Jeżeli Ameryka nie była przygotowana do spotkania się z nimi, to — jeszcze bardziej — one nie były przygotowane do spotkania się z Ameryką. Przekonanie, że Polonia amerykańska jest siedemnastym województwem polskim, było bardzo rozpowszechnione wśród polskich emigrantów-inteligentów. Analogiczne złudzenia istniały i wśród nowych emigrantów innych narodowości. Zakładano, że w Ameryce spotka się takich Polaków, Czechów, Żydów, Węgrów, Rumunów, jacy żyli w Europie. A rzeczywistość okazała się bardzo daleką od tych oczekiwań.

Nowa emigracja przed katastrofą zajmowała przewódcze pozycje. Pochodziła z krajów, w których wciąż utrzymywały się tradycje patronatu warstw ,,wyższych'' nad ,,niższymi''. Przybywając do Ameryki, była nastawiona na kontynuację swej tradycyjnej roli.

Stara emigracja w pewnej mierze gotowa była przyjąć przywództwo przybyszów. Ale tylko w pewnej mierze i nie w każdej dziedzinie. Nie kwestionowała ich kierownictwa w tych sprawach, które całkowicie były związane z losami dawnych ojczyzn.

To było naturalną funkcją nowych przybyszów i tu stara emigracja uznawała ich pierwszeństwo i służyła wszelką pomocą, jaką mogła rozporządzać.

Inaczej jednak wyglądała dziedzina spraw czysto-amerykańskich, tego wszystkiego, co wynikało z życia starej emigracji w Ameryce. Tu wychodźtwo wytworzyło własnych przywódców, którzy wyszli z jego łona, którzy byli swoimi ludźmi. Tym przywódcom ufano, wieloma się szczycono, zwłaszcza tymi, którzy wysunęli się na widownię szerszego życia amerykańskiego. Tak sami przywódcy jak i masy, które za nimi stały, byli bardzo dalecy od uznania autorytetu nowych przybyszów w sprawach amerykańskich. Owszem, w pewnych rzeczach gotowi byli przyjąć pomoc nowych emigrantów. Wśród nich byli na przykład doświadczeni dziennikarze. Ci nadawali się do pracy w prasie wychodźczej, ale i to nie w sprawach, które wyłącznie odnosiły się do odcinka amerykańskiego. Ignacy Matuszewski, który jako publicysta zdobył sobie wśród Polonii niemały autorytet, zachowywał zawsze wielką ostrożność, gdy wypadało mu poruszać sprawy uważane za czysto-amerykańskie. I bodaj nigdy nie poruszył spraw wyraźnie polonijnych.

Jednakże wśród nowych przybyszów często zaznaczała się — zresztą zrozumiała w nich — tendencja obejmowania funkcji przywódczo-patronackich wobec starej emigracji. Tendencja ta w wielu wypadkach wychodziła poza krąg spraw starokrajskich, przez starą emigrację oddawany przybyszom. Niejednokrotnie Europejczycy chcieli mieć swój zasadniczy głos i w sprawach innych. Było to zwłaszcza wtedy, gdy zagadnienia starokrajskie w jakiś sposób zaczynały się zazębiać ze sprawami amerykańskimi i z ,,domowymi'' zagadnieniami polityki staroemigracyjnej. W latach wojny zazębianie takie zdarzały się dość często. Nowi chcieli widzieć w polityce amerykańskiej orędownika ich celów w Europie. I to mając na względzie, starali się użyć grupy staroemigracyjne jako narzędzie presji na administrację w Waszyngtonie. Starzy natomiast — przy całej swej życzliwości dla spraw starokrajskich — mieli przede wszystkim na względzie swe pozycje w Ameryce. Na tym tle dochodziło do zadrażnień i konfliktów. Po Jałcie na przykład pewni działacze nowej emigracji polskiej zwrócili swe nadzieje w stronę Republikanów. Spotkali się jednak z oporem wielu przywódców polonijnych, którzy — choć przeciwni Jałcie — ze względu na *amerykańskie* interesy polskich Amerykanów nadal stali przy Demokratach.

Była jednak i druga strona medalu. Wspominaliśmy już o tym, że w starych emigracjach rozwinęła się postawa protekcjonizmu wobec dawnych ojczyzn i dawnych rodaków. W latach wojny i po wojnie protekcjonizm taki dawał się zauważyć i w akcji pomocy materialnej na rzecz dawnych ojczyzn i na szerszym polu politycznym. Stare emigracje wyzyskiwały swe wpływy polityczne — w obu wielkich partiach, w administracji — na rzecz dawnych ojczyzn. Akcję tę chciały i mogły prowa-

dzić tylko w ramach ogólnoamerykańskiej gry politycznej. Nie chciały i nie mogły się w tym podporządkowywać działaczom spoza oceanu. Co więcej — właśnie prowadząc tę akcję, przejawiały tendencje protekcjonistyczne, bezceremonialnie mówiąc Europejczykom, co oni powinni robić u siebie w domu, by uzyskać poparcie Stanów Zjednoczonych. Rady te nie zawsze były taktowne i nie zawsze zdradzały gruntowną znajomość spraw starokrajskich. Pod tym względem zachowanie się włoskich Amerykanów było szczególnie drastyczne. Ich protekcjonizm wobec nowej republiki sięgał bardzo daleko, aż do spraw czysto wewnętrznych Starego Kraju włącznie.

Mówiąc inaczej — nowe emigracje rościły sobie pretensje do protegowania starych i z drugiej strony stare emigracje wykazywały skłonności protekcjonistyczne wobec nowych. Czy więc mogło nie dojść do nieporozumień, zadrażnień i konfliktów? Przy czym żadna ze stron nie uświadamiała sobie należycie psychologicznych źródeł tych perypetii. Następstwem zaś ich było, że po pierwszych próbach współżycia starych z nowymi dochodziło do wzajemnego ochłodzenia się stosunków i każda emigracja zaczynała żyć osobno, utrzymując z drugą tylko luźne i raczej odświętne stosunki.

Zresztą od pierwszej chwili trudno było marzyć o jakichś bliższych, bardziej intymnych kontaktach towarzyskich czy przyjacielskich. Obie emigracje zbyt zasadniczo różniły się między sobą. Poza wspólnym pochodzeniem, poza ogólnymi zainteresowaniami politycznymi, występującymi zresztą tylko w odniesieniu do Starego Kraju — bardzo mało co je ze sobą łączyło. Ba, nawet używały innych języków. Stare emigracje posługiwały się starokrajskimi gwarami ludowymi, okraszonymi anglicyzmami, nowe — językiem literackim, mową warstw wyższych. Obu stronom często językowo było trudno się ze sobą porozumieć. Moi znajomi Włosi z rozpaczą opowiadali mi o kłopotach, jakie mieli z narzeczem sycylijskim, którym posługuje się masa włoskich Amerykanów. A do tego narzecze to było przyprawione na modłę amerykańską!...

Ale wszystkie stare emigracje w Ameryce wytworzyły już własne elity intelektualne. Dzieci i wnuki dawnych emigrantów są już lekarzami, prawnikami, uczonymi, dziennikarzami itd. Nie wszyscy z nich wyrzekli się tradycji swych przodków, przetapiając się w wielkim tyglu amerykanizacji. Znaczna ich część zachowuje jakieś zainteresowanie dla krajów pochodzenia, dla ich spraw i kultury. Tu mogła istnieć perspektywa pewnego współżycia, kontaktów, jakiejś wymiany wzajemnej.

Jednakże w praktyce — pomijając sporadyczne wypadki — do współżycia takiego nie doszło. Albowiem od wykształcenia ważniejsza była różnorodność typów cywilizacyjnych, jakie każda ze stron reprezentowała. Młode pokolenie starej emigracji było całkowicie amerykańskie. Myślało po amerykańsku, działało po amerykańsku. Bez zastrzeżeń przyjmowało ono te syste-

my wartości, które wyznaczają duchowe oblicze Ameryki. Nowi zaś przybysze byli Europejczykami. Obu stronom trudno było znaleźć wspólny język.

Rzecz ciekawa, że nowym przybyszom często łatwiej było znaleźć taki wspólny język z inteligentami amerykańskimi, którzy zatracili wszelkie związki ze swym europejskim pochodzeniem, niż z tymi, którzy starali się utrzymać tradycję tych związków. W stosunkach z pierwszymi można było unikać tych drastycznych momentów, jakie różniły jedną emigrację od drugiej. Ci ,,po prostu'' Amerykanie nie mieli wobec przybyszów tych otamowań psychicznych, od jakich nie mogą się uwolnić Amerykanie z grup emigracyjnych. A i przybyszom łatwiej było się uwolnić od poczucia wyższości i postaw protekcjonistycznych, obcując z ,,po prostu'' Amerykanami.

Na tematy te miałem szereg rozmów zarówno ze stroną amerykańską jak i europejską. Każda strona podkreślała swe trudności w rozumieniu drugiej. Każda powoływała się na szereg rzeczy, które ją w drugiej raziły czy śmieszyły. Faktem było, że próby zbliżenia nie dawały pożądanych rezultatów.

W żadnym wypadku nie doszło do zlania się nowej emigracji ze starą. Nie ma tego wśród Polaków, ani wśród Ukraińców, Żydów, Niemców, Czechów itd. Jedynie może Rosjanie są tu wyjątkiem. Ale rosyjska emigracja do Ameryki na ogół nie miała charakteru ludowego. Przed rewolucją Rosjanie stosunkowo rzadko emigrowali do Stanów-Zjednoczonych (Żydzi rosyjscy stanowili tu osobną kategorię). Dzisiejsza stara emigracja rosyjska w Stanach Zjednoczonych pochodzi z czasów porewolucyjnych i w rzeczywistości niczym się nie różni od emigracji nowej. Rosyjskie ,,Nowoje russkoje słowo'' od razu powstało jako pismo inteligenckie i oblicze takie całkowicie utrzymało.

W ten sposób można mówić o *dualizmie* grup emigracyjnych na terenie Stanów Zjednoczonych. Występuje on we wszystkich tych zespołach etnicznych, gdzie nowe emigracje po wojnie zdecydowały się na pozostanie w Ameryce. Jest on najwyraźniejszy wśród Polaków, Niemców, Żydów, Węgrów, Czechów i — w mniejszej mierze — Ukraińców oraz Litwinów. Wszędzie tu obok siebie i niezależnie od siebie istnieją stare i nowe emigracje.

Oczywiście są między nimi kontakty. Są pewne wspólne instytucje i są pewne wspólne wystąpienia na zewnątrz. Ale każda z tych grup żyje oddzielnie, każda reprezentuje odrębną rzeczywistość duchową, każda ma swój osobny styl życia, swoiste zainteresowania i nawyki. O jakimś scałkowaniu się nie ma tu mowy.

Te odrębności zatrą się dopiero w młodych generacjach. W generacji dzieci nowych emigrantów i w generacji wnuków i prawnuków emigrantów starych. Tu według wszelkich danych nastąpi całkowite upodobnienie się jednych do drugich. Będzie

to wynikiem przetopienia się w amerykańskim tyglu narodów. I wtedy nastąpi ostateczne zlanie się jednych z drugimi. Tylko że wtedy jedni i drudzy zatracą już swe emigracyjne oblicze. Zlanie to nastąpi w obrębie tej wielkiej rzeczywistości kulturalnej, która nosi nazwę Ameryki. I wtedy zapewne pozostaną pewne wspomnienia i tradycje przeszłości, ale będą one tylko nieznacznymi niuansami w tej powszechnej niwelacji, jaka jest produktem amerykańskiego tygla narodów.

Aleksander HERTZ

Usta oniemiałe

(MICKIEWICZ I TOWIAŃSKI)

I

Podczas przedwojennej studenckiej włóczęgi po kraju znalazłem raz gościnę w niewielkim dworze w pobliżu Grajewa, w sąsiedztwie granicy Prus Wschodnich. Nie pamiętam dzisiaj nazwiska właścicieli mająteczku, ale wspomnienie z tamtego spotkania pozostało tak silne, że gdy na londyńskim przedstawieniu sztuki Romana Brandstaettera odsłoniła się scena ukazując postać Towiańskiego, stary wieczór spod Grajewa ożył w pamięci jakby wydarzył się dopiero wczoraj.

Gospodarze zaofiarowali nocleg i wieczerzę. Kiedy poproszono do stołu było prawie ciemno, i długą, niską jadalnię oświetlały naftowe lampy. Żółtawe światło tworzyło jaśniejsze koła na obrusie, za skąpymi oknami gasł sierpniowy wieczór; twarze z portretów i sztychów, którymi były obwieszone ściany, ożywiały się gdy płomień lampy niespodziewanie wystrzelał w górę, wszystko bardziej robiło wrażenie jakiejś wyblakłej ryciny niż sceny z rzeczywistego, współczesnego życia.

Do posiłku zasiadła rodzina gospodarzy i kilkoro służby. Dość dziwnie wyglądał ten nawrót do patriarchalnego obyczaju, ale zwłaszcza było niezrozumiałe zachowanie pana domu, który wstał, odmówił głośno dłuższą modlitwę i wezwał do cichego — tym razem — rachunku sumienia i wzbudzenia w sobie ducha pokoju i zgody. Zrozumiałem, że gdyby nie obecność gościa, każdy na głos rozważałby uczynki dnia. Na koniec sięgnął po książkę, przygotowaną przy jego nakryciu i przeczytał z niej krótki ustęp.

Dowiedziałem się nazajutrz, że tekst pochodził z pism Towiańskiego. I właściciele majątku, i większość pracujących w nim ludzi, przechowywali kult „mistrza", stosując się do jego

wskazań, szerząc naukę moralną towiańczyków i wierząc w znaczenie i siłę przeżytej zbiorowo chwili zbliżenia do Boga. W okolicy Łomży miało jeszcze być parę innych domów, wiernych tej samej tradycji; utrzymywano też łączność z małymi kółkami istniejącymi na Litwie, a ponadto we dworze moich gospodarzy parokrotnie gościł prof. Wincenty Lutosławski, zainteresowany pamiątkami po Towiańskim.

Przed odjazdem, korzystając z dziennego światła, przyjrzałem się portretowi wiszącemu w jadalni. Patrzył z niego mężczyzna o twarzy zaciętej, fanatycznej, wyraźnie nieznoszącej oporu; niecierpliwy i zły, gdy mu odmawiano posłuszeństwa. Przymrużone oczy, o spojrzeniu natężonym jak u kogoś kto używa zbyt słabych szkieł, spoglądały z natarczywością przypominającą sędziego śledczego. A równocześnie było to oblicze człowieka, który wie o czymś z całą pewnością i nie potrafi już tracić czasu na próżne dysputy i udowadnianie oczywistości, gorączkowo dążąc do wypełnienia tego ku czemu popycha go owa wewnętrzna wiedza.

Tej osobistości zarazem niezwykłej i dziwacznej poświęcano liczne studia rozpatrujące doktrynę towianizmu i jej związki z ówczesnymi kierunkami mistycznymi, rodzącymi się z oczekiwania na wielką przemianę całej ludzkości. Dopiero na krótko przed ostatnią wojną badania archiwalne rzuciły cień na sylwetkę moralną Andrzeja Towiańskiego, wielu zaś historyków i krytyków, przyjmujących bardziej trzeźwy stosunek do romantyzmu polskiego po roku 1830, zaczynało widzieć w Towiańskim religijnego maniaka, jedynie obdarzonego niezwykłą intuicją i zdolnością wpływania na ludzi o zapalnej wyobraźni i pospiesznych sądach. O ile wcześniejsze interpretacje zjawiska towianizmu często grzeszyły przesadą, czczącą wszystko co obracało się w kręgu zagadnień doniosłych lat romantyzmu, o tyle znów odbrązowianie mesjanistycznego proroka pozbywało się zagadki pochopnymi uproszczeniami.

Tymczasem problem zbiorowej sugestii ludzi szlachetnych, niepospolitych, wciąż tkwi w sprawie towianizmu, niedostatecznie oświetlonej mimo ogłoszenia licznych listów i relacji świadków. Jeżeli bowiem Towiański był płytkim hypnotyzerem, ogarniętym pasją wielkości, szukającym władzy nad wybitnymi jednostkami, jak tego chcą literaccy komentatorzy tego epizodu: Brandstaetter i Jastrun, jeżeli — jak chcą niektórzy krajowi historycy literatury — był to wyłącznie zręczny oszust lub nawet agent współpracujący z ambasadą rosyjską, trudno wtedy pojąć jak mogło dojść do przekonania Mickiewicza i opanowania niezależnej osobowości Słowackiego. Przyczyna była może dziwaczna lecz skutki poważne: wpływ nastrojów mistycznych, podsyconych zjawieniem się Towiańskiego, odegrał istotną rolę w końcowym okresie twórczości Mickiewicza; u Słowackiego zetknięcie się z sekciarskim Kołem wywarło doniosły wpływ na jego dalsze pisma; ba, nawet za grobem Towiański utrzymał swój

mit, jak o tym świadczyło przypadkowe spotkanie z gronem „braci" i „siόstr" pod Grajewem prawie w sto lat po uznaniu „mistrza" przez twórcę „Dziadów".

Po przygaśnięciu mesjanistycznego entuzjazmu, historia literatury wolała sprawę Towiańskiego obchodzić z daleka wyczuwając w niej jakiś motyw kompromitujący; rozumiano niebezpieczeństwo wyboru między uznaniem tego intruza do grona emigracyjnych tytanów polskości za postać pod pewnym względem niezwykłą, a skompromitowaniem przytomności sądu Mickiewicza, Słowackiego i ich przyjaciół przez wyznaczenie Towiańskiemu właściwego miejsca.

Towiański-szalbierz czyni Mickiewicza naiwnym lub niekiedy wręcz niepoczytalnym, podczas gdy ocena Towiańskiego jako człowieka słabo wykształconego lecz przejętego żarliwością mistyczną i własnym ujęciem ducha chrześcijaństwa wykazuje fakt zejścia się dwóch ludzi, odmiennych miarą ale pokrewnych wtedy dyspozycjami; w następstwie takiego ujęcia trzeba także na społeczno-polityczną działalność organizatora Legionu we Włoszech spojrzeć jak na wyraz przede wszystkim wykonywania jakiejś religijnej, apostolskiej misji przebudowania świata. Słynne zdanie o duchu bożym mieszkającym „w bluzach robotników paryskich" nie wiele ma wtedy z akcentu socjalistycznego, a brzmi raczej jak parafraza ewangelicznego zdania o prostaczkach. Otóż pierwsze postawienie sprawy, związane z przeczernieniem osoby wiejskiego proroka z Litwy, obniża mickiewiczowską „świętość narodową", drugiego natomiast nie da się pogodzić z nową legendą o Mickiewiczu tworzoną dziś starannie przy pomocy sugestywnego hasła: „nareszcie odsłaniamy prawdę".

W obu interpretacjach nie docenia się, że Towiański nigdy by nie znalazł takiego powodzenia w literackim środowisku emigracji, gdyby nie było ono dojrzałe do przyjęcia jakiejkolwiek efektownej teorii, dobrotliwie uwalniającej od spoglądania prawdzie w oczy. Wyjaśnienie sukcesów towianizmu leży nie tylko w fascynującej postaci Towiańskiego, ale głównie w zbiorowej psychice emigracji i w osobistych skłonnościach i nastrojach Mickiewicza i Słowackiego. Mickiewiczowi dał Towiański sposobność wywierania absolutnego wpływu na członków Koła, ofiarował mu dar, bezcenny dla charakteru despotycznego, chciwego władzy i gwałtownego działania a tak pełnego pychy, że nie starczała mu naturalna droga poety kształtowania ludzkich myśli i uczuć treścią słowa pisanego. Mickiewicza, szukającego wyżyn stojących już i ponad poezją, mógł zadowolić dopiero prawdziwy „rząd dusz", dusz odartych z tajemnic osobistych, obnażonych, roztwartych jak ciało poświęcane na ołtarzu ofiarnym. Niecierpliwa potrzeba bezpośredniości czynu odrzucała opieszałe narzędzie literatury; poeta pragnął trafiać do serc ludzkich tak jak przenika w nie poezja, ale bez opóźniającego pośrednictwa poezji.

Czym innym także jest kierowanie ludźmi, a czym innym władza nad ich duszami. „Rząd dusz” polega na wytworzeniu kultu i odbywa się w atmosferze intymnej, w swoistej komunii ufnego niewolnika i władcy, kochającego miłością chciwą i zaborczą, taką jaką na przykład musiał kochać swych żołnierzy Napoleon. Tę miłość i tę władzę winien posiadać, z samego założenia roli, mąż opatrznościowy epoki romantycznej, wcielający symbol „czterdziestu i czterech”. Tu Towiański trafił w tajemną tęsknotę Mickiewicza, podobnie jak u Słowackiego znalazł inny czuły punkt : krzywdę odsunięcia na drugi plan, ograniczanie do pozycji rymopisa, spychanie do literatury w dobie kiedy Mickiewicza przyjmowano jako proroka.

Bez towianizmu nie byłoby łatwo poczuć się prorokiem nowej epoki Mickiewiczowi, znużonemu wykładaniem szczegółów literatury klasycznej dla obcojęzycznego audytorium, błąkającemu się po obcej mu Francji i Szwajcarii, niczego nie dorzucającemu do wieńca sławy, nie posiadającemu grona braci-wyznawców, spoglądającemu wstecz na nieudaną próbę patriotycznych dramatów dla sceny francuskiej.

Powrót do Paryża z cichej Lozanny, choć związany z poprawą sytuacji materialnej i rozgłosem stanowiska profesora w słynnej uczelni, niósł przecież ze sobą wytężone gromadzenie materiałów do nowych wykładów, usilną pracę, liczne kłopoty domowe. Powtórzyła się choroba żony; szczęśliwego, podnieconego nastroju starczyło tylko na improwizację na uczcie powitalnej aż w końcu odezwał się dawny przykry nastrój znużenia i zniechęcenia. Dwa przymiotniki od dawna powtarzają się w listach Mickiewicza : „kwaśny” i „cierpki”. Cokolwiek da się powiedzieć o latach współdziałania Mickiewicza z Towiańskim, był to jakby moment świeżego przebudzenia, odzyskania energii rosnącej nieraz aż do patologicznego napięcia. Nie wiadomo jaki byłby dalszy rozwój bez epizodu towiańszczyzny, nie wiadomo czy monotonia dni bez poezji i bez wydarzeń, prozy bez marzeń, jawy nie łagodzonej żadnym snem, nie zgnębiłaby poety ostatecznie. Szerzenie idei Towiańskiego doprowadziło do niesłychanie przykrych ataków trzeźwej części emigracji, do utraty katedry, lecz nie to było istotne, póki Koło słuchało jego słowa jak objawienia i zbawienia. Stała się z poetą rzecz dziwna i raczej smutna, ale dała ona podłoże całej dalszej działalności i, prawdopodobnie, przedłużyła nawet wbrew potocznie przyjętemu mniemaniu jego życie twórcze.

II

Tak wyglądają, w ogólnym zarysie, zagadnienia związane z wystąpieniem Towiańskiego na emigracji w Paryżu. W ich krąg wszedł Roman Brandstaetter, pisząc „Noce Narodowe”, sztukę, której trzeba przyznać podjęcie największego tematu,

największe ambicje poetyckie — bez względu na to czy zostały całkowicie spełnione — w dziesięciu latach powojennego teatru polskiego.

Od dramatu o Mickiewiczu i Towiańskim, o Celinie Mickiewiczowej i Ksawerze Deybel, sam temat wymaga postawy rewizjonistycznej, a więc pisania w imię dotarcia do prawdy. Tymczasem rewizjonizm „Nocy Narodowych" jest tylko pozorny, a problem mickiewiczowski stanowi u Brandstaettera przykład ogólnego obecnie stosunku literatury i nauki w kraju do spraw romantyzmu. Świeża legenda, wciskająca się na miejsce dawnej, religijno-patriotycznej, znów unieruchamia poetę na pomniku, zmieniając jedynie gesty uroczystej figury. Dla ukrycia Mickiewicza, człowieka namiętnego i błądzącego, lecz w pewnych sprawach bezkompromisowego a zawsze szczerego, tym razem oficjalna marksizująca biografia przesuwa zasłony, rozwieszane niegdyś dyskretnie przez narodowo-demokratyczną hagiografię, i na inne części życiorysu kieruje jaskrawsze światło. Dramat Brandstaettera, podporządkowany tej zasadzie, staje się osobliwością, raz bowiem bohaterem jest żywy człowiek, a raz pomnik z głośnikiem zamiast spiżowego serca.

Instynkt słusznie zaprowadził autora do lat dzielących wyjazd do Włoch dla tworzenia Legionu od powrotu z Lozanny. W zaciszu paryskiego mieszkanka na rue d'Amsterdam, albo na podmiejskich „Batignolach", przedwcześnie starzejący się Mickiewicz mógł po stu latach wydać współczesnemu pisarzowi tajemnicę swej śmierci poetyckiej. Brandstaetter jednak od razu przyjął tu istnienie „zabójcy" i dopatrzył się go w Towiańskim, ściślej — w jego mistyce religijnej. Inni już dawniej przyczynę zamilknięcia Mickiewicza widzieli w osobie Celiny Mickiewiczowej, żony nieudanej, ale także głęboko nieszczęśliwej, cierpiącej na nawroty ostrej melancholii i wraz z liczną rodziną przedstawiającej trudny obowiązek dla pisarza-emigranta. Jednakże Towiański do wypełnienia postulatów nowej legendy nadaje się o wiele lepiej. Trzeba bowiem narzucać fikcję bezpośredniego przejścia od poezji do walki politycznej, co usprawiedliwi umilknięcie poety znaczeniem jego czynów. Przemiana poety w trybuna ludu ma dokonać się tak, jak gdyby w biografii Mickiewicza można zupełnie dosłownie wprowadzić ryzykowny skrót z „Dziadów": umarł Gustaw — narodził się Konrad. Takie uproszczenie skrywa w cień przeżycia religijne długich siedmiu lat pod warunkiem, że i poetę i człowieka na cały ten okres pogrąży się w istnieniu na pół tylko świadomym, w jałowej i somnambulicznej pracy, w „złym śnie", którym nie warto się zajmować, a który współczesna wiedza z pewnością usunęłaby właściwą kombinacją hormonów, witamin i szoków elektrycznych. Mickiewicz, pokazany jako bezwolne medium, przestaje się liczyć; towianizm staje się długotrwałą chorobą, pustką nadającą się zaledwie do lekceważącej wzmianki w życiorysie.

Autor „Nocy Narodowych" przenosi na życie Mickiewicza

bezwład snu bohatera z pierwszej sceny epizodu więziennego ,,Dziadów''. Przebudzenie i powrót do rzeczywistości polega na zerwaniu z bezczynnością kontemplacji i postanowieniu wyjazdu do Włoch. W finale sztuki Mickiewicz, odczarowany ze zgubnych uroków, odnajduje dawną siłę i w słowach, ogrzanych nową nadzieją wita huragan, który urośnie w burzę rewolucji. W tym wichrze i on rozwinie skrzydła do lotu: podniesie w Rzymie znaki i orły narodowe, wydobyte z ,,Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa''.

Pierwotna wersja sztuki, w Polsce użyta na scenie a zmieniona w wydaniu książkowym, bezceremonialnie nawracała w tym miejscu do sylwetki z pomnika. Na tle kolumn Mickiewicz deklamował tyradę o wolności i rewolucji, Towiański wyegzorcyzmowany tchnieniem rewolucji przepadał niczym zły duch z ,,Dziadów'', a chopinowska etiuda huczała wespół z retoryką słowa. W ,,Dramatach wybranych'' jest już lepiej, bo Mickiewicz, stojąc zadumany przy oknie w swym paryskim mieszkaniu, mówi tonem refleksji o czekającej go przyszłości działacza i żołnierza. I to jednak nie dotyka duchowego kryzysu poety, szamocącego się między spowiedziami u ks. Jełowieckiego a wyprawami do Towiańskiego i usiłowaniami wydarcia Bogu choćby okrucha tej siły, którą można ,,świat zniszczyć i drugi wystawić''.

Wobec przedstawienia Mickiewicza jako ofiary intrygi i obciążeniu całą odpowiedzialnością Towiańskiego, pozytywnymi postaciami tego okresu zostały dwie kobiety: Celina Mickiewiwiczowa i Ksawera Deybel. ,,Dejbelce'', jak ją poufale nazwał Słowacki, przypisał Brandstaetter urojone zasługi zdemaskowania chwytów fałszywego proroka. Wpływom Towiańskiego przeciwstawia się również i żona Mickiewicza, kochająca męża miłością ambitną, pragnącą obudzić w nim muzykę wiersza. Są to dowolne fantazje, sprzyjające legendzie o cnotliwym trybunie ludu. Lepiej — według tej wersji — aby Mickiewicza uwiódł agent i pozer, aniżeli kobieta. Zatuszowano bowiem dyskretnie naturę związku z Ksawerą, zapomniano o despotyzmie poety, o jego walce o wpływy w Kole, nieprzebierającej czasami w środkach; pożycie małżeńskie z Celiną urosło w cnocie, a Mickiewicz wracający z mgieł mistyki do akcji politycznej wraca także i do żony, zgoła według budującego przykładu wypisów szkolnych, z dobrotliwym: ,,Kocham cię, Celino...'' W ten sposób poetę, moralnie nienagannego, ocala się dla cokołu pomnika. Działalność artystyczna ustępuje przed pracą polityczną, dodatkowym dowodem geniuszu poety staje się uznanie wyższości słowa ,,pożytecznego'' nad słowem ,,pięknym''.

W granicach tej fałszywej interpretacji dramat Branstaettera ma wiele zalet literackich, a zwłaszcza postać Celiny posiada szczerość i delikatną poezję istoty skromnej i nieszczęśliwej. W rzeczywistości wszakże rzeczy szły zupełnie innym torem. Mickiewicz tamtych lat bardziej niż kiedykolwiek indziej

odsłania swoją prawdziwą naturę w nieposkromionych słowach i gwałtownym postępowaniu. Jest to człowiek prawdziwie żywy, uwikłany w udręce — w konfliktach wiary i rozpaczy, rozumu i namiętnej ekstazy religijnej, w starciu przyjętych zasad moralnych i gorącego męskiego temperamentu, w gorszącym zestawieniu zbrodni politycznych w Europie z obojętnością Kościoła za pontyfikatu popierającego legitymizm Grzegorza XVI, w kontraście między miernotą znacznej części ówczesnego duchowieństwa paryskiego a żarliwością objawionego mu posłannictwa — doznający sam widzeń i zwiastowań w służbie prorokowi, przez Rzym zlekceważonemu a potępianemu przez opinię polityczną emigracji. Jest tu podwójne rozejście się nowej legendy z autentyczną biografią, gdyż pomniejszaniu Mickiewicza jako indywidualności z doby jego ,,czyhania na Boga'' towarzyszy troskliwe osłanianie obrazu życia prywatnego. Zabawny obrót sprawy: dzisiaj Boy nie miałby gdzie drukować artykułów o Ksawerze. Przyczyna nieoczekiwanego purytanizmu jest łatwo zrozumiała; gdybyśmy na scenie i w powieści zobaczyli poetę, dalekiego od czułości i delikatności w życiu domowym, a pozbawionego nagle rozsądku w życiu publicznym, byłby to fatalny portret ,,ojca literatury w służbie społeczeństwa''. Sylwetka poety na tle czterech ścian domu rodzinnego musi ratować sylwetkę działacza, a pokazanie Mickiewicza w roli męża i ojca, demonstracja ,,en pantoufles'' spełnia zadanie budzenia zaufania dla fantastycznej syntezy lat 1841-1847.

Niestety, małżeństwo poety było smutną historią, nieszczęściem dla obu stron. Na wizerunkach Celiny Mickiewiczowej odnajduje się twarz, z której płynie gasnący odblask dawnej piękności i młodzieńczych marzeń o szczęściu. Z portretu Mordasewicza, zrobionego z dagerotypu, spogląda kobieta przywodząca myśl że tak mogłaby wyglądać Ofelia, gdyby nie zginęła po zdradzie Hamleta i dożywała późnego wieku z nawrotami szaleństwa. Dzieje związku Mickiewicza są zbyt znane, choć opowiadane rzadko, by szczegółowo powtarzać genezę nieporozumienia tak fatalnego w skutkach. Nawrócenie poety, niewykonalna ambicja życia w czystości, poszukiwanie żony dla samego małżeństwa, niezręczna sytuacja Celiny po odejściu poprzedniego konkurenta i śmierci matki, nuda Warszawy i złudny blask Paryża — wszystko miało w tym swój udział. Trzeba zaś zwyczajnie stwierdzić że Mickiewicz-emigrant nie nadawał się na męża dla żadnej kobiety.

Wiele z jego postępowania wobec Celiny nie da się wytłumaczyć, a tym bardziej usprawiedliwić. W atakach melancholii żony Mickiewicza można czasami upatrywać przykład ,,ucieczki w chorobę'', ale pozostaje łączność tych stanów z okresami macierzyństwa, często się powtarzającego. Wielokrotna ciąża wśród choroby, niestałość życia i częsta bieda były dla niej ciężarem nadmiernym i okrutnym. Nikt jej nie oszczędzał, nie robiło się chyba nic właśnie dla niej, naprawdę dla niej samej.

Równie okrutną sytuacją był stały pobyt w domu Mickiewiczów panny Ksawery Deybel, przybyłej z Wilna pociągającej protegowanej Towiańskiego. Przybrana przez ,,mistrza'' w symboliczny przydomek ,,księżniczki izraelskiej'', Ksawera mieszkała z Mickiewiczami, zajmowała się dziećmi, miała duży udział w prowadzeniu domu, a w razie słabości, choroby lub nieobecności Celiny, zajmowała jej miejsce stając się jego rzeczywistą panią. Zofię Szymanowską, wybierającą się do Mickiewiczów na dłuższy pobyt, ostrzeżono: ,,Zobaczysz tam i usłyszysz ludzi, których idee, niby nowe i wyższe, do najniemoralniejszych czynów prowadzą''. Wśród tego Celinę zachęcano aby uznała ,,wyższość duchową'' nad sobą ,,siostry'' Ksawery, jej bardziej górny ,,ton''...

Pokrzywdzoną przez życie i przez męża panią Celinę zaczyna się jednak dzisiaj oceniać przesadnie, bezpodstawnie przypisując jej zwycięską walkę z Towiańskim o Adama. Była bowiem Celina jedną z najwierniejszych ,,sióstr'' Koła, pokornie wykonującą wszelkie pokuty i ufającą ,,mistrzowi''. Kiedy Towiański kazał Mickiewiczowi sprowadzić ją z zakładu dla nerwowo chorych, przyjęła powrót do domu ze szczęściem, poddaniem się i pokorą wobec cudu w jaki święcie wierzyła. Nie zapomniała Towiańskiemu do końca życia że przywrócił ją mężowi i dzieciom. Przez długie lata po swym ozdrowieniu, mimo powtarzających się później zapaści, wspomina ze wzruszeniem tamtą osobliwą scenę, kiedy w obecności zaproszonych przyjaciół domu podszedł do niej dziwny przybysz i — odzyskała przytomność. Dla gorliwego oddania się praktykom nowego obrzędu był jeszcze jeden powód: oto po raz pierwszy spotykała się z mężem na jednej drodze. I nawet gdy towianizm doprowadził Celinę do upokorzeń i świeżych zmartwień, nawet wtedy, naginając się do życzliwości dla Ksawery, nie odeszła od niego. Wiara w inny świat, w stałe uczestnictwo w sprawach zaziemskich pozwalała jej znosić życie przy boku wielkiego człowieka, rozchodzącego się ze swą sławą, zacierającego portret swej młodości. I tu więc weszła nowa legenda, rysując fikcyjny kształt rzeczy minionych.

III

Los wieku męskiego, ,,wieku klęski'', rozstrzygnął się podczas nocnej rozmowy z nieoczekiwanym gościem. Scena ta ciągle czeka na pióro, zdolne do odgadnięcia jej i oddania. Jastrun ograniczył się do parafrazy relacji pochodzącej jakoby od samego Mickiewicza; Brandstaetter, z góry przedstawiwszy Towiańskiego jako szalbierza, odebrał jej wszelkie napięcie dramatyczne. Nigdy nie dowiemy się dokładnie co zaszło między tymi dwoma ludźmi właśnie zawierającymi pierwszą znajomość. Możliwe, że Towiański wywiedział się od Odyńca o wielu szczegółach z przeszłości poety, możliwe, że nagła poprawa zdrowia

Celiny Mickiewiczowej była pospolitym dziełem zręcznego magnetyzera. Nie ma jednakże dostatecznie racjonalnego wyjaśnienia dla faktu, że Towiański, na dowód swego posłannictwa, odsłaniał Mickiewiczowi sekrety „o których tylko jeden Bóg i ja wiedzieć mogłem", co Mickiewicz sam później stwierdził. Pozostaje co najwyżej przypuszczenie iż poeta, ex-post, sam nadał temu spotkaniu znamiona pewnej cudowności aby tym mocniej przekonać przyjaciół do Towiańskiego, lecz i to nie pomaga wyjaśnić czym naprawdę „mistrz" pozyskał Mickiewicza na swego ucznia. Nie należy tu wyłączać pewnej zdolności jasnowidzenia i siły szczerości.

Spotkanie z Towiańskim poeta przyjął jako wybawienie z głębokiego konfliktu wewnętrznego, mogące pochodzić jedynie z zewnątrz i posiadać jakieś cechy nadprzyrodzonej interwencji. Jeszcze i w liście z maja 1847, surowo ganiącym różne praktyki towianizmu, Mickiewicz, wyraźnie już krytyczny, nie odrzuca przecież egzaltowanej wizji tamtego spotkania: „Ojciec Niebieski nawiedza niespodziewanie grzeszne dzieci *i pociechą nagłą* zadziwia je. Tak nas nawiedził i zadziwił szczęśliwie zjawieniem się *twoim* wśród nas".

Miarą siły oddziaływania Towiańskiego, a zarazem miarą nieszczęścia emigracji i beznadziejności polskich nastrojów, jest pozyskanie Słowackiego. Trudno sobie wyobrazić u autora „Kordiana" gest większej pokory, większą kapitulację, jak wstąpienie do Koła i pójście tym samym, według dosadnego określenia Brücknera, pod „ferułę Mickiewicza". A wszakże Mickiewicz parokrotnie dotkliwie uraził Słowackiego: lekceważącą krytyką jego tomu, potraktowaniem postaci dr. Becu w „Dziadach"; nie były też bez znaczenia plotki jakie pojawiły się po uczcie świątecznej wydanej świeżo przez Januszkiewicza na przywitanie poety, obejmującego katedrę w Collège de France. W wykładach o literaturze polskiej Mickiewicz dotknie Słowackiego raz jeszcze, nie przyznając należnego mu miejsca w dramacie i poezji. A mimo to Słowacki znalazł się w gronie ludzi czyniących przed sobą publiczne spowiedzi, przyjmujących pokuty zadane przez „mistrza", lub przez jego zastępcę, czyli Mickiewicza.

Innym pośrednim dowodem, świadczącym o niezwykłości przeżycia, są reakcje poetyckie. U obu poetów długa rozmowa z Towiańskim wydała wiersze tchnące uczuciem zadziwiającej ulgi, jasności, pogody, przeniknięte świadomością zbawiennego odkrycia właściwej drogi życia. Rytmika wiersza-wezwania, wiersza-piosenki: „Słowiczku mój..." po raz ostatni dzwoni u Mickiewicza tak beztroską nutą. Zakończenie zwartością i radosną ekstazą przypomina błyskawiczne skróty „Hymnu na dzień Zwiastowania N.P. Marii":

„Bo wyszedł głos, i padł już los,
I tajne brzemię lat

Wydało płód! i stał się cud!
I rozraduje świat.''

Słowacki zaś napisał wiersz-przysięgę, pobrzmiewający tonami triumfu jasności i dobra nad złem — ,,Tak mi Boże dopomóż!'' Jakakolwiek byłaby geneza tego wiersza, pozostanie on uderzającym swą harmonią i pogodą świadectwem szczęścia odzyskanej wiary. ,,Spokojność już mam i mieć będę, I będę wieczny... mocny... szczęśliwy'' — tak wtedy określał rywal Mickiewicza własny stan wewnętrzny. Nie przeszkodziło mu to dość rychło, bo w 1843 roku porzucić Koło, odciąć się od dziwacznego pomysłu wysyłania listu do cara i splantować całe towarzystwo ,,braci i sióstr'' jadowitym utworem satyrycznym. Tym bardziej godne uwagi, iż doznane ukojenie wewnętrzne pozostało u Słowackiego trwałe, daleko trwalsze niż uzdrowienie Celiny; usposobienie autora ,,Księdza Marka'' doznało odtąd uchwytnej zmiany, a w jego twórczości zaczęła się nowa, doniosła faza.

Tak głębokich wstrząsów nie wywołałby pospolity szarlatan ani też sprzedajny agent, wykorzystujący modę wieku na mesmeryzm i magnetyzm. Głoszone od niedawna kategoryczne twierdzenia o Towiańskim, płatnym jakoby mistyfikatorze, nie mają psychologicznego prawdopodobieństwa i nie jest jeszcze wystarczającym dowodem, że ruchem tym interesowała się ambasada carska. Nadzorowanie emigrantów należało do jej obowiązków, a wszystko co trąciło panslawizmem i obejmowało wybitniejsze jednostki, od razu wywoływało plany przeniknięcia do środka organizacji i posiadania dobrych informacji. Co więcej, wszelkie posunięcia sporne były przez agentów rosyjskich witane z cichą radością, jako sprzyjające rozbijaniu emigracji. Z drugiej zaś strony sprawa wysłania listu do cara przez Koło była burzą w szklance wody i nie mogła ona, nawet gdyby coś z tego naprawdę wyszło, wpłynąć na bieg polityki emigracyjnej. Jakiż zresztą był ostateczny rezultat towianizmu, jeśli idzie o stronę polityczną? — udział zapaleńców we wszystkich rewolucyjnych próbach w Europie! Zapowiadanie wielkiej przyszłej wojny, zmian ustrojowych, kataklizmów nie nakłaniało do ugody z caratem, choćby jako sposób przygotowania przyszłości wybrano modlitwy i dziwaczne ćwiczenia duchowe. Nie da się ani szyderstwem, ani przesadzaniem niektórych szczegółów, przekreślić trudnego okresu w życiu Mickiewicza w którym wzniosłość graniczyła tak często ze śmiesznością. Dla ostatniego kroku Mickiewicza na drodze poezji miał on podstawowe znaczenie.

Drugim ważnym czynnikiem, obok sugestywnego fanatyzmu ,,mistrza'', sprzyjającym rozwojowi towianizmu, była dojrzałość emigracji do przyjęcia optymistycznego znaku. Pod tym względem nastrój Mickiewicza był częściowo syntezą stanu psychicz-

nego wielu ludzi z jego otoczenia. Na początku piątego dziesiątka lat ubiegłego stulecia sytuacja polityczna doszła do martwego punktu. Rzeczywistość zawiodła nadzieje rozbudzone pochodem przez Niemcy i początkowym przyjęciem we Francji. Rząd monarchii orleańskiej szukał sposobów rozładowania i rozproszenia ówczesnego ,,PKPR''polskiego, jakim było zachowanie wojskowej formy organizowania uchodźców. Skoszarowani głównie w Besançon i w Avignonie, żołnierze powstania listopadowego pobierali żołd, stanowiąc siłę możliwą do użycia w razie interwencji francuskiej w sporze o niepodległość Belgii i obsadzenie tronu nowego państwa. Gest opieki nad żołnierzem polskim pomagał w utrzymaniu jakiej takiej popularności mieszczańskiego króla, zagrożonej biernym stanowiskiem wobec presji mocarstw legitymistycznych. Służył on też z powodzeniem za środek podtrzymywania nadziei na czynne wystąpienie Francji zarówno wśród Polaków, jak i przede wszystkim w radykalnym odłamie opinii francuskiej.

Kiedy jednak doszło do ugody mocarstw, garnizony polskie poddano w kwietniu 1832 ministerstwu policji, wyjmując je spod władzy ministerstwa wojny, co dało początek rozpraszaniu się Polaków w cywilnym życiu francuskim i wszelakiej egzotycznej emigracji. W niespełna dziesięć lat po nocy belwederskiej panował w Europie spokój, we Francji wystąpienia radykalne spotykały się z represjami i lud francuski, według słynnego zdania Lamartine'a, ,,nudził się'' — ale do wybuchu zniecierpliwienia było jeszcze daleko.

Nastroje ówczesnej emigracji przedstawiają owe niełatwe w ,,dziesięć lat później'', kiedy pobyt i praca na obczyźnie są już zjawiskiem stałym, a nie nadzwyczajnym, w kraju zaś życie zdążyło ułożyć się w nowym trybie. Jeżeli nie liczyć niewczesnej i niepoważnej próby Mierosławskiego, do następnej polskiej walki orężnej miało upłynąć z górą dwadzieścia lat — czas dojrzenia jednego pokolenia. Rok 1841 pod wielu względami jest podobny do obecnej chwili, tak samo jak jakieś dalekie echo mrzonki mesjanizmu ma w sobie dzisiejszy kult mitu ,,legalizmu'', usiłujący upartą wiarą wymusić na historii szacunek dla pojęć wyraźnie przez nią odrzuconych.

Późniejsza sława kilku wybitnych jednostek tamtej doby przesłoniła fakt że po tylu latach tułaczki ogół społeczeństwa emigracyjnego odczuwał wyczerpanie sił moralnych i mógłby ich nawet nie odzyskać, gdyby nie krótki oddech ożywczym powietrzem 1848 roku, najpiękniejszego bodaj roku w dziejach współczesnych. Wtedy jednak, na kilka lat przed rewolucją lutową, Polacy w Paryżu czuli się jak człowiek ciężko chory i opuszczony przez lekarzy, gotowy szukać cudotwórców. Bezczynność była w 1841 roku trucizną tak śmiertelną, że nawet pozór czynu stawał się zbawienny. W prostym zaś następstwie rozpaczy pojawiały się nadzieje chimeryczne kiedy zawodziły

realne. Szydzenie z towianizmu jest jak wyśmiewanie kalectwa.

Jedyną ucieczkę w nadzieję, dla ludzi nie wyćwiczonych w cnocie cierpliwości politycznej, otwierało bezgraniczne zaufanie Opatrzności i przypisywanie jej szczególnych intencji wobec pognębionej ojczyzny. Tkwił w tym szlachetny absurd, wymagający pokonania oporów zdrowego rozsądku i zdobycia się na ten przełom wewnętrzny po którym nagle proste wydaje się to, co przed chwilą przedstawiało pustą, fantastyczną fikcję. Egzaltowane umysły, zdolne już szukać ratunku w polityce kierowanej z niebiosów i opartej na objawieniach, podświadomie pragnęły ślepoty dostatecznie dobroczynnej by przesłoniła obraz nieszczęścia. Ludzie znaleźli się na skraju przepaści; starczyło zdecydowane pchnięcie ich w mistycyzm by w nim zatonęli: mesjanizm, a później towianizm były najpierw formacją psychiczną, zanim stały się ideową.

Przyjaciele, odwiedzający Mickiewicza w parę dni po zjawieniu się Towiańskiego, już wierzyli podświadomie, przekonani, nim jeszcze Mickiewicz opowiedział im o znakach. Dla skołatanych tych dusz Towiański był jakby głosicielem „dobrej nowiny" i, cokolwiek się o nim powie, trzeba mu przyznać w tym momencie osobliwą intuicję możliwości psychologicznych. Aby dokonać irracjonalnego odwrócenia pojęć, nazwać klęski — ofiarą, upadek — drogą do zwycięstwa, słowem narzucić w praktyce to co głosiły już ogólnie „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa", konieczny był uderzający dowód, oczywisty „znak" nadprzyrodzony jako coup de grâce dla zmąconej czarnymi myślami zdolności rozumowania.

Dlatego też Mickiewicz z takim naciskiem podkreśla, że Towiański czynił „znaki". Na zapowiedziane uzdrowienie żony poeta zwołuje przyjaciół i znajomych rozesłanymi po Paryżu wiciami, aby znajomość wstępnego cudu wzbudziła wiarę w „proroctwa o Polszcze". Rozszerzenie się towianizmu było aktem przymierza między tajemnicami Opatrzności a smutkiem polskiego Paryża, samotnością i bezczynnością Słowackiego, głębokim przerażeniem religijnym — trudno o inne słowo — Mickiewicza, który bronił się przed zwątpieniem i bluźnierstwem.

IV

Werset z Ewangelii św. Jana, położony jako motto na akcie założycielskim Towarzystwa Braci Zjednoczonych, czyta się niemal jako zapowiedź późniejszego związania się z Towiańskim: „I poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi". Jeżeli to zdanie jest słuszne, najlepszą drogą do szukania wolności było zgłębianie Słowa Bożego, uprawiane nabożnie przez grupkę przyjaciół, a każde zbliżenie do prawdy nabierało wartości konkretnego czynu. Natomiast zwątpienie w drugą część obietnicy, poj-

mowanej równie politycznie jak i metafizycznie, wplatało poetę w koło udręki. Świat bowiem przedstawiał obraz panowania zła moralnego i braku protestu; nie powiodła się w kraju wyprawa Zaliwskiego, chybionym pomysłem okazała się ,,pomoc'' kilkuset polskich oficerów i żołnierzy z Besançon idących na odsiecz rzekomej insurekcji niemieckiej jak wieczna kohorta rewolucjonistów, gotowych wszędzie walczyć o cudzą wolność. Kraj nie był zdolny do wznowienia powstania w 1833 roku ani też nie chciał go w późniejszych latach, zagranica nie dawała żadnych nadziei. Nie łatwo było pogodzić to z zastosowaniem psalmu ,,Kto się w opiekę...'' do losów społeczeństwa polskiego. Oto bowiem Bóg dopuszczał krzywdę i pognębienie sprawiedliwości; wiara ludzka załamywała się wobec zbrodni hitlerowskich — tak samo obojętność niebios uderzała polskie pokolenie romantyczne i zmuszała zachwianą wiarę do modlitwy o rozwiązanie zagadki.

Jakaż jest istota związku między Bogiem a człowiekiem, jaki stosunek Stwórcy do doli ludzkiej, gdzie zaczyna się granica etyczna odpowiedzialności Bóstwa za kształt świata, gdzie leży kres cierpliwości i początek nadprzyrodzonej interwencji? Pytania takie dojrzewały w poecie, znów rzucając go w zmagania z Bogiem, prowadzące do powtórzenia bluźnierczego protestu Konrada. Zrodzony z tych przeżyć wiersz należy do najwspanialszych utworów liryki religijnej i zastanawia bezkompromisowością tonu, dosadnością sformułowań, podobnych do zapalczywego przypierania przeciwnika do muru i zamykania mu wszystkich pobocznych wyjść. Data powstania utworu nie jest zupełnie pewna, ale prawdopodobne zanotowanie go jeszcze przed spotkaniem z Towiańskim, tłumaczy gotowość przyjęcia proroka, uspakajającego konradowy bunt przeciw okrucieństwu przeznaczeń. Otwiera wiersz gest demaskowania:

,,Broń mnie przed sobą samym — maszże dość potęgi!
Są chwile w których na wskróś widzę Twoje księgi!''

Jeżeli interpretacja pierwszej linii może być sporna, tekst drugiej skazuje, że należy ją odczytać jako rozpaczliwe wyzwanie Boga by bronił się przed tym, co w Nim samym jest przerażającego dla człowieka, szukającego w niebie sprawiedliwości i miłosierdzia. Tajemnica obojętności na cierpienia chrześcijańskiego narodu podważa wiarę i prowadzi do powrotu motywu Improwizacji: *,,żeś Ty nie ojcem świata ale...''* występującego z siłą, niespotykaną od czasu sceny więziennej ,,Dziadów'':

,,Chwytam Ciebie rękami za obie prawice.
I krzyczę na głos cały: Wydaj tajemnicę!
Dowiedź żeś jest mocniejszy, lub wyznaj że tyle
Tylko, ile ja, możesz w mądrości i sile''

Ów ,,krzyk na głos cały" wynika z napięcia rozpaczy w chwili, gdy z rąk wymyka się zbawcza lina ocalenia. Odejście od religii byłoby dlla Mickiewicza popadnięciem w najgłębszy pesymizm, skoro zanurzenie się w świat modlitwy przyjął jako ratunek po stwierdzeniu zwaśnienia, rozdarcia i bezsilności emigracji. Inwektywy przeciw polskiemu środowisku w Paryżu których pełno w epilogu do ,,Pana Tadeusza" padają w dobie rozczytywania się w pismach mistycznych; dwa procesy — zniechęcenia do rzeczywistości i odchodzenia w modlitewne wizje — odbywały się przez lata całe równocześnie.

W tym stanie, tak sprzecznym z wrodzonym optymizmem i czynnym, żywym usposobieniem poety, najsłabszy bodaj „znak" mógł obudzić nadzieję i wywołać przyjęcie nowej wiary. Mickiewicz posiadał — jak słusznie powiedział Renan, żegnając w 1890 roku prochy poety przenoszone do królewskich grobowców — ,,niewyczerpaną zdolność nieskończonych zmartwychwstań". Towiański przyniósł mu, jako rozwiązanie sprzeczności między świętością sprawy polskiej a ,,bezczynnością" Boga, rodzaj nauki jakiej sama wytworzyć nie była zdolna męska, energiczna natura Mickiewicza, naukę pokory i zdania się zupełnego na ,,czyn duchowy".

Ale w przebraniu pokory często występowała ukryta pycha. W mesjanistycznej teorii męczeństwa Polski i jej poświęcenia się za inne narody tkwi duma wybrańców, przystojące ,,narodowi wybranemu", zarozumiałe odrzucenie możliwości wad i błędów postępowania. W liryce religijnej Mickiewicza akty ugięcia się przed Bogiem uderzają jakby ograniczeniem stosunku między Stwórcą a człowiekiem do jedynie ważnej relacji: Bóg — wieszcz. Gestem wstępnym do pochylenia głowy uwieńczonej geniuszem i sławą przed głową w koronie cierniowej jest podniesienie czoła ponad tłum zwykłych ludzi. Tylko pokora wielkich i dumnych — zdawał się mówić poeta — ma swoją wartość.

W studium o Dantem wypowiada Papini zdanie, że pokora i duma są dwoma obliczami tego samego zjawiska duchowego, mając źródło w rysie charakteru wybierającej hierarchiczny stosunek człowieka do człowieka, a nie przekonanie o istotnej równości ludzi. Odnosi się to w pełni do Mickiewicza, chociaż byłoby przesadą przyjmować krańcowe twierdzenie prof. Backvisa iż o przyjęciu towianizmu decydowało u poety zaspokojenie pożądania władzy. Pisze wprawdzie Krasiński, że Mickiewicz chciał innym prawdę wciskać ,,jak się nakłada kajdany", ale ta gwałtowność była gorączką człowieka, przekonanego iż znalazł cudowne panaceum, które odrzuca tylko ludzka małość i zarozumiała ufność w siły rozumu.

Inna rzecz, że poparcie proroctw mistrza własnym autorytetem wzmacniało pozycję obu stron. Otwierała się droga do wywierania bezpośredniego wpływu na grupę wybranych jednostek, w czasach kiedy role wojskowe i polityczne stawały się

niedostępne i jedynie przywództwo duchowe dawało sposobność występowania w charakterze wodza i nauczyciela.

Przed Mickiewiczem zamykała się wtedy jego naturalna sfera oddziaływania: poezja. Od „Pana Tadeusza" i ogłoszenia „Zdań i uwag" naszkicował raczej niż napisał kilka zaledwie liryków. Próbował powrócić do „Dziadów" ale choć rzucił na papier kilkadziesiąt wierszy przyznaje w liście do J.B. Zaleskiego (styczeń, 1840): „Inspiracja mnie opuściła i przestałem pisać". Raz jeszcze „duch poezji" miał „być z nim" podczas pojedynku na improwizacje na uczcie świątecznej u Januszkiewicza. Niedostatek poezji, brak pobudzających przeżyć mógł rodzić, nawet i podświadomie, pragnienie zyskania jakichś innych sposobów utrzymania stanowiska wieszcza, wodza i nauczyciela. Obok więc kryzysu religijnego sposobiła Mickiewicza do towianizmu tęsknota za wstrząsem, za wyjściem z martwoty; do łaknienia ożywczej wody poezji dołączał się ukryty głos ambicji człowieka, tracącego upragniony „rząd dusz".

V

Fantastyczność pomysłów tego okresu razi, jeżeli oceniać je w oderwaniu do atmosfery epoki. Ale w połowie XIX-go wieku dla ludzi wierzących Bóg nie stał po stronie silniejszych batalionów, lecz miał lada chwila opowiedzieć się za sprawą wolności zsyłając zapowiedź rychłego wkroczenia Opatrzności. Dążenie do przewrotu w życiu indywidualnym i zbiorowym przenikał wiew idealizmu, wstrząsający także i konwencjonalnym katolicyzmem, częstokroć tkwiącym w związkach z ustrojem i myślą minionego stulecia. Dla rozczytanych w Ewangelii i „Księgach Narodu i Pielgrzymstwa", albo w „Paroles d'un croyant", romantycznych reformatorów przyjęcie myśli o Bogu odwracającym się od losów sprawiedliwej rewolucji równałoby się takiemu samemu bluźnierstwu jak domaganie się od Opatrzności odrodzenia Polski, nie spełniającej warunków ewangelicznej sprawiedliwości. „Nie chcemy Polski" — przemawiał Mickiewicz do członków Koła — „jeżeli nie ma być Polską na drodze woli bożej". Dla poetycznego mistycyzmu poety, ogarniającego go na równi z religijnym, praca duchowa według reguł podawanych przez Towiańskiego nabierała znaczenia trudu przygotowywania przyszłej Polski, sposobienia się do „wojny wielkiej i mającej rychło nastąpić".

Czemużby wiara nie miała obalać tronów, jeżeli może „góry przenosić"? Akty moralne Koła urastały do rzędu czynów przybliżających wojnę i obiecujących w niej zwycięstwo. Główną zasadą tak pojętego „działania" było mnożenie cnoty osobistej i natężanie wiary aż niemal do zdolności czynienia cudów, w czym przesadnie powtarzano wierzenia wczesnego Kościoła w którym ludzi chorych odsyłało się do starszych gminy albo

diakonów dla uzdrowienia ich modlitwą. Jednostka, podniesiona myślą ku Bogu, zbliżona do Stwórcy czystością duszy i absolutną ufnością w dzieło Opatrzności, otrzymywała dar nadprzyrodzonej mocy przeciwstawienia się złu. Poza sferą mistyki może się to wydawać zbiorem pustych formuł, jednakże, jeśli pominąć wprowadzoną przez Towiańskiego naukę o wędrówce dusz i ,,tonach'' duchowych, było w tym wiele z naiwnego nawracanie do prostoty i dosłowności zasad pierwszych chrześcijan przenoszonej w erę rozpędzającej się właśnie rewolucji przemysłowej. Stosunek do walki o wolność narodów przypomina ideę krucjat — i czyż nie zbliża się do tych kandydatów na żołnierzy, ćwiczących się w postach i modlitwie, zagadka Joanny d'Arc? Ducha czasu streszczało hasło ,,Bóg i wolność'', umieszczone przez Lamennais'go jako motto na czele pisma ,,L'Avenir''. O praktycznej zaś sile tych różnych fantastycznych idej świadczy na przykład uwaga Metternicha, jaką książę umieścił w liście do nuncjusza papieskiego w Wiedniu: ,,rezultaty tej książki (,,Paroles d'un croyant'') są takie jakby w Belgii wybuchła rewolucja''. W wyobraźni poety powstawał zaczątek zakonu rycerskiego, armia święta obalająca mury wrogiego Jerycha mocą modlitwy i grzmotem natchnionego słowa. Krasiński określał to, że Mickiewicz ,,chce świętych w szeregu stojących'', ,,świętych kierowanych przez sierżantów, oficerów, pułkowników''.

Mickiewicz był wśród tej roboty przekonany, że pozostaje w zgodzie z prawdziwym duchem chrześcijaństwa. Grzegorz XVI był mu pamiętny z breve 1833 roku ganiącego ,,Księgi Narodu'', ze stosunku do Lamennais'go i Montalemberta. Polacy wspominali nieprzychylny stosunek papieża do powstania listopadowego, Francuzi i Włosi mieli zapamiętać brutalność wojsk papieskich w Romanii. Nie mogło więc odstręczyć Mickiewicza niepowodzenie Towiańskiego w Rzymie. Zresztą pamiętał przykład paryskiego arcybiskupa, Mgr. de Quelen, przesadnie wiernego gałęzi Burbonów usuniętej przez rewolucję lipcową. Z drugiej zaś strony poruszał go los Lamennais'go, ,,jedynego Francuza który prawdziwie płakał nad nami'' i skromnych księży, dalekich od arystokratycznej i rojalistycznej hierarchii kościoła francuskiego, którzy po parafiach sadzili na dziedzińcach kościelnych ,,drzewa wolności'', jako że pierwszym takim drzewem miał być Krzyż na Golgocie.

Gdy za Piusa IX polityczne stanowisko Rzymu uległo zmianie, poeta zobaczył w tym potwierdzenie słuszności swoich dawniejszych pojęć. Nigdy nie przypuszczał by praca w Kole oddalała go od katolicyzmu i jego dogmatów. Późniejsze rozstanie się z Towiańskim i metodami ,,mistrza'' nie wpłynęły na zmianę podstawowego przeświadczenia o ewangelicznym charakterze przewrotu, wypraszanego w modlitwach. Pogodzony z Kościołem, przyjęty na audiencji (o burzliwym przebiegu) przez Piusa IX, powołał na wojskowego dowódcę tworzonego w Rzymie

i Florencji Legionu płk. Michała Kamieńskiego, gorliwego towiańczyka. Był w tym symbol niezmienności zasadniczej postawy. Nieścisłe jest zatem traktowanie towianizmu jak cudzej wstawki w „prawdziwe'' życie Mickiewicza, jak interpolacji ręką profana w tekst kanonu.

Wzruszającym świadectwem prostej właściwie wiary, ożywiającej poetę, jest długa rozmowa odbyta w Bibliotece Arsenału z odwiedzającym go Norwidem, o śmierci i pogrzebie żony. Świat nadprzyrodzony był Mickiewiczowi tak realny jak świat ziemski, spleciony z nim w ciągłym wzajemnym oddziaływaniu. Tylko dlatego mógł wybrać utratę katedry i perspektywę biedy z liczną rodziną, kiedy otrzymał ultimatum przerwania propagandy towianizmu w treści wykładów. Towianizm przyniósł szkody materialne, nadszarpnął reputację, wywołał oszczerstwa, nawet wzgardę wielu przyzwoitych ludzi; lecz zanim to nastąpiło, uwierzenie w cud, w otwartą ścieżkę świętości, dało Mickiewiczowi krótkie zaspokojenie najwyższej wieszczej ambicji: obcował z tajemnicą, dosięgnął niedotykalnego tematu ku któremu wspinał się od lat. Miewał przecież objawienia, jak Joanna d'Arc — słyszał głosy, wpadał w ekstazy, poprzez zachwycenia religijne odnajdywał słowo poetyckie, tylko bowiem poezja mogła wyrazić ich treść na użytek „braci'' i „sióstr''.

Gdyby był naturą bardziej kontemplacyjną, mniej czynną, bardziej w duchu Słowackiego, wolno przypuszczać że ostatnim płomieniem spalającym zasoby jego talentu byłaby obfita poezja mistyczna, być może — godna stanąć obok poematów św. Jana od Krzyża. Nie towianizm zabrał Mickiewicza poezji, ale wyczerpanie jej rodzajów i zadań. Nie dzień „dobrze przeżyty'' oderwał go od księgi, ale przejście wewnętrzne w świat w którym niknie sztuka i pozostaje tylko dawanie świadectwa nieprawdopodobnej prawdzie jak najściślej i najzwyczajniej. Twórczość Mickiewicza dogasała od dawna — epizod towianizmu rozgrzał ją na jedną chwilę, ostatnią i prawie nie dostrzeżoną przez potomność. Najistotniejszy zaś jest w całej sprawie spadek tej chwili, nie objęty tradycyjnym kanonem „dzieł Mickiewicza''.

VI

Mickiewicz, przechodzący od „Dziadów'' i „Pana Tadeusza'' do poezji mistycznej poprzez kolejne stopnie „Zdań i uwag'', poprzez kilka liryków pisanych jakby poza światem, jak po zakończonym życiu — jest postacią o wyraźnej harmonii rozwoju; czy byłby nią poeta mnożący dalsze dzieje „Pana Tadeusza''? Aby nie stwierdzić wypełnienia się do końca roli poety-wieszcza, opinia szukała uchwytnej przyczyny i znajdywała ją przeważnie w Towiańskim. Istotnie, jednym z aktów pokuty czy ofiary, wymyślonych przez zachłannego „mistrza'', miało być wyrzeczenie się przez Mickiewicza dalszej twórczości,

czego jednak nie podobna brać poważnie. Gdyby nawet poeta złożył kiedyś szalone przyrzeczenie, miałby dość determinacji aby się z niego wyzwolić. Powrót ,,ducha poezji'', jak wtedy na wieczorze u Januszkiewicza, przepłoszyłby podobne zobowiązania.

Goethe zauważył kiedyś, że mniej więcej do 35-go roku pisarz ,,żyje'', czyli gromadzi zasób doświadczeń, po czym przeważnie już tylko korzysta z nich jako z materiału twórczości; najważniejszym zagadnieniem z biegiem lat staje się forma, treść została zdobyta w młodości. Mickiewicz nie mieści się w formule Goethego. Będąc artystą świadomym, pracującym wytrwale nad osiągnięciem swej ,,łatwej'' prostoty, miał w sobie bardzo niewiele z postawy pisarza zawodowego. Był najpierw pielgrzymem, potem dopiero poetą. Człowiek przesłaniał w nim pisarza, a nie odwrotnie. Równocześnie w pełni żył i tworzył, ,,wylał wiele z serca jako młody rozrzutnik'' nie czekając na ,,wiek męski''. Przedział między światem faktu a dziedziną słowa jest u niego bardzo wąski a najbardziej zadziwiającą stronę jego twórczości stanowi połączenie w jedno poetyckiej wizji i dokumentu rzeczywistości. W liryce Mickiewicz nie ,,buduje'' pięknego wiersza z interesującego przeżycia, lecz po prostu ,,opisuje'' swe wzruszenie ściśle przystającym słowem. Najzwiewniejsze liryki z dojrzałego okresu talentu są jakby sprawozdaniem z wydarzenia, które zaszło w myślach, w sercu. Sprawy narodowe i osobiste znajdowały niezwłoczne odbicie w wierszu i miał Mickiewicz niezaprzeczone prawo pomstować na przeważającą praktykę wyczekiwania — jakbyśmy dziś powiedzieli — na ,,dystans wobec tematu''. Poeta spieszył się, biegł od jednego tematu do drugiego, tak właśnie jak pędzą wypadki w rozstrzygających chwilach.

Nie nawracał do rzeczy raz dokonanej, do formy zdobytej i treści raz już określonej słowem. Był tu zaprzeczeniem większości ludzi pióra przez całe życie maskujących różnymi chwytami pisanie jednej i tej samej książki. Mauriac pochwala taką psychologię twórcy jako dowód przetrawiania tematu i problemu aż do końca, do niespodziewanej na początku głębi. Mickiewicz całość przeżycia wyczerpywał do dna, wypijał od razu swój narkotyk. Jeden tylko temat, aż po późny wiersz, powtarza się w jego poezji : wyidealizowana wizja niespełnionej miłości. Nie mogło się dokonać w wierszach wyrastających wprost z życia, co się w życiu nie dopełniło.

Po napisaniu ,,Pana Tadeusza'' Mickiewicz szukał ścieżki ocalenia? Chory czeka wizyty lekarza, a nie nadejścia ksiąg wet że ,,pieśni ogromnych dwanaście'' ukończył głównie dzięki temu, że tak już był blisko finału, podczas kiedy myśl coraz bardziej zaprzątał konflikt religijny i lektura mistyczna. Wiemy dzisiaj, że pisanie pierwszych ,,Zdań i uwag'' towarzyszyło snuciu wątku poematu; kończąc jedną pracę był właściwie pochłonięty następną, niosącą niebezpieczeństwo rozbratu z poezją.

Cóż mógł jeszcze napisać? Powtórzenie powieści szlacheckiej w projektowanym dalszym ciągu ,,Pana Tadeusza'' byłoby wykorzystywaniem tematu, typową robotą ,,literata'', którym Mickiewicz był w słabym stopniu. Atmosfera polityczna znów wymagała dzieła zdolnego do poruszenia opinii; danie utworu trafiającego tylko do salonów literackich byłoby zejściem poniżej dotychczasowej linii życia, a wprost niemożliwe dla autora ,,Ksiąg Narodu...'' Sytuacja emigracji i kraju narzucała pisanie rzeczy tak się zespalających z problemami chwili jak ,,Konrad Wallenrod'' albo ,,Dziady''.

Czy taki utwór miał szanse powstania? Stałoby się nim rozwinięcie i dokończenie ,,Dziadów'', gdyby zrodziło się dostatecznie szybko. W miarę bowiem coraz gorszego położenia politycznego emigracji i świeżych ofiar w kraju, dotknęło Mickiewicza często przeżywane przez emigracyjnych artystów zwątpienie w wartość i sens literatury. Piękno nie jest chlebem codziennym, dopiero Norwid tak je zaczął pojmować. Cóż po wierszach, gdy wszystko woła o działanie, znaki, proroctwa, pomoc i środki ocalenia? Chory czeka wizyty lekarza, a nie nadejścia ksiąg zamówionych za dni zdrowia. W tym też tkwi prawdopodobne źródło niechęci emigracji do Słowackiego, że właśnie on nie poddał się ogólnej psychozie i pisał rzeczy piękne, fantastyczne, baśniowe, ,,niepożyteczne'', zgoła zbędne w rozumieniu czytelnika polskiego z paryskiego bruku, szukającego publicystyki i proroctw, przybranych poezją. Udana mistyfikacja Makryny Mieczysławskiej jest miarą nastrojów środowiska.

Dla Mickiewicza, rozczarowanego do Europy i porzucającego na pewien czas nadzieje polityczne jedyną sferą godną poezji stawała się dziedzina myśli religijnej. Dla spełnienia warunku bliskości słowa i faktu, poezja taka musiała wynikać z autentycznych doświadczeń mistycznych i łączyć się z pracą nad uzyskaniem osobistej świętości. Mieści się to wszystko w zacytowanych w liście Mickiewicza słowach Saint Martina: ,,On ne devrait écrire des vers qu'après avoir fait un miracle''.

Każdy człowiek zawodząc pokładane w nim nadzieje szuka wymówki, toteż stawianie poezji jakichś nadludzkich wymagań mogło być dyktowane instynktowną chęcią powołania się na jakiś wzniosły, niezwykły powód milczenia. Jest to jednak połowa prawdy. Drugą połową jest zdanie z listu do Al. Chodźki (1842): ,,Czas bracie, robić poezję'', czyli — budować świat w którym poezja miałaby rację bytu. Mickiewicz niewątpliwie utracił to co nazywał ,,natchnieniem'' albo ,,duchem poezji'', ale zobojętnienie dla możliwości pióra w dużym stopniu wynikało również z odwrócenia się od współczesnej mu Europy i współczesnego czytelnika.

Co pisał w dobie Lozanny było właściwie prywatną notatką, choć właśnie z tych czasów pochodzi kilka najpiękniejszych liryków. Są one odmienne od wcześniejszych wierszy tym, że Mickiewicz zaczął odchodzić od konkretu, szukać formy zwiewnej

jak obłok nastroju. I może nie bez ważkiej przyczyny artystycznej po raz pierwszy, wróciwszy ze Szwajcarii, oddał w improwizacji u Januszkiewicza pewną sprawiedliwość Słowackiemu. Niektóre drobiazgi liryczne długo musiały czekać by doceniono ich piękno i dopiero oswojenie się z metaforą nowoczesnej poezji otworzyło wrażliwość czytelników na śmiałość i delikatność przenośni na przykład z zapisu marzenia sennego „Śniła się zima...":

„...łzy jeszcze płynęły
Gęsto po licach, i jeszcze wionęły
Świeżym zapachem i Włoch, i jaśminu,
I gór albańskich, i gór Palatynu..."

Gdyby wiersz ten wówczas ogłosił przyjęto by go jako dziwactwo, dziś zaś zdumiewa niespodzianką jak niezwykły wynalazek przyszłości odnaleziony nagle w dalekiej przeszłości.

VII

Nie wiele w sumie przybyło wierszy po ukończeniu „Pana Tadeusza", lecz po iluż wybitnych i uznanych poetach po setce lat nie pozostaje więcej niż właśnie garść szczególnie pięknych liryków. U Mickiewicza w okresie Lozanny jest nadto chęć wyjścia poza granice słowa, oddalanie się od naturalnych zadań poezji utrwalania i przekazywania wzruszenia. Zastanawia na przykład zdanie z listu do J.B. Zaleskiego (1840):

„...jak będę miał pieniądze, i literaturę, i książki porzucę, na wsi osiądę i będę *m u z y k i* komponował".

Brak więc jak gdyby poecie słów do wyrażenia tego co go wypełnia i ten stan przeżyć nieokreślonych i niewyrażalnych trwa aż po spotkanie Towiańskiego, pośledniego sprawcy ważkiego wydarzenia. Wtedy bowiem tchnienie optymizmu, przywrócenie roli nauczyciela i wieszcza, niezwykła teoria przewidująca przyszłość okazała się czynnikiem wyzwalającym zdolność objęcia słowem doświadczeń mistycznych.

Wrażenie roztapiania się w przyrodzie, przenikania w świat, równoczesne opisywanie wizji i przemienianie się w jej substancję, wyjście za granice czasu i świadomość istnienia na dwóch planach: ciałem i duchem, uczucie obecności w dwóch miejscach naraz — występowało już w ostatnich wierszach. Ale dopiero w towianizmie może Mickiewicz, głęboko w to wierząc, mówić o konkretnym doznawaniu wieczności i obecności Boga. Członkom Koła donosi przecież że słyszał głos Chrystusa i słowa Matki Boskiej, mówiącej o tajemnicy wcielenia. Na użytek wyznawców, a więc zgodnie ze swym pojęciem poezji, utrwalał w „Słowach Chrystusa" i w „Słowach Panny" dotknięcie granicy świata nadprzyrodzonego. Uważał wtedy że osiągnął najwyższy wawrzyn otrzymując, po wielu wysiłkach, zdolność opi-

sania rzeczy straszliwej i nieprzeniknionej — cudu. Po widzeniu Matki Boskiej pisze ze spokojem pewności o jej słowach: ,,Aż miłość moja zaniecíła się w iskrę widomą i duch mój cały otoczył ją i tylko w nią patrzył''. Porównanie całości tekstu ,,Słów Panny'' z pismami mistycznymi świętych potwierdza psychologiczną autentyczność przeżycia.

Była to, w przekonaniu Mickiewicza, praca wybranego dla wybranych. Na krótko, za cenę długiego na przyszłość zamętu myśli, dźwignął słowo na niedostępny dotąd szczyt, osiągalny zaledwie na czas trwania skąpych zdań. Nie są to wiersze, lecz proza poetycka, jedna z najpiękniejszych w naszej literaturze; wzniosłość przedmiotu wywyższyła ją ponad rygory formy, zadowoliła się wiernym, pobożnym słowem, oczyszczonym z ludzkiej chęci krępowania jego treści układem rymów i rytmów. Mimo swej niepospolitej piękności ,,Słowa Panny'' i ,,Słowa Chrystusa'' dotąd stoją jakby na uboczu, poza poezją Mickiewicza. Po tylu latach nadszedł czas, aby nie spierając się o naturę doznań mistycznych odczytać je przede wszystkim jako poetycki dokument rzadkich uczuć i ocenić ich prostotę i sugestywność.

Człowiekowi, który pisał o głosie i objawieniu Matki Bożej trudno zejść do niższej treści w swej sztuce. Nie idzie tu o decyzję świadomą, która grzeszyłaby zarozumiałością, ale o wygaśnięcie uniesień. Ten płomień był zbyt gorący — wszystko spalił; w tym tylko znaczeniu byłoby usprawiedliwione podawać towianizm jak przyczynę utraty zdolności twórczych. Słowacki pisał, i pisał obficie, po wypracowaniu własnej filozofii mistycznej, pochodnej od towianizmu. Ale Słowacki wykładał poprzez poezję albo tworzył plastyczne wizje, Mickiewicz nie obrazował lecz przekazywał innym doświadczenie rzeczywistości nadprzyrodzonej, którą — jak *u w i e r z y ł* — oglądał twarzą w twarz. O uniesieniach swoich powiedział w liście do Towiańskiego: ,,Dawniej puściłbym je na poezję, teraz czekałem kierunku''. Poemat prozą o N.M. Pannie napisał bez zdania sobie sprawy, że wrócił do poezji, i zapewne przyjmowanie go przez potomnych jako wielkiego osiągnięcia liryki religijnej uważałby za myśl bezduszną, materialistyczną, za bluźnierstwo. Straciwszy wiarę w użyteczność sztuki, a mówiąc jeszcze przez chwilę jej językiem, zdobywał w swym przekonaniu prawdziwy rząd dusz. Nie odgadł że właśnie poezja strącona poniżej wysokości jego największej wizji zapewni mu w przyszłości ,,rząd dusz'' rzeczywisty — zza grobu. Nie przeczuwał, że ,,fraszki'', — jak nazywał ,,Pana Tadeusza'' — poema żartobliwe, będą najtrwalsze, a ich słoneczny blask będzie rósł w mocy kiedy nawet burza ,,Dziadów'' przyciszy swe grzmoty.

Później — był już coraz dalszy od szczęścia młodości i od szczęścia wieczności, doznanego na jedno drgnienie serca. Rwał się do słów szybkich, koniecznych w walce, w nieszczęściu i trosce, do publicystyki, powstającej tak samo z wiary

w ojczyznę jak i z lęku o jej istnienie. Gdyby zamknął się w ciszy pokoju i dalej „gadał wierszem”, nie bacząc na okoliczności, ufając że i tak, bez jego udziału, nadejdzie dzień przynoszący Polskę, wtedy, doprawdy, byłby Olimpijczykiem. Może dlatego poeci na emigracjach chwytają się publicystyki, że chcą akcją polityczną zapewnić przyszłość poezji pisanej w rodowitym języku. Aby nie troskać się o ojczyznę i zwyczajnie *w i e d z i e ć*, że ona będzie, potrzeba wiary większej jeszcze od wiary Mickiewicza. Czy miał ją Słowacki?

Od poezji, i od Mickiewicza, żądamy zbyt wiele. Nie dość że jest poetą wielkim i jedynym w swoim rodzaju; społeczeństwo polskie chciałoby tytana, porywającego Europę samym słowem do walki o nas i za nas. Bardzo niewielu poetów tworzyło przez długie dziesiątki lat, jeszcze mniej takich którym ta długa twórczość naprawdę dodała jakiś wiecznie żywy liść do wieńca sławy. Piętnaście lat poezji — to długi wiek. Mickiewicz, kończący go słowami mistyki, pozostanie wznioślejszy niż pisarz który by dał jeszcze i dalszy ciąg „Pana Tadeusza”. I czy, po prawdzie, jest ów nienapisany „drugi tom” rzeczywiście nam potrzebny, jeżeli od pieśni dwunastej tak łatwo wrócić do pierwszej? Poeta opętany nadziejami towianizmu, mierzący się ułudnie z Bogiem w walce o szczęśliwszy byt, świat wolniejszy i sprawiedliwszy, pozostanie geniuszem bardziej ludzkim, pełniej wcielonym w ułomną polską naturę niż by nim był Mickiewicz — wzór trzeźwego rozsądku, niedostępny dla skaz i cierpień wygnania, współzawodniczący ilością tomów z Wiktorem Hugo.

Nie ma powodu wstydzić się człowieczeństwa poety. Naród jest zdolny do przyjęcia poety-pielgrzyma, do uznania jego miejsca między królami, którzy również grzeszyli ciałem i duchem. Jedynie polityce jest potrzebny pomnik z podniesioną gestem wskazywania drogi ręką już to prawą, już to lewą. Ambicje chwili chcą wykorzystać Towiańskiego-proroka lub Towiańskiego-mistyfikatora. Towianizm jest dziś zabytkiem muzealnym, za to w literaturze pozostają „Słowa Panny” i „Słowa Chrystusa”. Wśród cudów wątpliwych dziwacznemu przybyszowi z wiejskiej Litwy do świetnego Paryża można dziś przyznać jeden prawdziwy: *na krótko odemknął* oniemiałe usta poety.

Zdzisław BRONCEL

Ostatni wiersz

1

Act One, scena pierwsza.
Przez podejrzliwy otwór w kurtynie
spojrzeć raz tylko w zakulisy wiersza,
z widowni spojrzeć o pustej godzinie,
kiedy widownią są oczy, a sceną
odbicie tych samych oczu
w oczach.

I światło rzęs na uboczu.

2

Tyle odsłon, ile pocałunków:
(Mille, deinde centum):
za kulisami cudzych wierszy
po tysiąc, po sto — cyfry na rachunku,
pokwitowane pieczątką pamięci.

Tamte wargi z haftów ornamentu,
tamta pamięć ust jak pieczęci
na nic —
gdy oto każdy pocałunek
przepaść odsłania
i w ustach i pod ustami,
gdy mapa warg nie ma granic,
gdy zamiast cyfr — znaki zapytania
w głąb —
gdzie już ciało nie krzyczy ratunku.

Tyle odsłon, ile pocałunków.

3

Scena druga i trzecia i czwarta
myli odsłony; gmatwa się w fałdach kurtyna;
papierowa rola podarta.
Spadając na dno, pytać czy dnem: wina?

4

Między Aktem śmierci a Aktem stworzenia
przemyka się wieczność
tak wąska jak cieśniny
ramion, piersi i nóg
w podróży naokoło ciała —
wieczność bez map i kompasu
tak biała
jak sam Akt
jak ten wiersz jest biały
poza hipokryzją rymu
poza wskazówkami czasu.

Afrodyte,
która obnażasz zegary
z czasu,
która obnażasz winę
z klątwy i kary,
która wytrącasz płeć jak rozdwojone drzwi
z zardzewiałych zawiasów —
Ty, która jesteś Aktem sama w sobie,
między Aktem śmierci a Aktem stworzenia,
spływająca cieśninami krwi
po kataraktach
na krach rytmu po urwistych aktach —
wciąż niżej
w wytrysk zmęczonego zdumienia.

Dno Twej przepaści zawsze będzie szczytem,
Afrodyte —

5

Z powrotem trzeba rysy ułożyć na twarzy,
ubrać gesty na co dzień, ufryzować słowa.
Telefon: numer niemy cyframi pamięta
cudze oczy z paszportów, z zagranicy zdarzeń.
I świat stałby się pudlem i smycz by całował,
gdyby nie ta nieśmiałość na guziki zapięta.

6

Plotkarz, dowcipniś, impotent, węszyciel
na obrotowej scenie przedrzeźniają życie,
choć sufler mitów magię podpowiada skrycie.

7

Sylabizować magię aż po liter skraj
bo może to być magia dymu z papierosa
podpis na dymie siny pocałunku ślad
język potykający się o nagły nerw
ramiona pomnożone przez nogi
siedmioramienny świecznik pogaszonych zdrad
magia ram wywołujących coraz to inny obraz:
anonimowa Afrodyte.

Lecz lęk, ten lęk liczący luźny liter skraj —
na magiczne guziki zapinane wiersze —
ostatni wiersz, w którym ślepnie i scena i sufler —
gdzie serce się dobija do niewidomych łez —
i gdzie lustro pamięci straszyć będzie duchy —

Anonim (XX wiek)

Mielizny

Nieopatrznym cieniem ptaków lecących szeregiem
Zwężmy ocean do wstęgi dobrze znanej rzeki,
Uciszmy chwiejny dzwon rozkołysanych wód
Do cichych szmerów zapomnianych lat.

Oto mielizny świecą płachtą mokrych piasków
I płytko wirują w nieboskłon pamięci
Zwężeni do rozmiarów niebosiężnych chmur,
Strąceni w kamienne arabeski skał.

Zdzisław MAREK

Z poematu "Dno"

Powoli, powoli unoszę głowę,
Staję się większym od kraba, cierpliwszym od głazu,
Błyska żalem rozbity witraż butelki,
Na górze ginie coś, czego nie potrafię zrozumieć,
Na dnie umiera ciche spojrzenie nocy.

Nie nam budować świat w rozchwianym szczęściu,
Równina kurczy się do trójwymiaru klęski,
Góry są zmarszczką błota na zimnej skale,
Jezioro — kroplą łez strąconych z nieba,
I z potrzaskanych pól bitewnych i z dymu baszt,
Gruz dudni w nierówne piramidy pieśni.

Powoli, powoli opuszczam głowę,
Dno pachnie powrotem, obietnicą snu,
Świeci fosforem lotu zabłąkany owad,
Wilgoć użyźnia płaszczyzny mchów.

Wracam w przygodny cień i piję z czary powrotów.

Zdzisław MAREK

Hiszpania

Żonie

Wybrukowana słońcem, że tylko w szparach rosną oliwkowe drzewa pokrewne popiołom.
Zaorać głębiej, a pług się wyszczerbi na płomieniu piekieł.



Z bezpaństwowych pociągów sunących brzegami życia wychylają się wystygli turyści o białej krwi i rzucają mosiężne drobniaki Hiszpanom wynioślejszym niż topole.

Licz, licz, abyś mógł powiedzieć kogo tu więcej: uzbrojonych, czy milczących?

Dyktator każe słońcu wstępować wciąż wyżej. Ciężką zorzą tłumią prałaci horyzont; i nawet rygiel wrót więziennych nie zdoła zagłuszyć łoskotu dzwonów, bombardujących Iberię klęczącą.

Licz i licz, wysoko wznoś i na szczycie mowy zatknij rzecz zapisaną w bezsennym sumieniu.

Z rączki dziecka proszącej w Kordobie,
z rączki dziecka proszącej w Grenadzie
czytałem spalony los narodu.

Było czytelne przedmieście Madrytu, gdzie krety o głowach dzieci wypełzały ku mnie spod ziemi. I pojąłem ogromną ciszę, w której co do jednego wymilkły ptaki.

Gdzie spojrzeć — mur. Mur wytatuowany siwymi kulami. A nad nim trwa jeszcze tamten dzień. Bomba rozmiażdżyła mu jutrzenkę i chlusnęły ciemności.
Wilki strzegą przełęczy kraju zamkniętego na ciężkie góry. Wilki wypruły życie z klaczy o maści cygańskiego słońca.

. . . .

Mówiono mi o skrzydle krążącym ufnie w oczekiwaniu na ptaka i na drzewo przychylne wiośnie.

PATIO

Nasze okno wychodzi na patio. Sześcian chłodu żywiony przez niską jak storczyk fontanienkę i spryskiwany przez tije-wije niewidocznego szczygła.

Patio, warowny prawzór altan, chłodna cienistość rosnąca wzwyż murów wielekroćstuletnich.

Wystarczy spojrzeć na trzaskające od upału dachówki i na bezwzględność granicy cienia, aby ocenić naszą eksterytorialność rześką i szczęśliwą.

Stąd piją powietrze: dom i wiecznie zielone rośliny. Gdzieś znad piętra mży glicyna, latorośl sująca fiolet błonkoskrzydły.

Ale wszystko ustępuje miejsca nocy. Nie, raczej służy jej zamiarom. Wtenczas otwieramy okno.

Ciężkie, z cukrowych gron gniecione wino prostuje się we krwi — i noc nie ruszy z gwiaździstego nieba zanim się nie wzbogaci o krzyk dwojga ust zatapianych bursztynem.

WIELKI PIĄTEK

Kiedyś ptakom zazdrościł nawietrznych mieszkań, dziś jego rydwan, groźny i asyryjski, toruje sobie drogę przez proch człowieczy przesypujący się ulicami.

Udaje się na paradę własnej śmierci na czele pochodu kapiącego złotem, zaharowanym i niepiśmiennym.

Nagle od placu straszliwa i rosnąca zmarszczka przerażenia tratuje tłum i wykrusza twarze.

Stara kobieta, topola na czarno, karnawałowi naprzeciw. Z jej dłoni otwartych na niebie, gruda po grudzie, pada ciężka, zapieczona ziemia.

Wstaje pył miedziany i przysypuje roty ku-klux-klanu psalmodiującego milczenie. Wstaje rudy pył i ślepi stiukowe manekiny Bogów.

Patrząc i widząc, wołałem o chmury mające brzuch wezbrany liściastym deszczem. Wołałem o potop rzeczy majowych, z którego mogłaby czerpać stara kobieta, topola na czarno, z rękoma otwartymi na niebie.

CORRIDA

Wielopiętrowym kołem rudzieje na słońcu czarnoniedzielna tłuszcza. Zrastają się ramiona. Stok wokół areny pokryty mrowiącym się ciałem odwiecznego pierwotniaka z epoki gardłowego krzyku.

Krzyczy. Judzi, judzi jurnego bohatera, by coraz groźniej sprawował mszę narodową. Usta dziewcząt, jeszcze złote od porannej łaciny, bełkocą wściekłość w obliczu zbyt wolno jawiącej się śmierci.

A! Nareszcie ukazana jest jucha! O-le! Ukazana jest chutna jucha z tak bliska, że nie widzą śmierci. Dyszą twardzi mężczyźni i lepkie, skłute na sito mieczem miłosnym kobiety.

Bryzgi posoki stoją w powietrzu i aż mroczy od demonów dobijających się do krwi.



Wywołaliśmy zdjęcia stamtąd. Rozwijamy z pietyzmem dni nawinięte na kolorowe szpulki. Jesteśmy tam jak żywi. Opieramy się o głowy lwów na dziedzińcu Alhambry, bądź spoglądamy na Gwadalkwiwir.

I trzeba dopiero, abyśmy spojrzeli sobie w oczy, żeby wrócił płomień, którego trzymaliśmy się, idąc po tamtym kraju; żeby powiędły kwiaty i kwiatuszki, i żeby milcząca zatoczyła się przed nas tamta ziemia i tamten parów pod Grenadą, gdzie biegnie, biegnie i pada Lorca, pojąwszy kulę falangisty w czerwone zwoje dumy i pieśni.

Marian PANKOWSKI

Bruksela, marzec-sierpień, 1955.

Druga rewolucja przemysłowa

Jeszcze przed drugą wojną światową — człowiek o tak zwanym ogólnym wykształceniu musiał wprawdzie wiedzieć kto to był Sofokles, ale bez ujmy dla swej reputacji mógł nie wiedzieć na czym polega mechanizm tramwaju elektrycznego, którym codziennie jeździł do biura.

W gościnnym domu profesora G. w Krakowie kibicowałem raz przy bridżu. Partnerami byli dwaj profesorowie uniwersytetu (archeolog klasyczny i prawnik) oraz docent archeolog klasyczny i doktór historyk sztuki. W pewnym momencie zgasło światło. Nikt z obecnych (włącznie ze mną) nie umiał zmienić tak zwanej stopki (w Krakowie zwanej ,,korkiem''). Bridża dokończono przy świecach.

W owej, jakże bliskiej epoce — brak elementarnych wiadomości technicznych nie był uważany za nieuctwo (którym de facto był). Pewne wiadomości z tej dziedziny musiał posiadać dozorca domu, monter czy ślusarz. Profesor filologii klasycznej mógł być bezkarnie technicznym analfabetą.

Dziewiętnastowiecznym światem, który wbrew kalendarzowej logice przetrwał na wschodzie Europy niemal po rok 1939 — rządzili humaniści. Uniwersalnym studium humanistycznym, które przygotowywało do wszelkich możliwych zawodów — było prawo. 80% urzędników byłej monarchii habsburskiej rekrutowało się z prawników. Prawnikiem był komisarz starostwa na zapadłej podhalańskiej prowincji i prawnikiem był szef departamentu ministerialnego w dalekim Wiedniu.

W Anglii nie było recepcji prawa rzymskiego i dlatego nigdy nie rządzili tą wyspą ,,doktorzy obojga praw''. Anglia nie znała również systemu klasycznych ośmio-klasowych gimnazjów, które na kontynencie — a w szczególności w Austrii i w Niemczech — produkowały dziesiątkami lat legiony humanistycznej inteligencji.

Lecz tym razem ma się już ostatecznie i nieodwołalnie pod koniec starożytnemu światu. Atomowa rewolucja przemysłowa potrzebuje setek tysięcy inżynierów, technologów, technicznych i naukowych pracowników i (technicznych) robotników o wysokich kwalifikacjach. Bitwa o Wielką Brytanię zostanie wygrana (albo przegrana) na brytyjskich technologicznych uniwersytetach, w technicznych szkołach średnich i na wieczorowych kursach.

Problem jest kryształowo jasny. Rosja Sowiecka produkuje rocznie dziesięć razy więcej inżynierów niż Wielka Brytania. Oznacza to, że dyplomowanych inżynierów przypada dwa i pół razy więcej na głowę mieszkańca w Rosji niż w Anglii (U.S.S.R. and Technological Leadership — B. L. Goodlet).

Nasi „sowietolodzy", którzy wszystko wiedzą lepiej, zauważą w tym miejscu z wzruszeniem ramion: „Panie... cóż to za inżynierowie w tych Sowietach?"

Otóż cytowany autor angielski, który badał ten problem na miejscu w Rosji — stwierdza, że o ile w Anglii uniwersytecki kurs inżynierii obejmuje około 2.500 godzin wykładów — analogiczny kurs na wyższych szkołach technicznych w Moskwie obejmuje 4.800 godzin nauczania.

W Anglii istnieją poza tym „inżynierowie", którzy mają inny typ „matury" a mianowicie tak zwane „Higher National Certificate" w odróżnieniu od „General Certificate of Education at advanced level". Ta klasa „inżynierów" ma za sobą tylko około 1.100 godzin wykładów. Ci ostatni w Rosji nie byliby w ogóle uznani za wykwalifikowanych inżynierów.

Dokładnie dziesięć lat temu „Committee on Scientific Manpower" po dokładnym zbadaniu tych skomplikowanych zagadnień — wysunął żądanie by uniwersytety brytyjskie podwoiły produkcję inżynierów i technologów.

Okazuje się jednak, że 100% wzrost cyfry techników i inżynierów w okresie ubiegłego dziesięciolecia jest niewystarczający. Rząd brytyjski w marcu br. wydał „białą księgę" pt. „Technical Education" w której wysunął nowe postulaty reformy brytyjskiego systemu nauczania w celu szybszego i wydatniejszego zwiększenia cyfry inżynierów i techników. Anglia w przyszłym roku budżetowym wyda £68.264.390 na rozbudowę energii atomowej dla celów przemysłowych.

Co to wszystko oznacza? Fakty powyższe w konsekwencji muszą przynieść między innymi gwałtowny spadek cyfry humanistów oraz redukcję ich wpływu i udziału w procesie kulturotwórczym.

Na wschodzie Europy problemy te kształtują się nieco inaczej.

Ofensywa przeciwko humanizmowi prowadzona jest uparcie i na tym odcinku trudno jest dopatrzyć się „odwilży". W lutowym numerze „Kroniki" (organ Związku Literatów Polskich,

Oddział w Łodzi) — Henryk Katz w wstępnym artykule pisze: „(w humanistyce) dominuje — i to już od wielu dziesięcioleci — nie tendencja do odkrywania nowych, obiektywnych prawd, ale tendencje eliminujące problematykę prawd obiektywnych, tendencje ku empiryzmowi, irracjonalizmowi i subiektywizmowi, tendencje na wskroś idealistyczne. Od szeregu dziesięcioleci trwa proces naukowego cofania się i uwsteczniania burżuazyjnej filozofii i humanistyki w ogóle — wynikający ze spełniania przez nią funkcji służebnicy reakcyjnej i kontrrewolucyjnej burżuazji".

Tyle p. Katz.

Cały powyższy problem rozpatrywany nie z punktu widzenia filozoficznego lecz z punktu widzenia politycznego nabierze istotnego sensu gdy wyraz „humanizm" (w sensie humanistyka) zastąpimy jego politycznym odpowiednikiem to jest terminem liberalizm.

Pewni polscy humaniści przebywający w wolnym świecie nie uważają się za liberałów. Niemniej, humanistyka jako dyscyplina może być tylko liberalna. Innej humanistyki de facto nie ma i być nie może.

W okresie kiedy Rosja Sowiecka nie posiadała jeszcze bomby atomowej — bodaj B. Russell wysunął tezę, że tam gdzie nie ma wolności swobodnego badania naukowego, nie może być postępu i wielkich odkryć. Tę efektowną tezę podjęło wielu publicystów i pisarzy — między innymi i polskich. W dziesiątkach artykułów twierdzono, że Sowiety tylko kopiują wynalazki Zachodu. Jeszcze dziś nawet pewien procent pisarzy i sowietologów wierzy niezachwianie, że ustrój totalitarny w którym władza polityczna decyduje o zagadnieniach zarówno genetyki, czy językoznawstwa jak teatru i muzyki — skazany jest na intelektualną bezpłodność. Niestety praktyka nie potwierdza tej wzniosłej teorii.

Doktryna katolicka tak jak ją pojmowano w początkach siedemnastego wieku — zawierała ściśle określoną projekcję systemu wszechświata. Wskutek tego krępowała odkrywczą myśl ludzką nawej w takich dziedzinach jak astronomia.

Marksizm w pierwszym rzędzie jest systemem polityczno-socjalnym a nie tylko filozoficznym. Fizyk, matematyk, astronom — jak długo jest materialistą posiada w ramach doktryny komunistycznej całkowitą swobodę badań i dociekań. W badaniach atomowych nie może być żadnego „socrealizmu" ani „odwilży". Każda teoria z dziedziny nauk ścisłych odpowiednio naukowo poparta będzie zawsze zgodna z doktryną marksistowską. Niezgodną z tą doktryną może być natomiast filozoficzna interpretacja tej teorii.

Jeżeli przez postęp rozumieć rozwój nauk ścisłych, a w szczególności współczesnej technologii — to można sobie doskonale wyobrazić rozkwit tych gałęzi wiedzy w ustroju jesz-

cze bardziej totalistyczno-policyjnym niż sowiecki komunizm. Można nawet posunąć się o krok dalej i przyjąć pogląd, że komunizm na dalszą metę ułatwia rozwój dyscyplin technicznych ponieważ z jednej strony dewaluuje humanistykę a z drugiej strony zwalnia twórców technologicznego postępu od moralno-filozoficznej odpowiedzialności.

Wahania, niepokój, wątpliwości, które po Hiroszimie opanowały umysły wielu fizyków atomowych były konsekwencją braku, względnie wątłości ,,filozoficznej nadbudowy''. Ciężar wielkiej odpowiedzialności można nieść tylko w oparciu o przekonania. Fabrykant pasty do zębów nie ponosi odpowiedzialności i może sobie pozwolić na komfortowy brak przekonań czy ,,filozoficznej nadbudowy''. Ale fizyk, którego matematyczne formuły przeobrażają się w cmentarzyska Hiroszimy bez ,,nadbudowy filozoficznej'' staje się kandydatem na wykolejeńca.

Jest w pewnej mierze zrozumiałe, że doktryna komunistyczna wydaje się szczególnie atrakcyjna fizykom jak dr. Pontecorvo, dr. Fuchs czy prof. Joliot-Curie. Komunizm daje bowiem gotową ,,nadbudowę filozoficzną'' niejako stworzoną dla techników. ,,Nadbudowę'' bez mistycyzmu, w całości z tego świata, bez niedomówień i niejasności.

Antyhumanistyczne nastawienie doktryny komunistycznej wywodzi się z dwóch źródeł. Z dogmatycznego materializmu i z negatywnego stosunku do liberalizmu. Humanizm jest naturalną pożywką liberalizmu a liberalizm jest fundamentem demokracji.

W naukach ścisłych można dokonywać epokowych odkryć powstrzymując się od interpretacji filozoficznej. Można rozbijać atomy, budować statki międzyplanetarne, nawadniać pustynie, automatyzować przemysł — stojąc oficjalnie (czy z przekonania) na stanowisku materialistycznym.

Ale w naukach humanistycznych, w większości wypadków nie odkrywamy praw i regularności tylko interpretujemy. Weźmy dla przykładu Historię. Każde pokolenie historyków zaczyna od nowa i daje świeżą interpretację tych samych faktów.

W ramach doktryny marksistowskiej możliwa jest tylko jedna interpretacja faktów historycznych. W tym systemie Historia przestaje być nauką humanistyczną i staje się dyscypliną ,,ścisłą'' jak chemia czy biologia. W państwie komunistycznym doprowadzonym do swej logicznej doskonałości nie ma miejsca na żadną humanistykę. W utopijnym świecie komunistycznym istnieć mogą tylko nauki ścisłe, gdyż każda nauka marksistowska jest nauką ścisłą. Wątpliwości dotyczące interpretacji filozoficznej zagadnień fundamentalnych są wyłączone. Dla doskonałego marksisty świat i wszechświat jest zrozumiały i wiadomy choć jeszcze nie w całości odkryty.

Jest rzeczą zdumiewającą, że nawet tak inteligentni ludzie jak Józef Chałasiński — nie widzą tego problemu.

,,Ilu humanistów obecnie świadczy swoją twórczością'' —

zapytuje Chałasiński na łamach „Przeglądu Kulturalnego" — „że osoba chłopa czy robotnika, perypetie ich życia są godne historii kultury narodowej?"

Na pewno są godne ale dyspozycja obowiązująca humanistów wyklucza humanistyczne podejście. W tym samym artykule pod adresem nieszczęsnych humanistów Chałasiński wysuwa następujący zarzut: „Co zrobili aby dowiedzieć się o tym jaka jest rola Mickiewicza w życiu kulturalnym robotników i chłopów. Co i jak czytają z Mickiewicza, w jaki sposób twórczość Mickiewicza — Ballady, Dziady, Sonety, Pan Tadeusz — wzbogacają ich życie duchowe, przeobrażają je w kierunku socjalistycznym".

Śliczne zadanie dla humanisty... wykazać jak Sonety Krymskie przeobrażają chłopów (a może nawet kułaków!) w kierunku socjalistycznym.

I tak kończy się każda dyskusja o humanistyce. „Drętwą mową" i sloganem oczywistym w swej bezsensowności.

Chałasińskiemu i Schaffowi wydaje się, że trzeba przełamać idealistyczne nawyki i ciągoty w sposobie myślenia humanistów a gdy to zostanie dokonane — marksistowska humanistyka wyskoczy jak Minerwa z głowy Jowisza.

To jest nieporozumienie. Można być znakomitym humanistą będąc przekonanym materialistą-ateistą i można być nie mniej znamienitym humanistą będąc wierzącym chrześcijaninem. Nie materializm odcina żelazną barierą humanistykę od marksizmu. Istotą tej żelaznej bariery jest liberalizm.

U dna sprawa jest prosta. Ponieważ Marks i Lenin nie podali opisu budowy wszechświata ani nie odsłonili tajemnic fizyki jądrowej — uczony za cenę zaakceptowania poglądu materialistycznego zyskuje swobodę badania i poszerzania horyzontów danej gałęzi wiedzy ścisłej.

Sytuacja humanistyki jest całkowicie różna, gdyż marksizm de facto redukuje całą humanistykę do socjologii, która w systemie ma ściśle określone cele polityczne. Powieść „socrealistyczna" nie jest żadnym zamówieniem społecznym tylko jest politycznym zamówieniem państwowym. Marksistowska historia Polski nie będzie rezultatem badań nowej szkoły historycznej lecz będzie elaboratem o ściśle określonych celach politycznych. To samo dotyczy filozofii, historii literatury itd.

Humanistyka i liberalizm nie mogą być tolerowane w ramach ustroju o ustalonej, doktrynalnej filozofii. Istotą liberalnej demokracji Zachodu jest bowiem nie tylko równość ludzi wobec prawa, ale przede wszystkim *równość idei wobec krytyki.* Krytykujemy komunizm, demokracje — badamy krytycznie wszystkie znane systemy polityczne i filozoficzne.

W gruncie rzeczy o wolności można mówić tylko tam gdzie „nadbudowa filozoficzna" jest prywatną sprawą każdego obywatela. Liberalna demokracja jest laicka i tolerancyjna tak

w sensie religijnym jak i ideologicznym. Zaadoptowanie przez państwo takiej czy innej ideologii prowadzi nieuchronnie do totalizmu, prześladowań i zgniecenia wolności przekonań.



Wolność przekonań jest ceniona tylko tam gdzie istnieją różne przekonania. Czy ludzie muszą hołdować różnym przekonaniom? Niewątpliwie można zrobić wiele w tym kierunku by ową różnorodność wydatnie ograniczyć.

Źródłem różnorodności i bogactwa form intelektualnych jest w pierwszym rzędzie humanistyka. Studia humanistyczne indywidualizują jednostkę a na pewnym poziomie umożliwiają budowę własnego światopoglądu.

Jeżeli w danym systemie ułatwienia kształcenia, kariera, wynagrodzenie itp. — premiują tych, którzy obierają zawód techniczny, jeżeli równocześnie studia humanistyki odarte są z metody naukowej i wtłoczone w rygor doktrynalnej scholastyki — to należy przyjąć za prawdopodobne, że pojęcie liberalizmu w społeczeństwie poddanym takiemu procesowi — z czasem zacznie zanikać. I nie tylko pojęcie liberalizmu ale i wiele innych pojęć wymrze tak jak w niesprzyjających warunkach wymierają pewne gatunki zwierząt i roślin.

Komuniści dążą do zastąpienia warstwy humanistyczno-liberalnej inteligencji nową warstwą inteligencji technicznej, która ani nie będzie miała aspiracji do własnego indywidualnego światopoglądu ani nie będzie intelektualnie uzbrojona do podjęcia krytyki marksizmu. Los komunizmu zależy od sukcesu tej operacji.

Za ferment rewolucyjny i za niepokój intelektualny od czasów renesansu odpowiedzialni są humaniści. Problemy filozoficzne, tęsknoty metafizyczne — istnieją tylko dla tych, którzy je dostrzegają. Gdyby było możliwe zlikwidować tych, którzy owe problemy dostrzegają — z punktu widzenia praktycznej socjologii grupa tych zagadnień przestałaby istnieć. I to jest cel.

Chałasiński skarży się, że ludzie w Polsce najchętniej czytają stare powieści, które jeżeli są w bibliotekach — mają największe powodzenie. Panu Chałasińskiemu należy wyjaśnić, że daleko łatwiej jest napisać powieść „socrealistyczną" niż wyprodukować czytelnika powieści socrealistycznych. Powieść można napisać w trzy miesiące ale produkcja czytelnika socrealistycznego może potrwać czasokres życia dwóch pokoleń.

Jedno jest pewne — współczesny europejczyk — Francuz, Anglik czy Włoch z całym bagażem humanistycznej schedy łatwiej przejdzie przez ucho igielne niż przez wrota komunistycznej utopii. Ale na jak długo starczy tej schedy?

Gen. Sierow szef rosyjskiej „Bezpieki" wylądował na lotnisku w Londynie w samolocie odrzutowym TU-104. Jest to pasażerski samolot na 50 miejsc. Ani Amerykanie ani Anglicy nie

mają w tej chwili pasażerskiego odrzutowca. Następnego dnia po wylądowaniu TU-104 ,,The Manchester Guardian'' artykuł wstępny rozpoczął od następującego pytania: ,,Co będzie jeżeli Rosjanie podejmą z nami walkę konkurencyjną i rzucą na rynek światowy TU-104?''

I oto mamy sedno problemu, któremu poświęcona jest ,,Biała księga'' cytowana na wstępie tego artykułu.

Już samo przejście od węgla do energii atomowej w skali przemysłowej wymaga przebudowy szkolnictwa a co zatem idzie przebudowy socjalnej struktury społeczeństwa. Jeżeli dziś — powiedzmy dla przykładu — na jednego humanistę przypada 50 techników — w niedalekiej przyszłości na jednego humanistę przypadać będzie 500 techników. W grę wchodzą jeszcze elementy obrony i konkurencji. W tej chwili jest mało prawdopodobne by Rosja rzuciła na światowe rynki TU-104. Ale za lat dziesięć czy dwadzieścia Sowiety mogą podjąć konkurencyjną walkę handlowo-przemysłową na wielką skalę.

W obecnej fazie, która trwać może bardzo długo — obrona jest wyścigiem technicznej doskonałości. W dziedzinie lotnictwa, pocisków kierowanych i specjalnych broni atomowych — zbrojenia są niesłabnącą konkurencyjną walką prototypów. Ten proces wymaga najwyższego poziomu wiedzy i talentów technicznych oraz niemal nieograniczonych środków finansowych.

Humanistów nikt cudownie nie rozmnoży. Jeżeli mamy mieć dziesiątki razy więcej techników niż obecnie to oczywiście o tylekroć mniej będziemy mieli humanistów. Obecna ,,równowaga'' sił'' pomiędzy humanistami a technikami zostanie zachwiana. Jaki to będzie miało wpływ na politykę?

Terminy ,,lewica'' i ,,prawica'' stają się na Zachodzie anachronizmem. W państwach totalistycznych wzoru sowieckiego mamy koncesjonowane partie lewicowe a nawet koncesjonowane partie ,,prawicowe''. Np. katolicy postępowi w pewnych dziedzinach są zachowawcami i jako zachowawcy są pewnego rodzaju ,,prawicą''. Nie ma jednak i nie może być koncesjonowanych liberałów. W państwie komunistycznym po-stalinowskiej epoki jest miejsce na wszystko tylko nie na liberalizm. Można przykroić do marksizmu każdy program i każdą ideologię tylko nie liberalizm.

Gdyby socjaliści brytyjscy przestali kiedyś być liberałami i w konsekwencji przestali pojmować demokrację tak jak ją rozumieją ludzie wychowani w liberalnej tradycji — między nimi a komunistami byłyby wciąż wielkie różnice — ale nie byłoby przepaści. Istniałyby tylko różnice czekające na kompromisowe rozwiązanie.

Istnieje organiczny związek pomiędzy humanistyką-liberalizmem-demokracją. Nasza kultura wywodzi się z humanistycznego podłoża i należy obawiać się, że proces ,,technicyzacji'' i odejście od humanistyki w konsekwencji przynieść by musiało

zubożenie intelektualne, ciasnotę poglądową, a w finale, uwiąd liberalizmu.

Sytuacja jest paradoksalna — ponieważ odchodzimy od humanistyki by na polu technicznego postępu nie dać się wyprzedzić blokowi komunistycznemu. Podejmując atomową rewolucję przemysłową nie upadabniamy się do Sowietów. Ale jeżeli zezwolimy by rewolucja atomowa zmiotła humanistykę — upodobnimy się do tych — przed którymi pragniemy się obronić.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

50 PROCENT

TRJN dyskutowała nad exposé nowego przewodniczącego Egzekutywy p. A. Ciołkosza.

Na uwagę zasługują pewne wypowiedzi p. R. Piłsudskiego, prezesa NiDu. „Politycznie rzecz biorąc" — powiedział p. R. Piłsudski — „obecna Egzekutywa jest niczym innym jak kontynuacją poprzedniej. Podstawę jej stanowi alians Ligi Niepodległości i Stronnictwa Narodowego. Różnica polega tylko na tym, że uprzednio alians ten firmował gen. Odzierzyński a teraz firmuje go p. Adam Ciołkosz.

P. R. Piłsudski sądzi również, „że przeprowadzenie wyborów do Rady Jedności Narodowej w oparciu o projekt ordynacji wyborczej opracowany przez poprzednią Egzekutywę a podtrzymywany przez obecną — zrobiłby z wyborów fikcję".

Prezes NiDu wypowiedział się za systemem wielo-okręgowym i za przeprowadzeniem wyborów na co najmniej 50% ogółu miejsc w Radzie. W zakończeniu p. R. Piłsudski oświadczył, że NiD nie widzi możliwości udzielenia poparcia nowej Egzekutywie.

Na łamach „Kultury" domagaliśmy się demokratyzacji jeszcze Rady Narodowej wysuwając pogląd, że reprezentacja polityczna dysponująca Skarbem Narodowym musi się składać z przedstawicieli wybranych przez płatników, którzy w ten sposób mieliby zapewnioną kontrolę nad gospodarką finansowaną z ich kieszeni.

W chwili gdy powstała TRJN wysunęliśmy ten sam postulat.

Jest oczywiste, że wszyscy członkowie Rady winni pochodzić z wyborów, ale jako *przejściowe minimum od którego nie można odstąpić* — należy przyjąć 50%. Tylko wówczas bowiem radni z wyborów będą mogli wpływać na politykę TRJN i dążyć do przekształcenia jej w reprezentację

pochodzącą w całości z wyborów.

P. A. Ciołkosz odpowiadając p. Piłsudskiemu wymienił cyfrę 15 radnych wybieralnych.

Wybory jeżeli nie mają dotyczyć połowy składu przyszłej Rady — byłyby nie tylko kpinami z elementarnych zasad demokracji lecz również karygodnym marnotrawieniem pieniędzy publicznych. Wprowadzenie 10% czy nawet 25% radnych z wyborów nie uczyni przyszłej Rady bardziej demokratyczną niż obecna. Większość bowiem stanowiliby nadal delegaci i nominaci. Wydawanie pieniędzy publicznych na organizowanie wyborów tylko po to, by radni z wyborów byli figurantami bez praktycznych możliwości przeprowadzenia jakiejkolwiek uchwały byłoby nie tylko nonsensem lecz równocześnie degradacją płatników Skarbu Narodowego do roli ,,mniejszości'' narodowej, która winna zadowolić się kilku radnymi w reprezentacji politycznej.

Prezes NiDu wybory, które nie dotyczyłyby 50% składu Rady nazwał fikcją. Z drugiej jednak strony przyjąć możemy za pewne, że jeżeli obecna TRJN zdecyduje się na wybory to tylko na fikcyjne. Czy NiD zdecydowałby się wówczas pozostać w ramach reprezentacji politycznej organizującej fikcyjne wybory ?

A może... jedna fikcja więcej, jedna mniej to już nie gra roli?

EPILOG BERGU

Egzekutywa rozesłała prasie skrócone wydanie sprawozdania Komisji powołanej przez TRJN do zbadania ,,spraw łączności z Krajem''. Celem dokumentu jest oczyścić zainteresowane partie polityczne z zarzutów wysuniętych przez p. Tychotę i St. Mackiewicza.

W drugiej połowie 1950 r. tzw. Dział Krajowy Rady Politycznej zawarł umowę ,,o współpracę z partnerami zachodnimi''. W wyniku tej umowy zorganizowano w Niemczech dwie placówki łączności z Krajem. Pierwsza w Oerlinghausen a później w Muelheim — druga w Oberberg (Berg) pod Monachium. Pierwsza placówka nosiła kryptonim ,,Północ'' a druga ,,Południe''. Kierownikiem ,,Północy'' był p. Tychota — ,,Południa'' p. K., a po jego wyjeździe p. W. F. Obie placówki podlegały Działowi Krajowemu Rady Politycznej, którym kierował p. E. Sojka.

Komisja podaje, że ,,łączna suma dotacji otrzymanych przez Dział Krajowy na wszystkie jego wydatki wyniosła 780.300 dolarów. Według zeznań p. Sojki wynika, że na akcję łączności i pomoc dla Kraju wydano 423.000 dolarów.

Cyfry ofiar podane przez p. Sojkę i przyjęte przez Komisje za wiarygodne — są niższe od cyfr podanych przez p. Tychotę.

Według zeznań p. Sojki — placówka ,,Północ'' zorganizowała 33 wyprawy kurierskie do Kraju. Placówka ,,Południe'' 14 wypraw. Z placówki ,,Północ'' wpadło 10 kurierów — z placówki ,,Południe'' — 4. W sumie należy przyjąć, że przeciętnie wpadał co trzeci kurier.

Aresztowania w Kraju w związku z akcją łączności są dziś trudne do ustalenia. Nie ulega jednak wątpliwości, że cyfra aresztowanych była poważna.

Nasuwają się dwa zasadnicze pytania: jaki był cel tych operacji i czy ów cel usprawiedliwiał straty.

Rada Polityczna powzięła w listopadzie 1950 roku uchwałę „określającą interes polski w utrzymaniu łączności z Krajem i granice tego interesu". W uchwale tej powiedziano między innymi co następuje: „Dział Krajowy w obecnej chwili wypowiada się przeciw stawianiu czynnego oporu wobec reżymu komunistycznego, przeciw podejmowaniu przez społeczeństwo polskie aktów represji wobec terroru komunistycznego, przeciw aktom dywersji i sabotażu, które w obecnych warunkach nie przynoszą żadnych korzyści politycznych w walce z sowiecką przemocą a tylko pociągają za sobą zbędne ofiary".

Jeżeli wyłącza się walkę, sabotaż, dywersję i jakąkolwiek formę czynnego oporu — cóż pozostaje?

Cytowana uchwała wymienia „informowanie społeczeństwa polskiego o rzeczywistej sytuacji w świecie" oraz pomoc materialną.

Czy wolno informować społeczeństwo polskie w Kraju o „rzeczywistej sytuacji w świecie" za cenę tak poważnych ofiar?

Nawet Komisja, która stara się za wszelką cenę odeprzeć zarzuty Tychoty — przyznaje... „że w organizacji łączności za pomocą kurierów stwierdzono błędy polegające przede wszystkim na niedość ostrożnej gospodarce ludźmi (wysyłanie w charakterze kurierów ludzi przybyłych świeżo z Kraju, wysyłanie jedną drogą kilku kurierów lub wysyłanie kurierów pomimo stwierdzenia wpadek ich poprzedników)". Trzeba istotnie wielkiej wspaniałomyślności by wysyłanie kurierów tą samą drogą mimo stwierdzenia wpadek ich poprzedników — nazwać „nie dość ostrożną gospodarką ludźmi".

Z dotacji od kontrahentów — jak stwierdza Komisja — korzystała też Rada Polityczna na pokrycie kosztów swych wydawnictw i uposażeń członków Prezydium i Wydziału Wykonawczego. Jest rzeczą zdumiewającą, że w głowach tych panów pobierających owe uposażenia w Londynie nigdy nie zrodziła się wątpliwość czy ich pensje nie są zbyt drogo okupione.

I wreszcie sprawa J. Ostaszewskiego (Chomy) i Macińskiej (Weberowej). Omawiane sprawozdanie stwierdza, że tak Choma jak i Weberowa cieszyli się pełnym zaufaniem aparatu. Zaufanie to oparte było głównie na ich przeszłości jako członków Stronnictwa Narodowego. O ucieczce tej pary aparat, który obdarzył ich bezgranicznym zaufaniem — dowiedział się z ...radia warszawskiego. Nie ma jak „asy" wywiadu z Rady Politycznej! Dopiero po fakcie stwierdzono, że tak Weberowa jak Choma bardzo starannie przygotowali swój wyjazd. Komisja określa za rzecz możliwą, że ta para od początku była na żołdzie Bezpieki. (Sądzę, że można przyjąć to za pewne.)

Weberowa pojawiła się w Niemczech sama, pozostawiwszy w Kraju męża i dziecko. Jest oczywiste, że tego rodzaju układ rodzinny stwarza wprost nieograniczone możliwości szantażu i winien całkowicie dyskwalifikować kandydata. Ale dla „asów" wywiadu i ekspertów „łączności" z Rady Politycznej to były szczegóły bez znaczenia w porównaniu z faktem, że Weberowa była kiedyś członkiem Stronnictwa Narodowego.

Komisja biada, że zachowanie Chomy w Berlinie, listy wysłane do Monachium i telefony — winny były wzbudzić czujność placówki. A jeszcze

w większej mierze — cytuję sprawozdanie — podejrzaną była rozmowa Macińskiej (Weberowej) z Albertem (również agentem Bezpieki!). „Nie zwrócono na to wszystko uwagi co można tłumaczyć atmosferą przesadnego zaufania jaka ich otaczała".

Komisja, mimo licznych ofiar „przesadnego zaufania" wyraża pogląd, że współpracownicy aparatu nadawali się na zajmowane stanowiska i mieli po temu odpowiednie przygotowanie. Obiektywny czytelnik sprawozdania nie może podzielać tej opinii. W gruncie rzeczy to wszystko była robota w równej mierze amatorska co cyniczna i nie licząca się z ludźmi.

Co stanowi istotę tak zwanej sprawy Bergu?

Istotę tej sprawy stanowi odpowiedź na pytanie: czy jest rzeczą dopuszczalną i moralną uzyskiwać korzyści materialne za cenę dzielenia się z kontrahentem informacjami uzyskiwanymi na drodze pociągającej za sobą ofiary w ludziach?

W moim przekonaniu tego rodzaju umów nie może zawierać stronnictwo czy koalicja stronnictw. Odpowiedzialność tej miary może wziąć na swe barki tylko uznawany rząd R.P. — względnie gdy rządu nie ma — demokratycznie wyłoniona reprezentacja polityczna uznana za organ zwierzchni przez ogół Polaków w wolnym świecie. Rząd R.P. czy prawdziwa ogólno-polska reprezentacja polityczna mogłaby zawrzeć taką umowę w ramach sojuszu z mocarstwami zachodnimi w czasie wojny.

Rada Polityczna nie była ani rządem ani zwierzchnią, demokratycznie wyłonioną i przez ogół Polaków uznaną reprezentacją polityczną. Była tylko koalicją stronnictw opozycyjnych i niczym więcej. Jej umowa nie była porozumieniem sojusznika z sojusznikiem lecz kontraktem zawartym pomiędzy prywatną polską instytucją emigracyjną a organami wywiadu jednego z mocarstw anglosaskich.

Umowy tego rodzaju są niedopuszczalne i stwarzają niebezpieczny precedens. Wczoraj Rada Polityczna a jutro inna Rada czy koalicja emigracyjnych politykierów zawrze umowę by czerpać dochody z „dzielenia się informacjami" okupowanymi życiem ludzkim. Stosując takie bałkańskie metody nigdy nie zmusimy mocarstw zachodnich by uznały nas za sojuszników. To nie jest polityka państwowa tylko kondotierstwo.

„ZJEDNOCZENIE" CONTRA „UŚWIADOMIENIE"

Londyński „Dziennik Polski" wystąpił na emigracyjną arenę polityczną z dwoma inicjatywami. Ogłosił tekst angielski memorandum do rządu brytyjskiego apelując do Polaków w Zjednoczonym Królestwie by masowo podpisywali się pod tym dokumentem — oraz otworzył publiczną zbiórkę na „Fundusz Uświadomienia Zagranicy 'Wyzwolenie' ".

W apelu „Dziennik Polski" stwierdza co następuje: „Siłą faktu historycznego Polacy w Wielkiej Brytanii stali się mózgiem politycznym całego światowego wychodźtwa. Choć liczbowo nieliczni, historia włożyła na nasze barki zadanie wypowiadania i formułowania istotnych postulatów Kraju i Narodu".

Osobiście nie jestem całkiem pewien czy „siłą faktu historycznego" można się stać czyimkolwiek mózgiem. Interesujące jest również stwierdzenie, że tylko wybrańcy losu przebywający w Anglii dzierżą historyczny mandat „formułowania istotnych postulatów Kraju i Narodu".

Autorzy powyższego dokumentu przechodzą do porządku dziennego nad Egzekutywą, Radą Trzech, TRJN i „Zamkiem". Te szacowne instytucje potraktowano jako nieistniejące.

W odpowiedzi na powyższą inicjatywę Egzekutywa podjęła uchwałę, w której czytamy między innymi: „Egzekutywa Zjednoczenia Narodowego wzywa wydawnictwo „Dziennika Polskiego" do zaniechania podjętej akcji zbiórkowej, zaś najszerszy ogół emigracji polskiej wzywa do dalszego popierania Skarbu Narodowego „Zjednoczenie".

„Dziennik Polski" nie zastosował się do wezwania Egzekutywy.

Epizod „Zjednoczenie" contra „Uświadomienie" jest charakterystyczny dla stosunków emigracyjnych z kilku względów.

„Dziennik Polski" wysunął hasło „ponad-partyjności" — które wbrew opinii polityków partyjnych jest ogromnie popularne. Faktem jest, że partie nie umiały zdobyć zaufania szerokich mas emigracyjnych ani nie umiały przekonać większości emigrantów, iż najwłaściwszą formą życia organizacyjno-politycznego na wychodźtwie są „Rady" złożone wyłącznie z partyjnych delegatów i nominatów. Sprawa Bergu pogłębiła nieufność do polityk partyjnych.

Pod adresem „Dziennika Polskiego" wysuwa się zarzut, że swej akcji nie uzgodnił z Egzekutywą, że założył konkurencyjny „Skarb Narodowy", że sięgnął po „rząd dusz" przez nikogo nie upoważniony.

Ale z drugiej strony należy stwierdzić co następuje. Mija dwa lata od chwili „kryzysu prezydenckiego" i ukonstytuowania się TRJN. Co ci panowie przez te dwa lat zrobili? Nie załatwili ani jednej istotnej rzeczy. Mówiono i pisano o wyborach, o referendum, o przywracaniu legalizmu i o dziesiątkach innych zadań. Nic — dosłownie nic z tego nie wyszło. Kryzys „prezydencki" i pogrążenie legalizmu, rozbicie Skarbu Narodowego i afera Bergu — oto wiązanka dokonań „góry" emigracyjnej z okresu kilku ostatnich lat. Nie widzę żadnego poważniejszego dokonania, które można by przeciwstawić tej wiązance.

Akcji politycznej na zewnątrz — nie ma. Wszystko co jest robione na zewnątrz jest podejmowane poza ramami Egzekutywy przez organizacje społeczne i osoby prywatne.

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada kwietnia) nie ma dostatecznych danych, które pozwalałyby obiektywnie ocenić inicjatywę „Dziennika Polskiego". Zachowując sobie pełne prawo krytyki tej inicjatywy należy stwierdzić, że Egzekutywa miałaby tylko wówczas tytuł domagać się od „Dziennika Polskiego" zaniechania podjętej akcji — gdyby sama była w pełni aktywna. Ale ci co nic nie robią nie mają żadnego prawa wymagać od innych, by również nic nie robili.

P.S. — W chwili oddawania niniejszej Kroniki do druku — ogłoszono, że FUZ „Wyzwolenie" i Skarb Narodowy „Zjednoczenie" działają równolegle. Egzekutywa wycofała się z uchwały anty-FUZ'owej i skapitulowała.

AKCJA POLONII ZAMORSKIEJ

Wprawdzie Polacy w Australii, w Kanadzie czy w Argentynie nie zgłaszają pretensji do ...rangi „mózgu politycznego światowego wychodźtwa" — to niemniej w niektórych ośrodkach podjęli wcześniej zorganizowaną akcję protestacyjną niż ich bardziej uprzywilejowani rodacy na wyspach brytyjskich.

Jest rzeczą charakterystyczną, że dosłownie wszędzie akcje powyższe organizowane są samorzutnie przez instytucje prywatne lub organizacje społeczne. W takich sytuacjach widzi się dopiero w pełni jak nikłe są wpływy i sieć organizacyjna Egzekutywy, TRJN czy tak zwanych „partii historycznych". Poza rogatkami Londynu praktycznie biorąc „centrali" nie ma.

W Argentynie stowarzyszenia i instytucje polskie wystosowały listy otwarte do premiera Edena. Tekst tych oświadczeń w językach polskim, hiszpańskim i angielskim wydrukował „Głos Polski".

Niezależnie od tej akcji Składnica Książki Polskiej w Buenos Aires wydrukowała bezinteresownie ponad 4.000 kartek pocztowych z tekstem cytowanego oświadczenia. Kartki adresowane do premiera Edena zostały podpisane i wysłane przez Polaków zamieszkałych w Argentynie, Chile i w Urugwaju.

Na terenie Australii inicjatywę podjęły „Wiadomości Polskie" w Sydney. „Tygodnik Katolicki" i „Wiadomości Polskie" wydrukowały tekst listu do premiera Edena apelując do Polaków w Australii by wzięli jak najliczniejszy udział w akcji protestacyjnej w związku z wizytą sowieckich przywódców w Londynie. Inicjatywa „Wiadomości Polskich" została poparta oświadczeniami „Rady Naczelnej Polskich Organizacji w Australii" oraz „Zjednoczonej Rady Wychodźtwa zza 'żelaznej kurtyny' ". Zorganizowano akcję masowego wysyłania „air letters" do premiera Edena z szeregiem postulatów emigracji.

Podobną akcję zorganizowano w Kanadzie z tą różnicą, że kartki pocztowe z tekstem oświadczenia adresowane są do Wysokiego Komisarza w Ottawie a nie do premiera Edena.

W tej chwili nie dysponujemy jeszcze pełnym materiałem informacyjnym ale z tych wiadomości jakie nadeszły wynika, że aktywność Polonii w krajach zamorskich w niczym nie ustępuje polskiemu Londynowi. Jeśli jej nie przewyższa. Jest to w całości zasługą miejscowych organizacji i instytucji.

LONDYŃCZYK

Paczki

Że coś im w bankach nie sztymuje
Że gdzieś zwęszyli kasy pełne
Lub upatrzyły tłuste szuje
Cło jakieś grubsze na bawełnę.
(J. Tuwim)

,,We wspólnym trudzie dla przysparzania Ojczyźnie bogactw, dla jej rozkwitu, zacieśnia się i umacnia jedność narodu polskiego.

Tę wielką pracę całego narodu śledzi z najwyższym zainteresowaniem wychodźstwo polskie, udzielając jej poparcia moralnego, a często materialnego''. Jest to cytata z książeczki ,,Polonia'', rozsyłanej w tej chwili przez (warszawskie) Towarzystwo Łączności z Wychodźtwem.

Zacznę od sprostowania faktów. Komunikat Polonii mówi o ,,pomocy moralnej, często materialnej''. Według mojej oceny ta pomoc materialna udzielana bywa niezmiernie często, bo około pół miliona razy na rok, na tyle bowiem obliczam ilość paczek wysyłanych rocznie przez emigrację do kraju. W pieniądzach wyrazi się to sumą jakichś dziesięciu milionów dolarów (podaję liczby z grubsza, zaokrąglone, bo choć mam statystyki dużych firm wysyłkowych z terenu Anglii, to niemożliwe jest uchwycenie paczek wysyłanych osobiście przez ofiarodawców, paczek Pekao oraz przesyłek z terenów ,,egzotycznych''. Pełną statystykę można by zrobić jedynie w punkcie zbiorczym, czyli w kraju). Jest to suma imponująca, zarówno z punktu widzenia jednostki (ofiarodawcy), jak i globalnie. Rachunkowość jednostki wygląda mniej więcej tak: Wysyłam rocznie za 50 angielskich funtów; wartość sprzedażna tych przesyłek w Polsce wynosi około 20 tysięcy złotych, a więc tyle, albo może i więcej, niżbym zarobił pracując przez rok przy odbudowie Warszawy; jeśli w Polsce płaci się za pracę pełną jej wartość, to identyczność mego wkładu z wkładem pracy nie ulega kwestii.

Rachunek globalny można przedstawić w podobny sposób. Biorąc znów za miarę wartość krajową wysyłanych towarów,

nasze dziesięć milionów dolarów zamieni się na półtora miliarda złotych, a więc np. tyle ile przewidziano w planie na rok 1956 na remonty kapitalne w budownictwie w całej Polsce. Nie chcę przez to powiedzieć, że emigranci zbudowali Warszawę. Wiem, że przeliczenia cyfrowe są zawodne. Faktem jest jednak że paczki z zagranicy mają w gospodarce polskiej poczesne miejsce : są zastrzykiem witaminowym dla cierpiącej na anemię konsumpcji krajowej. W Polsce prawda ta była dotychczas świadomie zwalczana i fałszowana. Ale nawet na emigracji mało jest ludzi, którzy są naprawdę dobrze poinformowani i świadomi ogromnego wysiłku mas emigracyjnych w dziele pomocy krajowi. Niewiedza ta wyrasta ze zjawiska, które obrazowo nazwać by można ,,odwróceniem piramid''. Im niższe stanowisko danej jednostki w ,,piramidzie społecznej'', tym wyżej znajdzie się ta jednostka na piramidzie akcji pomocy, tym wydatniej zasila ona strumień towarów płynących do kraju. Ale przez sam fakt zajmowania niskich szczebli drabiny społecznej paczkodawcy nieznani są ,,wielkiemu światu''. Pracują, zarobione pieniądze wysyłają do kraju, nie mają więc ani czasu ani środków na inicjatywy emigracyjne, nie organizują się w partie, nie wydają gazet, nie wywołują skandalów — nic dziwnego, że są niezauważeni i niedocenieni. Dla zobrazowania stylu życia tych zapomnianych bohaterów przytoczę autentyczny wypadek, z którym zetknąłem się niedawno : polski gruźlik, dogorywający w angielskim sanatorium dostaje rentę wojskową w wysokości 5 funtów tygodniowo ; ponieważ sanatorium daje mu wszystko, rentę te wydaje co do grosza na paczki do Polski. Wypadek ten jest typowy dla tysięcy polskich inwalidów, starców żyjących z renty starszej, oraz dla rzesz pracujących. Warto zdać sobie sprawę z rozmiarów tego wysiłku, choćby dlatego, abyśmy oglądając masowo tu teraz napływające albumy i filmy z odbudowy kraju mogli powiedzieć : i myśmy się do tej budowy też dołożyli !

Podział pracy między krajem a emigracją dokonał się w milczeniu. Milczenie to trwa jeszcze. Mamy jednak prawo domagać się przynajmniej, aby nie nakładano ograniczeń na rozmiar tej pomocy. Ograniczenia te istnieją obecnie w formie ceł na przesyłki z zagranicy, zabierających w przybliżeniu połowę przesyłanej wartości. Cło w takiej wysokości zmniejsza dopływ paczek do Polski. Mimo że społeczeństwo w kraju nie ma jeszcze głosu, wiemy o powszechnym rozgoryczeniu z tego powodu. Mówi o tym nawet radio ,,Kraj''. Emigracja nie ma knebla w ustach i może protestować. Robi to też, jak umie. Oto charakterystyczny list z Ameryki, cytowany przez Kraj : ...Jabym sam chciał wrócić, ale już jestem za stary... A teraz z drugiej beczki. Nie rozumiem, dlaczego nakładacie takie wysokie cło... Mam tam dwóch braci i czasem coś poślę, to im się niebardzo opłaca wykupić''. Strasznie poczciwy ten chytrusek, który chce

dialektycznym sposobem wydusić koncesje celne od władzy ludowej ! Jedno jest pewne z tego listu, mianowicie to że jego autor na pewno wysyłałby więcej paczek, gdyby miało to większy efekt pomocowy. Bo ostatecznie paczki przeznaczone są dla żywych osób, nie dla abstrakcyjnych idej czy materialnych obiektów bez określonej przydatności. Ale ,,władza ludowa'' nie ustępuje, zbudowała mur celny na granicy i broni przejścia z uporem godnym lepszej sprawy.

Obiektywnie polityki celnej można bronić trzema argumentami : fiskalnym, dewizowym i egalitarnym. Tylko dwa pierwsze używane są przez propagandę krajową. Argument fiskalny mówi, że cła zwiększają wpływy skarbowe. Zwiększenie tych wpływów potrzebne jest przede wszystkim dla zmniejszenia ciśnienia inflacyjnego w kraju. Inflacja, jak wiadomo, oznacza nadmiar pieniądza w stosunku do ilości towarów w obiegu, to znaczy na rynku. Zjawisko to znane jest nie tylko w Polsce, stykamy się z nim we wszystkich niemal krajach wolnych. Charakterystyczne, że bez względu na system polityczny czynniki rządzące koncentrują swą uwagę na stronie pieniężnej, nie zauważając jak gdyby strony towarowej, mianowicie niedosytu towarowego. Ta jednolitość tłumaczy się niepopularnością polityczną tej drugiej strony zagadnienia. Na zachodzie wprowadzenie tego dodatkowego aspektu oznaczałoby postawienie żądań o zwiększenie produkcji, co nie byłoby dobrze przyjęte przez związki zawodowe. W Polsce zaś trzeba by tłumaczyć jak powstają braki towarów. Ostatecznie pieniądze w obiegu to to, co zostało ludziom wypłacone za ich udział w produkcji, gdyby więc cała produkcja tych ludzi znalazła się na rynku, istniejąca masa pieniężna zostałaby bez reszty wydana na zakup istniejącej masy towarowej, nie powinno więc być żadnych kłopotów inflacyjnych. Przyjmując, że inwestycje opłacane są z podatków, musielibyśmy dojść do wniosku, że tendencja inflacyjna powstaje, bo jacyś ludzie otrzymują pieniądze za nic, bez dodania czegokolwiek do produkcji globalnej, albo że część produkcji została wycofana z rynku i zużyta bez pożytku dla gospodarki narodowej, na przykład wyeksportowana za darmo (do tej sprawy powrócę w punkcie, który nazwałem argumentem dewizowym). Tak czy inaczej poruszanie strony towarowej jest niezręczne. Lepiej mówić niejasno o nadmiarze pieniądza i walczyć o usunięcie tego nadmiaru. Nie można zaprzeczyć, że cło na paczki, czy jakikolwiek inny środek wyduszania pieniędzy z ludzi jest środkiem antyinflacyjnym. Natomiast nieprawdą jest że środek ten jest skierowany przeciwko sprawcy zła. Inflacja wywołana jest wydawaniem przez rząd pieniędzy na cele nieprodukcyjne. Wskutek inflacji cierpi ludność. Polityka ceł paczkowych ma na celu nie usunięcie inflacji, a sfinansowanie jej przez jedną część społeczeństwa, tę mianowicie, która otrzymuje paczki z zagranicy. Kto zaś należy do tej części pomówimy rozważając argument egalitarny. Reasumując obecny punkt naszych rozważań powin-

niśmy podkreślić, jak korzystnie, podwójnie korzystnie działają paczki na gospodarkę kraju : z jednej strony rzucają pewne minimum towarów na ogołocowy rynek, z drugiej zaś dają reżymowi pretekst do ,,ściągania nadmiaru pieniądza'' co w rzeczywistości oznacza, że ludność zmuszona jest finansować armię nieproduktywnych biurokratów oraz daninę dla Rosji. Następnie wspomnieć tu należy o elastyczności podaży paczek. Oznacza to, że obniżenie ceł pociągnęłoby za sobą zwiększenie dopływu towarów do Polski nie uszczuplając, być może, wpływów skarbowych. Warto tu przytoczyć analogię historyczną : w pierwszej połowie XIX wieku rząd angielski przez drastyczne obcięcie ceł importowych *zwiększył* dochody skarbowe z tego źródła. Działa tu zasada : mały zysk — duży obrót — duży zysk.

Przejdźmy do drugiego argumentu. Mówi się ludziom : Wysyłajcie przez Pekao, a nie będziecie płacili ceł. Niby że emigrant wpłaca odpowiednią sumę na konto reżymowej instytucji, a adresat dostaje zamówione towary z produkcji krajowej. Wszyscy powinni więc być zadowoleni: odbiorca i nadawca osiągnęli swój cel, Polska zaś otrzymała pewną ilość walut zagranicznych. Bo o te waluty właśnie chodzi. Cła są rzekomo tylko karą dla tych, którzy wysyłają paczki w niewłaściwy sposób : sami nic na tym nie zyskują a nie pozwalają krajowi na zarobienie tak mu potrzebnych dewiz. Argument ten puszcza farbę już przy powierzchownej analizie. Przecież te dobra, które nadawca zamawia w Pekao, muszą być w kraju wyprodukowane. Te same waluty mogłaby Polska otrzymać, gdyby te produkty (czy ich ekwiwalenty mające popyt na rynkach zagranicznych) zostały wyeksportowane zagranicę. A więc transakcja przez Pekao jest formą eksportu z Polski. W języku angielskim ten rodzaj eksportu nazywa się ,,eksportem niewidzialnym'', ponieważ towary nie przekraczają granicy w sensie fizycznym. Polska ma obecnie duże możliwości eksportowe, a więc także duże możliwości zarabiania cennych dewiz. Tak np. delegacja transportowców angielskich, która została zaproszona do Rosji latem ubiegłego roku, dowiedziała się od swych rosyjskich kolegów, że cały tabor osobowy kolei rosyjskich został wymieniony (to znaczy zastąpiony nowym) w ciągu pięciu lat (1950-1955) przez dwie fabryki : Ammensdorf we wschodnich Niemczech i Wrocław w Polsce. Wymiana całości taboru kolejowego to olbrzymia inwestycja, zwłaszcza dokonana w tak krótkim czasie. W Anglii np. dokonuje się tego w ciągu około dwudziestu lat. Niezależnie od tego wiemy, że połowa polskiej produkcji cukru idzie do Rosji, tamże odpływa znaczna część polskiego cementu i jakieś 35 milionów ton polskiego węgla. Czy obecnie, w okresie konstruktywnej krytyki oddolnej i likwidowania kultu jednostki można postawić pytanie ile walut za te, całkowicie widzialne, eksporty Polska otrzymała? Pamiętamy, że do ostatka spoczywał na Polsce obowiązek dostarczania Rosji 12 milionów ton węgla za darmo (właściwie po dolarze i 25 centów za tonę, podczas gdy cena światowa wynosi

około 15 dolarów). Roczna strata walut dla Polski na tej jednej tylko pozycji wynosi 150 milionów dolarów. Jak tu nawet mówić o nieodpartej konieczności zdobywania walut poprzez Pekao, gdy obroty tej instytucji mieszczą się (przypuszczalnie) w granicach 3-4 milionów dolarów, a cyfra ta to przecież nie jest zysk netto — trzeba od niej odjąć koszt administracji (też w dużym stopniu w walutach obcych) i koszt produkcji krajowej, zamówionych towarów. Widząc, o jakie sumy naprawdę chodzi, trudno oprzeć się wrażeniu, że te żałosne sumy, prawdziwe wdowie grosze (zob. niżej, argument egalitarny), jakie mogą przynieść skarbowi paczki są tylko pretekstem, cieniem argumentu, nie zaś argumentem samym. Zresztą — to nie koniec. Wysyłamy w paczkach rzeczy, których nie ma w Pekao, przede wszystkim lekarstwa. Pekao lekarstw nie ma, bo ich nie może mieć, gdyż nie wyrabia się ich w wystarczających ilościach w kraju. Stąd 75% wszystkich paczek to ,,medycyna''. To samo odnosi się zresztą do innych rzeczy. Ludzie proszą o przedmioty, których w kraju dostać nie można. Dopóki Polska nie produkuje wystarczająco dóbr konsumpcyjnych na rynek wewnętrzny, dopóty Pekao nie będzie mogło konkurować z paczkami prywatnymi, dopóty cła będą jedynie zmniejszały pomoc emigracji dla kraju — całą pomoc, włączając także paczki Pekao. Gdy rodzina prosi o szczepionkę na dyfteryt emigrant chce przesłać szczepionkę na dyfteryt. Gdyby mu powiedzieć: ,,tego nie ma ale może pan wyśle 10 kg. mąki i kilo kiełbasy?'' — nie pośle prawdopodobnie nic. Dalej, zasada Pekao, a więc niewidzialnego eksportu, może działać tylko w krajach handlowo liberalnych, niestosujących ograniczeń dewizowych. Gdyby system ten stał się popularny w innych krajach, kraje te niewątpliwie zaczęłyby bronić się przed ,,niewidzialnym importem'' emigracji. Stosuje to już dziś Francja, gdzie możliwości użycia dewiz przez Pekao są znikome. W Anglii, Australii i innych krajach ,,nowej'' emigracji byłoby niewątpliwie tak samo, na razie jednak problem nie istnieje — nowa emigracja bojkotuje Pekao. Efekt materialny jest ten sam: brak klientów i swoboda działania dla Pekao dają skarbowi polskiemu ten sam pożytek, jak duża ilość klientów i brak swobody w dysponowaniu wpływami.

Argumenty używane oficjalnie nie wytrzymują więc próby rzeczowej analizy. Pozostaje jeszcze argument trzeci, przypuszczalnie używany na odprawach ,,aktywu rewolucyjnego''. Polityka wysokich ceł tłumaczona jest realizowaniem socjalizmu. Argument taki mógłby mieć dużą wagę tylko wtedy, gdyby cła przyczyniały się do wyrównania nierówności społecznych, ściślej zaś do wyrównania nierówności w dochodzie indywidualnym. Dlatego nazwałem ten argument argumentem egalitarnym. Idea egalitaryzmu robi ogromne postępy na zachodzie i dlatego cła jako instrument niwelacji różnic dochodowych nie spotkałby się ze sprzeciwem nawet po tej stronie żelaznej kurtyny. Niestety jednak, cła w Polsce mają w rzeczywistości charakter zupełnie

przeciwny : nie niwelują różnic a je powiększają. Skierowane są bowiem przeciw najbardziej upośledzonym grupom społecznym. Grupy te to emeryci, chorzy, inwalidzi, starcy, słowem wszyscy ci ludzie, którzy normalnie objęci byliby ubezpieczeniem społecznym. Oczywiście ubezpieczenie społeczne w Polsce istnieje. Nawet jednak przy najszerszej definicji pokrywa ono zaledwie 15 i pół miliona ludzi, to znaczy 56% ludności. Co ważniejsze jest ono tragicznie niskie (maksimum renty dla pracownika 1-ej kategorii wynosi 720 zł., ale średnia krajowa zbliżona będzie raczej do stu złotych miesięcznie na osobę). Gorszy jeszcze niż same przepisy jest sposób ich stosowania. Posłuchajmy historii ,,człowieka Lebowskiego'' tak jak ją opowiada ,,Życie Warszawy'' : W 1954 roku Lebowski uległ wypadkowi w czasie pracy. Zmiażdżenie obu nóg. Do dziś ma nogi w gipsie, chodzi o kulach. Po dziewięciu miesiącach przestano mu płacić pensję. Przez pewien czas ubezpieczalnia płaciła połowę poborów (400 złotych). Gdy przestała, złożył podanie o rentę. Nie może jej jednak dostać, bo jej wysokość da się ustalić dopiero po jego wyleczeniu. Na razie, przez szereg miesięcy nie dostaje nic, mimo że ma na utrzymaniu żonę, dwoje dzieci i niewidomego ojca. Chłop ,,z niedojadania i zgryzoty z 72 kg. spadł na 48''. Przykład wcale nieodosobniony — odwilż tym się między innymi charakteryzuje, że gazety krajowe mają prawo podawać codziennie jeden taki wypadek. Przy takim stosowaniu przepisów wątpić należy czy ktokolwiek w Polsce otrzymuje ową maksymalną rentę 720 złotych. Przecież na to trzeba się wykazać 25 latami pracy pod ziemią ! Kto z żyjących w Polsce osób w wieku ponad 60 lat pracował przez 25 lat pod ziemią ? A kto może to udowodnić tak, aby przekonać biurokratę ? W 1954 wprowadzono reformę. Przewiduje ona że ubiegający się o rentę winien zacząć zbieranie kolekcji potrzebnych do tego dokumentów na rok przed złożeniem wniosku o rentę. I że urząd uzależnia rozmiary renty od możliwości zarobkowych rencisty i innych warunków. Przyjąć można, że renty w Polsce nie są prawem, a łaską biurokraty, że odpowiednie urzędy mają za zadanie nie płacenie rent, a stwarzanie trudności w ich przydzielaniu. Pamiętajmy, że Lebowski jest jak najbardziej uprawniony do wszelkiej pomocy ubezpieczalnej. Jego sprawa ma zresztą happy-end : Lebowski jedzie do Warszawy, do partii i od niej dostaje 1.500 złotych. Ale co robią miliony innych starców, chorych, inwalidów ? Ciężar w każdym wypadku spada na rodziny, bo nawet posiadanie renty nie zapewnia człowiekowi utrzymania. Wydaje się, że tu właśnie rola emigracji jest szczególnie doniosła. Emigracja uzupełnia tę olbrzymią lukę w krajowych ubezpieczalniach społecznych. Widać to choćby z wysokiego procentu paczek z lekarstwami. Fakt, że pomoc, bez względu na formę, przeznaczona jest głównie dla roczników starszych jest zresztą jasny i z innego powodu : ludzie którzy są na emigracji kilkanaście czy więcej lat nie mogą znać w kraju osób młodych, choć w wielu wy-

padkach pomaga się wprawdzie osobom zupełnie nieznanym. Ale nawet to świadczy, że muszą to być osoby będące w sytuacji zupełnie krytycznej. Na zachodzie osoby takie mają ubezpieczalnie, w Polsce, idą do partii albo odgrzebują w pamięci znajomych zagranicą i zwracają się do nich. Cła na paczki nie służą egalitaryzmowi w kraju. A pamiętając zjawisko odwróconych piramid możemy dodać, że sprzeciwiają się tej idei w swym działaniu na emigrację. Uderzają w wysyłające paczki emigracyjne ,,doły'', nie ubożą ,,góry'' która paczek tych wysyła mniej.

Skoro ceł nie można obronić argumentami obiektywnymi, ciekawą będzie rzeczą zbadać dlaczego są one stosowane. W ubiegłych latach działał tu niewątpliwie wzgląd psychopatologiczny, kompleks stalinizmu. Wyrażał się on znanym hasłem ,,u nas wsio jest', nie trzeba nam niczego''. Teraz Stalin wysiadł, ale błędem byłoby przypuszczać, że to samo stało się z jego ludźmi. Jeszcze parę tygodni temu organ ZMP drukował nowelę, której cały konflikt psychologiczny oraz morał opierał się na twierdzeniu, że dla narzeczonej uczciwego zetempowca hańbą jest noszenie zagranicznej bluzki. Ale to było przed Dwudziestym Zjazdem, którego przebieg, jak informuje prasa krajowa, znany jest społeczeństwu polskiemu w małym zaledwie ułamku. Miejmy nadzieję, że z czasem wiedza ta zostanie poszerzona i zetempowskie narzeczone uzyskają prawo noszenia nylonowych bluzek. Pozostanie wtedy jeszcze jeden powód, grający jak się zdaje rolę kluczową. Na imię mu siuchta, po angielsku vested interests. Stwierdzić trzeba, że uparte a logicznię nieuzasadnione trzymanie się polityki prohibicyjnych ceł na paczki-dary wywołuje podejrzenie istnienia w kraju zorganizowanej i silnej grupy biurokratycznej mającej swój osobisty interes w takiej polityce. Grupą taką zapewne są urzędnicy kontroli celnej, cenzorzy, itd., którym groziłaby redukcja. A może jakiś zasłużony rewolucjonista dostał się na szczyty Pekao i tam swoją legitymacją partyjną i medalami zwalcza konkurencję paczek prywatnych?

Nie moją jest rzeczą zwalczanie siucht czy biurokracji w bezklasowym społeczeństwie socjalistycznym. Pragnąłbym jedynie wykazać, że można osiągnąć lepsze zaopatrzenie Polski w towary, bez oszczuplania businessu Pekao. A więc po pierwsze można by skorzystać z przykładu starszego brata — przodującego Związku Radzieckiego i wprowadzić system opłacania ceł przez nadawcę. Byłaby to duża ulga dla odbiorców w kraju. Następnie — zwolnić od cła te artykuły, którymi Pekao nie dysponuje — przede wszystkim lekarstwa. A już co najmniej nakazać wykonywanie istniejącego, lecz martwego, przepisu o niepobieraniu ceł, gdy odbiorca może wylegitymować się receptą lekarską. Po trzecie — znieść cło na paczki z krajów, gdzie Pekao nie funkcjonuje i które z Pekao nie konkurują. Wszystkie te zmiany przyniosą bardzo korzystne rezultaty dla ludności,

nie wpływając w najmniejszym stopniu na stan interesów przedsiębiorstwa Pekao. Ale przede wszystkim należy rozejrzeć się za odpowiednimi stanowiskami dla zasłużonych z Pekao, urzędu celnego, cenzury itd., obniżyć cła do rozsądnych granic (za przykładem np. Czechosłowacji) lub je znieść i rozwiązać samo Pekao. Cała ta reforma kosztować będzie skarb sumę minimalną. Korzyść dla społeczeństwa będzie poważna, choć z punktu widzenia jego potrzeb jest to kropla w morzu. Jeśli rzeczywiście, ,,zapaść mają'' decyzje zmierzające do stopniowego poprawiania warunków najmniej zarabiających w Polsce *już w tym roku* i w latach następnych'' (Cyrankiewicz nad grobem Bieruta) to trzeba będzie ewenementu, będącego gospodarczym odpowiednikiem likwidacji kultu jednostki w Polsce. A może cła wprowadzali agenci Berii?...

B. BRODZIŃSKI

Wydawnictwa krajowe

POEZJA

NORWID (C.). *Poezje*. T. I: str. 242; T. II: str. 128. Wybrał i wstępem zaopatrzył M. Jastrun. Teksty i chronologię ustalił J.W. Gomulicki. (PIW, Warszawa, 1956. Cena 2-ch tom. zł. 25,60).

RÓŻEWICZ (Tadeusz). *Srebrny kłos*. Str. 63. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1955, cena zł. 3).

IŁŁAKOWICZÓWNA (Kazimiera). *Wybór wierszy*. (Str. 351. PIW, Warszawa, 1956. Cena zł. 16,20).

Księga wierszy polskich XIX wieku. T. I: str. 560; T. II: str. 624; T. III: str. 552. Zebrał Julian Tuwim. Opracował i wstępem opatrzył J.W. Gomulicki. (PIW, Warszawa, 1956. Cena za całość zł. 51,25).

WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNE

KOCHANOWSKI (Jan). *Fraszki*. Wybór. Ilustracje M. Berezowskiej. Str. 86. (Wyd. PIW, Warszawa, 1956. Cena zł. 22,40).

JAROSZ (Stefan). *Krajobrazy Polski i ich pierwotne fragmenty*. Wydanie drugie poprawione i uzupełnione. Str. 401. (Wyd. Budownictwo i Architektura, Warszawa, 1956. Cena zł. 85).

ŁOZA (Stanisław). *Architekci i budowniczowie Polski*. Str. 424. (Wyd. Budownictwo i Architektura, Warszawa, 1954. Cena zł. 95).

KLASYCY LITERATURY POLSKIEJ I OBCEJ

BERENT (Wacław). *Nurt*. Str. 362. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1956, Cena zł. 12).

WYSPIAŃSKI (Stanisław). *Dramaty*. Str. 855. (Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1956. Cena zł. 26).

FRANKO (Iwan). *Utwory Wybrane*. T. I: str. 461, 3nlt; T. II: str. 606, 2nlt. Tłumaczyli Zofia i St. Głowiakowie. Wstęp M. Jakóbiec. (Wyd. Czytelnik, Warszawa, 1955).

NAUKA

KOTARBIŃSKI (Tadeusz). *Traktat o dobrej robocie*. Łódzkie T-wo Naukowe, Wydział I, Nr. 18. (Zakł. im. Ossolińskich we Wrocławiu, 1955).

LEIBNIZ. *Nowe rozważania dotyczące rozumu ludzkiego*. T. I i II. Biblioteka Klasyków Filozofii. Przekład i przypisy Izydory Dąmbskiej. Wstęp L. Kołakowskiego. (Państwowe Wydawn. Naukowe, Warszawa, 1955).

SMOLUCHOWSKI (Marian). *Wybór pism*. Wstęp Wł. Krajewskiego. (Państwowe Wyd. Naukowe, Warszawa, 1955).

BACON (Franciszek). *Novum Organum*. Biblioteka Klasyków Filozofii. Przekład Jana Wikariaka. Wstęp i przypisy Kazimierza Ajdukiewicza (Państwowe Wyd. Naukowe, Warszawa, 1955).

INGLOT (Stefan), BUJAK (Franciszek). *Działalność naukowa i pedagogiczna*. Sprawozdania Wrocławskiego T-wa Naukowego. Dodatek 3. Str. 22. Wrocław, 1955 (zawiera bibliografię prac Fr. Bujaka za lata 1932-1949, stanowiącą kontynuację bibliografii do r. 1932, opracowanej przez A. Walawendera i opublikowanej w Studiach Historii Społecznej i Gospodarczej, Lwów, 1931).

SAWICKI (J.), AUSCALER (G.), PAWEŁCZYŃSKA (A.), ŁUKASZKIEWICZ (Z.), CYPRIAN (T). *Chuligaństwo*. Studia pod red. prof. J. Sawickiego. Str. 199. (Wydawnictwo Prawnicze, Warszawa, 1956).

Kraj i emigracja

Artykuł dyskusyjny, jaki ogłosiłem (3 września ub. roku) pt. „Szesnaście lat po wrześniu" spowodował mego współtowarzysza dawnych lat chmurnych i górnych, Zdzisława Stahla, do wypowiedzi w „Orle Białym" (15 października ub. roku) zatytułowanej „Program rezygnacji z niepodległości".

◆

Poddałem wtedy analizie rezultaty polityki polskiej na obczyźnie, stwierdzając, że jej bilans jest ujemny. Jeżeli ktokolwiek w to nadal wątpi, powinien jeszcze raz zestawić sobie wszystkie fazy naszego ostatniego szesnastolecia i skonfrontować je z dzisiejszą rzeczywistością, w której: 1) Kraj od lat dziesięciu znajduje się w zasięgu bloku komunistycznego; 2) Świat wchodzi w okres koegzystencji; 3) Rachuby na trzecią wojnę odpadły, a 4) Przed emigracją stoi perspektywa nieokreślonych bliżej długich lat, w których wszystko, co było dotychczasowym jej założeniem okazuje się przewidywaniem nietrafnym.

◆

Można się wprawdzie pocieszać, że „kilkanaście lat w życiu narodu to bardzo mało, a polityka rezygnująca z celu, który „dopiero" za kilkanaście lat byłby do urzeczywistnienia, nie zasługiwałaby na miano polityki narodowej, lecz chyba uczuciowych odruchów i histerii". Zapewne! Gdyby rezygnowała.

Historia walki zapisywana przez długie dziesięciolecia wysiłków polskich w wieku XIX i XX, zna różne okresy i różne koncepcje polityki polskiej. Żadne z pokoleń polskich nie pozostawiało realizacji tej idei następnemu pokoleniu, aby samemu zachować wygodne i wyniosłe stanowisko talmudystyczne.

Talmudyści zarówno lojalizmu i służalstwa, jak doktrynerzy tak zwanej niezłomności tylko pozornie między sobą się różnią. W rzeczywistości na dnie ich stanowiska znajduje się zawsze to samo prostactwo i lenistwo myśli, niezdolne do żadnej samodzielnej koncepcji i uwiązane niewolniczo do sztywnych formuł, obce wszelkiej wyobraźni.

◆

Sensem historycznym w polityce i dziejach Polski jest zachowanie jej bytu zarówno fizycznego i materialnego, jak moralnego i historycznego wśród najtrudniejszych warunków, jakie Opatrzność narzuciła naszemu narodowi. Żadna doktryna ani żadna formuła polska nie zmieni faktu, że aby ją w całości lub częściowo wprowadzić w życie, musimy przede wszystkim między Rosją a Niemcami zachować naród polski w ramach organizacji państwowej, w możliwie najlepszej formie na najszerszym i najbogatszym obszarze i dokonać tego w każdej bez wyjątku sytuacji dziejowej choćby najbardziej skomplikowanej i niekorzystnej.

Okres obecny narzuca ten nakaz z większą niż kiedykolwiek siłą. Nie jest rzeczą przypadku ani złośliwego losu, że polityka polska na emigracji znajduje się dziś w niepokojącej izolacji od reszty świata i stanowimy wprawdzie szlachetny bastion niezłomności zasad, a jak chcą niektórzy, nawet „Piemont wolności narodowej", ale pozbawiony jakichkolwiek szans realizacyjnych. Nie mamy ich ani na obczyźnie wobec zwartego frontu zachodnich przeciwników trzeciej wojny, ani w Kraju, z którym nie posiadamy żadnej faktycznej łączności.

Nie jest prawdziwym Piemontem emigracja oddalona od swego zaplecza o setki i tysiące mil i nie utrzymująca z nim stałej, choćby częściowej, ale bezpośredniej łączności, zbudowanej wedle zamierzeń własnych i dostosowanej do celów polskich, a nie obcych. Nie jest nim tym bardziej, że świat który miał być sprzymierzeńcem Piemontu idzie w innym kierunku, aniżeli było to nadzieją polską.



Jeśli w tej sytuacji rewizjonizm polski ma być uważany za jeden z grzechów śmiertelnych, a nie za konieczność wynikającą z kardynalnego poczucia naszej odpowiedzialności wobec losów polskich, nie mówiąc o zwykłym rozsądku — przyjmuję z pokorą ciężar tego „oskarżenia" i wybieram rewizjonizm.

Polska polityka rewizjonizmu obecnego okresu nie będzie jednak zjawiskiem odosobnionym. Wielokrotnym rewizjonistą był Józef Piłsudski, gdy budując najpierw swoje plany w oparciu o Austrię i mocarstwa centralne, zmienił radykalnie kierunek z końcem pierwszej wojny i zdecydował się na Magdeburg, aby zawrócić bieg polityki polskiej w stronę Zachodu. Piłsudski również, nieubłagany przeciwnik Rosji i zwycięski wódz z roku 1920, ale także realista, zawiera w kilkanaście lat potem układ o nieagresji z Rosją, aby zabezpieczyć Polskę od strony wschodu. W latach trzydziestych zawraca od tradycyjnej linii nieograniczonego sojuszu z Francją i zawiera układ o nieagresji z Niemcami, aby tą drogą wymusić na Zachodzie większą dbałość o interesy polskiego sojusznika.

Czyż w innej dziedzinie nie był klasycznym rewizjonistą sprawcą maja 1926 roku, a potem Brześcia w porównaniu z rewolucjonistą i socjalistą z lat bezdańskich i Placu Grzybowskiego? Albo czy nie był rewizjonizmem okres Konstytucji Kwietniowej w zestawieniu z latami 1918 do 1921?

Czyż to nie Roman Dmowski — aby sięgnąć do innej szkoły — uczył swoich uczniów wezwaniem: „Nie bądźcie talmudystami" i popychał ich do formuł sprzecznych z założeniami jego własnej młodości i lat późniejszych dojrzałych?

Nie był nigdy i nie jest dzisiaj rewizjonizm grzechem w polityce narodu któremu losy nie wyżłobiły łatwych dróg bytu i walki.



Natomiast identyfikowanie rewizjonizmu z kapitulacją jest bardzo prostacką i nieinteligentną demagogią, która uchybia poziomowi tematu naszej dyskusji.

Polska ze swoim położeniem geopolitycznym i w obecnej jej sytuacji nie może pozwolić sobie na bezruch i na automatyzm dziejowy. Nigdy zresztą nie hołdowała tym tezom i tym się tłumaczy w jej dziejach rozpiętość nurtujących ją tendencyj, obliczonych na każde możliwe rozwiązanie.

W okresie pierwszej wojny, w którym los hojnie obdarzył Polskę ludźmi wielkiego rozumu, szerokiego horyzontu, bogatej wyobraźni i czujnej odpowiedzialności, polska polityka realizowała swoje naczelne cele, na dwu równoległych, pozornie sprzecznych i wykluczających się torach, które posiadały odpowiedniki zarówno w Kraju, jak na emigracji. Nie tyle szczęśliwy los, ile ówczesna koniunktura międzynarodowa, ale także przewidująca metoda samych Polaków zapewniła Polsce w roku 1918 sukces, który nie rzucany wtedy na hazardową szachownicę jednostronnego rozwiązania, posiadał szanse w każdej, końcowej sytuacji: w jednej lepszą i pełniejszą, w drugiej gorszą i ograniczoną. Żadna jednak odpowiedzialna strategia polityczna nie wyklucza nigdy gorszego dla siebie rozstrzygnięcia, jeżeli najlepsze okazuje się trwale lub przejściowo nieosiągalne.



O tej naczelnej prawdzie kierownicze czynniki odpowiedzialne za politykę polską od roku 1939 do 1945 i za politykę emigracji od roku 1945 do dnia dzisiejszego jakby zapomniały. Zaleca się nam polityczne Monte Cassino, jako trwały system naszej postawy. „Potrzebne to zadanie spełniamy i powinniśmy je dalej spełniać" — pisze wyznawca tego poglądu i dodaje: „Łączność (z Krajem) utrzymujemy w zakresie właściwym, bo ma to być najściślejsza łączność duchowa z ojczyzną, narodem i jego losem, a nie z komunistycznym reżymem czy jego zagranicznymi przedstawicielstwami i wysłannikami". Nawet „pomocy materialnej swoim w miarę możności emigracja także udziela" — z prawdziwą ulgą podkreśla autor tych pogodnych wywodów.



Mamy zatem trwać na pozycjach Piemontu, jak trwamy na nich już od lat co najmniej dziesięciu.

„Łączność" duchowa z Krajem, którą uważa się za problem pomyślnie na emigracji rozwiązany, wyraża się i pogłębia np. w krajach zachodnich w coraz głębszym odrywaniu się od tego, co stanowi więź moralną i duchową narodu polskiego i coraz powszechniejszym, zresztą naturalnym i nieuniknionym w takim wypadku, procesie włączania się, szczególnie młodego pokolenia, w nurty obcego środowiska. Przyjmowanie obywatelstwa, obcych państw nie jest w tym procesie tylko czczą, nieszkodliwą formalnością. Rachuby na masową produkcję bohaterów, którzy potrafią podzielić sprawiedliwie własne sumienia na dwie równe części i co boskie ofiarować Bogu, a co cesarskie oddać cesarzowi — i tę skomplikowaną postawę wewnętrznomoralną przekazać na trwałe swoim dzieciom i wnukom, są z góry skazane na niesławne niepowodzenie.



Bronimy również interesów Polski na Zachodzie, ale ze skutkiem co najmniej żałosnym. Nie znaczy to, aby dlatego obrony tej zaniechać. Trzeba ją dostosować do warunków w jakich żyjemy.

Analiza tego problemu prowadzi do wniosku, że jednostronna i solidarna postawa zajmowana przez politykę polską na emigracji wyrażająca się w programie nienaruszalnej, powszechnej lojalności wobec Zachodu, nie jest stanowiskiem przemawiającym do wyobraźni i przekonania świata zachodniego. Nie przemawia on do Zachodu tym bardziej, im więcej Polaków reprezentujących tę postawę znajduje się w zależności materialnej od zachodnich ośrodków dyspozycji.

Temat to na emigracji wstydliwy, ale nie podobna pomijać go milczeniem, gdy mówi się o interesach Polski. A nie jest przecież tajemnicą, że tendencje Zachodu w sprawach związanych z żywotnymi zagadnieniami polskimi stoją z nimi w coraz bardziej rażącym konflikcie i tego faktu nie wolno również chować pod korcem maku. Trzeba natomiast, stwierdzając ten stan rzeczy, wyciągać z niego wnioski.

◆

Po pierwsze zatem emigracja musi być utrzymana, bo wymaga tego dzisiejsze położenie międzynarodowe i sytuacja Polski. Nawoływanie emigracji do powrotu do Kraju nie da dlatego większych rezultatów.

Jedynym natomiast jego następstwem winien być masowy powrót Polaków z Niemiec, o ile nie znajdzie się dla nich miejsce na Zachodzie i o ile nie nastąpi przesiedlenie wszystkich uchodźców polskich z Niemiec do Anglii czy Stanów Zjednoczonych lub Australii.

Są trzy przyczyny, dla których Polacy w Niemczech nie mogą tam dłużej pozostawać ? 1) ich położenie materialne urągające warunkom życia ludzkiego; 2) tylko 15 procent uchodźców polskich posiada tam zajęcie w większości na najniższych szczeblach pracy najemnej; reszta żyje z żebraczych zasiłków rządu niemieckiego : żadna, nawet najwznioślejsza idea nie uzasadnia potrzeby istnienia tego rodzaju „Piemontu wolności" na obczyźnie; 3) młodemu pokoleniu polskiemu, synom i córkom uchodźców polskich w Niemczech grozi pełna germanizacja, a ponadto młodzi Polacy są tam zagrożeni służbą w armii niemieckiej. Polacy w Niemczech nie mają żadnych warunków do wywierania wpływu na bieg polityki niemieckiej i jedynym ich tam marzeniem może być zaledwie przeżycie. Przeżyć mogą jednak lepiej — mimo wszystko — w Kraju, zachowując w nim swoją osobowość narodową.

◆

Natomiast w innych krajach polskiego osiedlenia, w których Polacy posiadają warunki nie tylko przeżycia, ale i uzyskania materialnego dobrobytu, a proces ich powszechnego wynaradawiania jest kwestią dłuższych lat, jeśli nie pokoleń, emigracja winna zostać. Jest to zagadnienie szczególnie ważne w Stanach Zjednoczonych. Po raz pierwszy w dziejach powstała prawdopodobnie skromna, pomyślniejsza szansa, gdy na ziemi amerykańskiej po ostatniej wojnie zjawiły się grupy nowych emigrantów polskich reprezentujące wartości, odpowiadające chociaż w części wymogom potrzebnym w konkurencji z innymi grupami narodowościowymi tego kraju. I chociaż liczebnie ta nowa grupa przedstawia się raczej skromnie, to jednak może stanowić zalążek dla przyszłych, ewentualnych możliwości. Jest to w każdym razie kapitał, którego nie wolno zmarnować ani zlekceważyć, skoro sprawa dotyczy kraju stanowiącego jedną z dwu głównych potęg o zasięgu światowym i którego stanowisko nie jest obojętne dla losów naszej sprawy w żadnej sytuacji jaka Polskę może spotkać.

◆

Ale utrzymanie emigracji polskiej w Stanach Zjednoczonych czy w jakimkolwiek innym kraju zachodnim, nie oznacza, że wszyscy przedstawiciele jej polityki mają być bezkrytycznymi „yes-menami" polityki mocarstw zachodnich. Byłoby to w polskim położeniu zbyt uproszczone, a politycznie banalne.

Doświadczenie ubiegłych lat wykazało że nie ma gorszej polityki dla sprawy polskiej, jak polityka nieograniczonej lojalności wobec partnera, a przykłady polityki innych krajów dowiodły, że nie ma skuteczniejszej metody na zainteresowanie wielkich mocarstw zagadnieniem własnego kraju, jak lojalność warunkowa lub zgoła nielojalność wobec tych, na których pomoc się liczy. Wystarczy wymienić przykłady Francji, Czechosłowacji, Norwegii, Włoch, z świeższych czasów Jugosławię Tity, a nade wszystko Niemcy. Na tle tych przykładów Polska wierna do ostatniej kropli żołnierza spod Monte Cassino czy z Powstania Warszawskiego i do ostatniego potu pracownika Głosu „Wolnej Polski" w Monachium czy w New Yorku — — rysuje się jak tragiczna postać Don Kiszota.



Warto zatem przynajmniej zastanowić się nad inną, niż dotąd taktyką polityki emigracyjnej. O żadnych „uczuciowych nastrojach" ani „histerii" po szesnastu latach twardej szkoły życiowej i dramatycznych doświadczeń mowy w ogóle między nami nie ma. Istnieje natomiast elementarny obowiązek sporządzenia zwyczajnego rachunku strat i zysków. Jego bilans nie pozostawia żadnych złudzeń. I to jest okoliczność decydująca.



Naszą rzeczą jako emigracji jest wysunąć postulaty w dziedzinie stosunków z Krajem, który w obecnym naszym położeniu jest jedynym konkretnym elementem każdej polityki polskiej. Rzeczą tamtej strony, która wzywa nas do powrotu czy współpracy jest nasze postulaty przyjąć lub odrzucić albo ograniczyć, a naszą z kolei ustosunkować się do tej sytuacji.

W tym poważnym i odpowiedzialnym zagadnieniu błędem kardynalnym byłoby ograniczanie własnej roli do biernego oponenta w stosunku do inicjatywy przeciwnika. Trzeba podjąć próbę czynnego stanowiska, wobec którego — odwrotnie — przeciwnicy byliby postawieni w pozycji biernego oporu, gdyby nie chcieli uznać naszej inicjatywy.

Próba stawienia temu zagadnieniu czoła choćby w ograniczonych granicach — wytworzyłaby zupełnie inną atmosferę wokół tego problemu, oparłaby go o żywe zaplecze Kraju, zrodziłaby wśród emigracji poczucie realnej jej przydatności w kształtowaniu rzeczywistości polskiej na ziemi rodzinnej, sensu jej pobytu na obczyźnie, stworzyłaby wizję jej zadań praktycznych.

W stosunku do Zachodu emigracja stałaby się wreszcie autentycznym, konstruktywnym rzecznikiem Kraju, opierającym swoje sugestie nie na wspomnieniach z dawno przebrzmiałej przeszłości, ale na sprawdzanej aktualnej, dzisiejszej rzeczywistości. Można by wreszcie mówić realnie o polskim partnershipie.

Trzeba się jednak przedtem wyzbyć doktryny, że polityka polska zamyka się w rozwiązaniach i metodach wyłącznie krańcowych, w których można być albo tylko Farysem Piemontu, albo tylko „agentem reżymu". Trzeba bowiem być tylko Polakiem świadomym nie przemijających nakazów polskiego interesu i rzeczywistości, wśród jakiej się żyje. Jest już

chyba najwyższy czas, aby zaniechać wulgaryzowania myśli politycznej i utrzymywania jej na popularnym poziomie propagandy.

Nie podobna zakładać, że w każdym, bezpośrednim zetknięciu czy starciu idei Zachodu z komunizmem, zwycięży zawsze komunizm. To założenie, mające swe źródło w fatalnym kompleksie niższości jego wyznawców, dyskredytuje i przekreśla jakąkolwiek celowość naszej postawy ideowej. Ale aby walczyć a tym bardziej zwyciężać, trzeba w każdej sytuacji, także niedogodnej i ograniczonej, podejmować próbę czynnego działania na polu bitwy, a nie na jej zabezpieczonych tyłach. Istnieje jednak, aby tego dokonać, jeden zasadniczy warunek: trzeba tę akcję podjąć i znaleźć się na jej froncie, a nie na dalekich przedpolach.

Na zakończenie kilka słów pro domo mea.



Mój polemista odwołał się do organizacji politycznej, do której należę z zapytaniem, co sądzi o tezach, jakie wypowiedziałem w wrześniowym artykule.

Nie mogę oprzeć się przykremu wrażeniu, że ta część artykułu autora z „Orła Białego" w wysokim stopniu przypomina metodę stosowaną po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Polega ona, jak wiadomo, na publicznym denuncjowaniu pisarza wobec jego środowiska o tak zwane odchylenie polityczne i zdąża do spowodowania represji na denuncjonowanym. Metoda ta stosowana po tamtej stronie kurtyny zasługuje na jednakową ocenę.

Moje poglądy przez całe życie stanowią moją wyłączną własność i moje prawo wolnego człowieka. Prawo do dyskusji w tak ważnych zagadnieniach jak kierunek myśli i polityki polskiej należy do kardynalnych przywilejów i obowiązków każdego publicysty, choćby te poglądy nie godziły się z opinią mniej lub więcej powszechną. Ubolewam, że niektóre ośrodki emigracji nie rozumieją tych elementarnych zasad, dla których od lat jedenastu pozostajemy na emigracji i uważają za możliwe podejmowanie próby, która jest dokładnie wzorowana na systemie przez nich równocześnie zwalczanym. Tej metodzie jednak nie zamierzam się poddać i tej błogiej nadziei mój prokurator winien się wyzbyć. Pokajania nie dokonam.

Klaudiusz HRABYK

Zarys organizacyjny polskiej akcji zagranicą

Trzeźwa ocena obecnej sytuacji nie może wykluczyć przypuszczenia, że na pewien okres czasu obrona praw narodu polskiego do niezawisłości państwowej w wolnym świecie spoczywać będzie na barkach Polonii zagranicznej. Jest zjawiskiem pocieszającym, że Polonia ta wydaje się coraz bar-

dziej uświadamiać sobie to zadanie i że wobec tego, co stało się z Polską, coraz bardziej odczuwa potrzebę uaktywnienia swej roli.

W tym stanie rzeczy warto już obecnie, choćby w najogólniejszym zarysie, rozważyć niektóre elementy, wchodzące w rachubę przy montażu takiej ogólno-polonijnej akcji.

Zacznijmy od paru warunków zasadniczych.

Przede wszystkim akcja tego rodzaju z natury rzeczy obejmować winna całość Polonii zagranicznej, opierać się na tej całości i całość tę reprezentować. Całość, to znaczy owych mniej więcej 6 milionów obywateli świata, będących polskiego pochodzenia i świadomych swojej polskości. Dotychczas, jak wiadomo, ster akcji spoczywał w ręku tzw. uchodźctwa politycznego, to jest najwyżej trzech do czterech procent całości żywiołu polskiego zagranicą. Cała, niewspółmiernie większa reszta miała jedynie rolę pomocniczą lub nawet całkowicie bierną, stanowiąc, co najwyżej, sympatyczne tło oraz przedmiot zabiegów o pomoc finansową.

Obecnie, gdy wskutek upływu czasu i splotu warunków życiowych, ilość obywateli polskich spośród wspomnianego uchodzctwa stale maleje. Polonia zagraniczna zlewa się stopniowo w jedną całość, rozróżnienia z okresu wojennego czy bezpośrednio powojennego przestają być aktualne a tytuł uchodźctwa politycznego do monopolu na akcję polityczną zatraca się z dniem każdym.

Drugą zasadą, pozostającą zresztą w ścisłym związku z pierwszą, jest konieczność demokratycznego charakteru akcji. Demokratycznego tak w formie powoływania organów akcji drogą wyborów i efektywnego ustalenia społecznej kontroli, jak w treści atmosfery i postawy duchowej, odpowiadającej przekonaniom i ogólnym nastrojom większości Polonii.

Na tym tle niemożliwa do utrzymania na dłuższą metę staje się sytuacja, w której mandaty społeczne opierają się na historii i przedawnionych aktach a przelewanie ,,władzy" ma miejsce w drodze personalnych procesów w gronie ograniczonej liczby jednostek. Jeśli w dodatku w gronie tym nie ma harmonii, co grozi ujemnymi następstwami akcji samej, przesunięcie się środka ciężkości z nielicznej grupy do szerszych warstw staje się nakazem realnej polityki.

Dalszym elementem o zasadniczym znaczeniu jest, aby organizacja akcji Polonii zagranicznej była jej organizacją własną i niezależną.

Znaczy to, że Polonia sama winna ją drogą naturalną wytworzyć i utrzymać, a nie otrzymać jej z zewnątrz. Tym właśnie różniłaby się tego rodzaju organizacja od przedwojennego Związku Polaków zagranicznych, czyli tzw. Światpolu, który był w piewszym rzędzie instrumentem polityki państwa polskiego, w nim miał swą siedzibę i kierownictwo i przy całej swej skądinąd pozytywnej działalności, nigdy nie mógł stać się ,,krwią z krwi i kością z kości" całej Polonii zagranicznej.

Przechodząc z kolei do naszkicowania samej struktury organizacyjnej, należy oczywiście z góry uznać za przedwczesne wchodzenie już teraz w szczegóły, nierównie bowiem ważniejszym jest w chwili obecnej szersze i głębsze przedyskutowanie samej zasady poruszonego zagadnienia, przejęcia polskiej akcji zagranicą przez całość Polonii zagranicznej. Tym niemniej wydaje się pożyteczne rzucenie kilku myśli w związku także z tym

tematem, a to celem uprzedzenia ewentualnych wątpliwości i ułatwienia przez to dyskusji zasadniczej.

Organizacyjnie logiczny punkt wyjścia dla akcji stanowiłyby istniejące już na wielu terenach polskiego osiedlenia w różnych państwach organizacje terenowe o typie federacyjnym, jak Kongres Polonii Amerykańskiej lub Kongres Polonii Kanadyjskiej. Byłoby zatem pożądane, aby podobna konsolidacja żywiołu polskiego dokonała się na terenach dotychczas taką centralą i reprezentatywną organizacją nie objętych.

Organizacje terenowe pozostałyby bazą działania na odnośnym terenie. W skali światowej mogłyby one być podstawą do wyłonienia organu wyższego stopnia w rodzaju światowej Rady Polaków zagranicą. Obok takiej Rady zbierałyby się periodycznie światowe Sejmy polonijne, a powołany przez Radę, czy przez Sejmy, czy też przez te dwa ciała łącznie, Komitet wykonawczy lub Egzekutywa koordynowałby i prowadził bieżącą akcję polityczną.

Pewne analogie praktyczne dla takiej struktury można by znaleźć w kilkudziesięcioletnich doświadczeniach światowej organizacji sjonistycznej. Dotyczyłyby one również arcyważnej strony finansowej, jak zwłaszcza światowego Funduszu Narodowego, ogólno-polonijnej organizacji bankowej, kampanii specjalnych w skali światowej itp.

Wydaje sie niezaprzeczalne, że tego rodzaju skoncentrowanie wysiłków, a zarazem oparcie ich na możliwie najszerszej podstawie wyszłyby na dobre sprawie polskiej.

Kwestia uznania organizacji ogólno-polonijnych w poszczególnych państwach za uprawnione do zabierania głosu w obronie sprawy polskiej byłaby rozwiązana ipso facto, tak jak jest nią obecnie w stosunku do istniejących już federacji terenowych, działających legalnie w ramach miejscowego ustawodawstwa. W związku z tym również uznanie światowej organizacji polonijnej, działającej przez uznane organizacje terenowe a łączącej je w jedną wspólną akcję w sprawach dotyczących Polski, nie nastręczyłyby odrębnych trudności, tak jak nie spotkała się z nimi w swoim czasie centrala światowej organizacji sjonistycznej.

Pozytywny element spośród pierwotnego politycznego uchodźtwa polskiego nie byłby bynajmniej stracony dla pracy. Przeciwnie, można by się spodziewać, że przechodząc przez wyborczy filtr polonijny organizacji społecznych, co cenniejsze jednostki na nowo mogłyby się znaleźć na widowni naszego życia społecznego i politycznego, tym razem zaopatrzone w mandat świeższej daty i wzmocnione poczuciem zaufania i poparcia szerszej masy rodaków.

Nie ulega wątpliwości, że w takiej konfiguracji stosunek całości Polonii zagranicznej do świadczeń finansowych uległby zasadniczej zmianie. Skończyłyby się rywalizacje w apelach do ofiarności Polonii, skończyłyby się anonimowe zabiegi o datki na coraz to inny cel, cała Polonia zagraniczna wiedziałaby natomiast, że łoży na akcję własną, na akcję związaną z całością dobra sprawy polskiej oraz na organizację i akcję kontrolowaną przez ogół w drodze procedur demokratycznych.

Polonia zagraniczna zasilona drogą zdrowej integracji społecznej elementem świeżym weszłaby w ten sposób w nowy etap swego rozwoju, dając w praktycznym wysiłku dowód swej pełnoletności politycznej i kultu-

ralnej. Jest również prawdopodobne, że Polonia ta, a zwłaszcza jej młode pokolenie, wystawione bardziej na prądy przechodzące przez świat szeroki i na oddziaływanie ducha zachodniej demokracji, wniosłaby ze swej strony wiele dodatnich pierwiastków do polskiej akcji politycznej i kulturalnej zagranicą.

Tadeusz BRZEZIŃSKI

Polemiki

Przypisy do "Refleksji amerykańskich"

Uwagi p. A. Hertza o robotnikach amerykańskich wymagają pewnych uzupełnień. Czytelnik europejski, mało obeznany z tematem może sobie wyrobić mylny obraz życia tutejszego robotnika.

Filozofia „New Deal'u". — Głównym celem New Deal'u było zakończenie i usunięcie skutków Depresji, oraz przedsięwzięcie takich środków, by kryzys takich rozmiarów więcej się nie powtórzył. Środkiem prowadzącym do tego celu, było nie tyle oparcie się o zorganizowane masy robotnicze — jak to twierdzi p. Hertz — ale długofalowa polityka gospodarcza streszczająca się w dwuch punktach : *a)* utworzenie szeregu agencyj rządowych opieki społecznej, przedsięwzięcie robót publicznych, udzielenie subwencyj rolnictwu; *b)* New Deal przyszedł z wydatną pomocą „businessowi" w formie pożyczek dla kolei, banków, towarzystw ubezpieczeniowych i kredytowych. Wtórnym skutkiem tego zabiegu był oczywiście wzrost zatrudnienia.

Amerykańska Partia Socjalistyczna. — P. Hertz pisze że „jedną, choć nie jedyną — z przyczyn upadku amerykańskiej Partii Socjalistycznej były następstwa ograniczeń imigracyjnych". Istotnie było to jedną z przyczyn upadku, ale dopiero wtedy, jak partia straciła już na znaczeniu. Główną przyczyną upadku partii było jej stanowisko wobec wojny 1914 roku. Jak wiemy, socjaliści niemieccy i francuscy „zdradzili klasę robotniczą" i poparli wysiłek wojenny. Socjaliści amerykańscy odmówili takiego poparcia w roku 1914 i zaczęli propagować neutralność wobec wojny „imperialistycznej". Póki Stany Zjednoczone nie weszły do wojny, stanowisko Partii Socjalistycznej było w zgodzie z prawem. W roku 1917 jednak zaczęły się represje na skutek zaostrzenia działalności przeciw wojnie. Sam Debs został skazany na 10 lat więzienia za naruszenie ustawy antyszpiegowskiej. *Coup de grâce* przyszło jednak z Rosji w postaci wybuchu rewolucji bolszewickiej. Grupa zwana lewym skrzydłem utworzyła partię komunistyczną. Ostatni rozłam dokonał się przed drugą wojną kiedy to grupa „młodych militantów" wystąpiła przeciw „starej gwardii". „Gwardia" utworzyła Federację Socjal-Demokratyczną zachowując pełną kontrolę nad prasą i instytucjami naukowymi (m. in. Rand School of Social Science). W latach

dwudziestych socjaliści amerykańscy wypracowali program reform społecznych, z którym szli do każdych wyborów. Część tego programu przejął New Deal i wprowadził w życie. Nieścisły jest również pogląd, że tak socjalizm jak i komunizm był formą protestu inteligencji przeciw konformizmowi życia amerykańskiego. Mam wrażenie, że ten konformizm najbardziej razi nowych Amerykanów. Fakt, że prawie całe pokolenie inteligencji amerykańskiej otarło się o komunizm świadczy istotnie o proteście, ale był to protest przeciw warunkom życia w okresie kryzysu. Inteligencja szukała rozwiązania problemów społecznych w komunizmie. Znajomość Rosji bolszewickiej była wówczas znikoma i Amerykanom przemawiał przede wszystkim mit nowego eksperymentu społeczno-politycznego. Było to jakby powtórzenie ich własnej historii: zakończenie okresu kolonialnego i dynamizm nowego ustroju. W ich przekonaniu było to naturalną reakcją na nędzę lat kryzysu i wybryki kapitalizmu.

Granda na mokro. — P. Hertz uważa „union racket" za równoznaczne z „grandą związków zawodowych". „Granda" jest tutaj czarującym eufemizmem, ale nie na miejscu. Wypadałoby bowiem określić np. Munder Inc. grandą na mokro, a Mafię chyba draką. Bojówki związkowe i policje fabryczne były tylko przygrywką do właściwego „racket", który rozwinął się na dobre w okresie prohibicji i później. Po zakończeniu prohibicji gdy odpadło główne źródło zysku gangsterzy skierowali swą uwagę na rozwijające się związki zawodowe. Nowy „racket" przejął dawną technikę „protekcji" i udoskonalił ją w formie „bossizmu". Głównym jednak celem stały się wielomilionowe fundusze związków i wysokie pensje kierownicze. Temat ten jest zbyt obszerny by go nawet usiłować streszczać. Dla przykładu wystarczy wspomnieć o zabitym niedawno byłym bossie z Hollywood Bioffie, który kontrolując związek robotników przemysłu filmowego doił wytwórnie na okrągły milion dolarów rocznie. Przed czternastoma laty popełnił ten błąd, że dobrowolnie złożył zeznania na ten temat przed komisją senacką. Później zmienił kilka razy nazwisko, miejsce zamieszkania i zawód. Kilka tygodni temu wsiadł do swego automobilu, zapuścił motor... i jak domyślono się ze szczątków, padł ofiarą „grandy"... Znany jest terror w związku robotników portowych w Nowym Jorku, robotników transportowych, krawców itp. Niestety likwidacja tych praktyk nie jest łatwa. Przykład Bioffa jest odstraszający i nikt nie chce ryzykować zdrowia. Zbyt wiele jest również powiązań z politykami i policjantami.

Partia a partia. — Wydaje mi się, że główną przyczyną wszelkiej konfuzji odnośnie urządzeń amerykańskich, jest chęć znalezienia odpowiedników ze znanych wzorów europejskich. Trzeba się pogodzić z losem i uznać, że istnieje tzw. „American way of life". Nie ma np. europejskiego odpowiednika amerykańskiego systemu dwupartyjnego. Choć trzeba dodać, że „trzecie" partie już nie raz odgrywały poważną rolę w życiu politycznym. Niektóre, jak np. „Know-Nothings" — przeminęły prawie zupełnie, inne, jak Free Soil Party, Populiści i Socjaliści przyczyniły się do poprawy stosunków społecznych. Skoro już mowa o „Know-Nothings", to chciałbym sprostować nieścisłość p. Hertza w jego „refleksjach" z numeru 97go. P. Hertz pisał, że „Know-Nothings" miała „charakter anty-intelektualistyczny (?)". Nie koniecznie. Partia ta powstała ze stopu różnych tajnych towarzystw zwalczających imigrantów i katolików. W okresie działania tej partii (1852-1860) w Stanach było już około 5 milionów imigrantów, głównie katolików. Celem partii było niedopuszczenie nowoprzybyłych do amerykańskich urzędów politycznych. Imigranci byli przeważnie ludem prostym bez ciągotek „intelektualistycznych". Oczywiście z takiego stanowiska mu-

siała wypłynąć później ksenofobia względem wszelkich obcych prądów umysłowych. Nazwa tej partii wywodzi się z sekretności działania. Na wszelkie pytania o partię, członkowie zwykli byli odpowiadać „I don't know".

Jedną z najbardziej uderzających cech amerykańskiego życia politycznego jest sam mechanizm przynależności do partii. Objawia się ona przede wszystkim w głosowaniu na kandydata partii lub program. Brak jest konkretnej ideologii, program za to jest giętki i dostosowany do sytuacji. Członkowie partii nie płacą składek, prócz datków na fundusze wyborcze, i zapewne nie posiadają legitymacyj. Przyjęło się również głosowanie na daną partię tradycyjnie w obrębie jednej rodziny, czy okręgu. Obecnie np. obie partie są prawie zgodne w poglądach, prócz jednego bardzo ważnego punktu : sprawy murzyńskiej.

Być może ten szczególny charakter partyj politycznych stoi na przeszkodzie powstania robotniczej partii politycznej. Jest jeszcze jeden powód o którym wspomniał niedawno G. Meany przedstawicielowi brytyjskich labourzystów. Związki zawodowe nie chcą rezygnować z „bargaining power" na korzyść niedających się kontrolować wpływów politycznych.

Ten swoisty indywidualizm znaleźć można również w stosunku robotnika do samego związku. Związek reprezentuje go jedynie w sprawach ściśle związanych z pracą zarobkową. Czas wolny od pracy jest prywatną własnością robotnika, którym rozporządza on według własnego mniemania. Jest to bardzo ważny szczegół dla nas emigrantów.

Pobieżna obserwacja życia amerykańskiego nie usprawiedliwia jeszcze optymistycznych wniosków na przyszłość. Bezprzykładny np. „boom" bynajmniej nie obejmuje wszystkich. Ciągle jeszcze 3/10 ludności ma proporcjonalnie mniejszy udział w dochodzie narodowym, niż go miało w roku 1910. Są oczywiście znaki, że gospodarka amerykańska wypracowuje nowe formy, ale pamiętajmy, że robi to z jednym celem — zwiększenia dochodu.

Zbigniew MAŁECKI

"O pracy" - z doświadczenia

Na lewym skrzydle samolotu F. 86 bieleje kartka papieru. Notatka, którą pozostawił mi oblatujący samoloty pilot. Jak mówimy : codzienna zagadka, pilota notatka. Nigdy nie wiadomo, co zawiera. Czasem dzień żmudnej, ciężkiej pracy, czasem znów dzień miłego każdej robotniczej duszy, nieróbstwa. Ta kartka nie jest ani zbyt zła, ani zbyt dobra. Najważniejsza usterka, to nieszczelność w hermetycznej kabinie pilota. Doprowadzam do samolotu kabel z prądem, włączam prąd, otwieram pokrywającą kabinę pilota kopułę z plexiglassu (niestety nie wiem jak się po polsku nazywa plexiglass)

i przygotowuję kabinę do próby ciśnienia. Przyłączam wąż kompresora, zamykam kopułę i otwieram zawór ściśnionego powietrza. Teraz należy pilnie obserwować wskazówkę ciśnienia, gdyż wykonana z plexiglassu kopuła kabiny kosztuje dobrych parę tysięcy dolarów, a pod nadmiernym ciśnieniem potrafi prysnąć jak mydlana bańka. Doprowadzam ciśnienie do równowartości ciśnienia na 50 tysiącach stóp i wyłączam kompresor. Teraz ciśnienie powinno się utrzymać bez zmiany, a jeśli zacznie opadać, to z szybkości z jaką się zmniejsza będą mógł wywnioskować, gdzie należy szukać nieszczelności. Znalazłszy, oczywiście usunąć. Przez najbliższe czterdzieści minut nie mam nic do roboty — poza obserwacją wskaźnika ciśnienia. Zajęcie mniej urozmaicone i nie wymagające zbyt wiele uwagi. Zerkając więc od czasu do czasu na wskaźnik ciśnienia, zagłębiam się w lekturę „Literatury Pracy" pana Czesława Miłosza.

Dla mnie, robotnika fabrycznego, który od jedenastu lat wykonuje monotonną fizyczną pracę i utrzymuje się wyłącznie z pracy swych rąk, temat niezmiernie ciekawy.

Jeśli chodzi o zawody, z których rekrutują się pisarze, to (właśnie czytałem na ten temat parę tygodni temu) na pierwszym miejscu są oficerowie służby stałej. Ciekawe, że prozaiczne życie koszar i ćwiczebnych placów tak wspaniale wpływają na rozwój twórczości pisarskiej (Alfred de Vigny, Lew Tołstoj). Do wymienionych przez pana Miłosza pisarzy-marynarzy dodam nazwiska Pierre Loti i Claude Farrère. Jest ich zresztą dość długa litania, która zamyka ostatnio Nicholas Monsarrat.

Zawodowymi lotnikami byli Saint-Exupéry i Janusz Meissner.

Z pisarzy, którzy pochodzili ze sfer pracujących fizycznie i którzy sami fizycznie pracowali, wspomnę Maksyma Gorkiego i Jack Londona.

Cały szereg pisarzy wykonywał monotonną pracę zawodową, która choć zajmowała im wiele czasu, nigdy przez żadnego z nich nie była w jego pracy pisarskiej nawet wspomniana. Poeta Słoński był dentystą, Leśmian rejentem, Boy-Żeleński — doktorem medycyny.

Z tego, co pan Miłosz pisze o pracy fizycznej wnioskuję, że sam nigdy takiej pracy nie wykonywał. Gdy czytam słowa : „pozwolę sobie sekundę odetchnąć", mimowoli przypomina mi się stara francuska anegdota o tym jak Olivie opowiada Mariuszowi o straszliwie ciężkiej pracy tragarzy portowych w Marsylii. Mariusz jest głęboko wzruszony.

„I dawno już pracujesz tak ciężko?" pyta ze współczuciem.

„Być może, że zacznę w przyszłym miesiącu" odpowiada Olivie.

Obszedłem cały prawie świat i widziałem wiele pracy wykonywanej (w przenośni i dosłownie) pod batem. Ale nigdzie nie widziałem pracujących w takim tempie, jak pracują ludzie na dalekiej Północy. Nikt ich tam zresztą nie dozoruje. Są płat-

ni za wykonaną pracę i sami ustalają jej tempo oraz iłość godzin. Rezultat?

Pracują po szesnaście godzin na dobę i pracują w tempie, którego oprócz białego człowieka nie wytrzymałoby żadne inne zwierzę czy kolorowy. Prości robotnicy fizyczni zarabiają w ciągu dwumiesięcznego sezonu do trzech i pół tysięcy dolarów. Ale naprawdę pracują. Dla ścisłości dodam, że kolorowych pracujących jak szatany widziałem również. Także pracowali bez nadzoru i sami sobie ustalali tempo swej, dosłownie zabójczej (rozedma płuc), pracy. Byli to Arabowie, poławiacze pereł. A przecież wiadomo, że Arabowie są leniwsi nawet od Meksykańczyków.

A więc są jednak bodźce pędzące do pracy znacznie skuteczniej niż przymus.

,,Monotonna praca jest prawdziwym przekleństwem" — mówi pan Miłosz i tu przyznaję mu najzupełniej rację.

Tylko która praca nie jest monotonna?

Dla mnie monotonna była praca na prawie samodzielnym stanowisku w Departamencie Lotnictwa Cywilnego i monotonne było codzienne chodzenie na obiady na ulicę świętej Barbary, gdzie wśród innych stołowników spotykałem również przez dłuższy okres czasu i pana Czesława Miłosza.

Monotonne były loty nad fiordy Norwegii i codzienne stwierdzanie za pomocą zdjęć foto, że powierzony naszej opiece pancernik ,,Bismarck" wciąż stoi na tym samym miejscu.

Z radością powitałem Gibraltar i loty nad północną Afryką. Już po paru tygodniach dostawałem dosłownie gęsiej skórki na samą myśl o jednostajnie rudych piaskach Maroka i szarych skałach Atlasu.

Zbawieniem wydawała mi się perspektywa odprowadzania samolotów z Kanady do Indyj, droga przez Brazylię, Złote Wybrzeże, Kongo, Egipt, Arabię i Persję. Powitałem to jak uśmiech losu. Mogę każdego, znudzonego jednostajnością swej pracy, zapewnić, że urok siedemnaście tysięcy mil liczącej trasy prysł znacznie prędzej niż należałoby oczekiwać i pozostało tylko wielogodzinne, monotonne wiszenie w powietrzu.

Łoskot śmigieł i huk motoru wczoraj, dziś, jutro. Tysiącomilowy szlak wczoraj, dziś, jutro. Upłynęło już dwanaście lat — a jeśli się zbyt zaleję i mam złe sny, to nieodmiennie śni mi się że znów odbywam sześćdziesięciogodzinny lot nad oceanami i pustyniami.

Po wojnie wylądowałem na zajęciu elektrotechnika w olbrzymim (1.200 pokoi) hotelu. Do obowiązków moich należało oświetlać kolorowymi reflektorami scenę nocnego kabaretu. Co tydzień był inny program. Pracujący w tym czasie po fabrykach koledzy, zazdrościli mi tej ,,wesołej" pracy. *Well.* Po niespełna roku rzuciłem ją. Już nie mogłem patrzeć na te przedstawienia. Miałem dość i tańców i pieśni.

Dlaczego zanudzam czytelnika wyliczaniem mu swych zawodów? Po prostu chcę go przekonać, że każda praca wykonywana jako praca zawodowa jest pracą jednostajną i po paru latach jednakowo staje się monotonne dla lotnika latać po świecie, jak dla robotnika stać przy obrabiarce.

Nie mogę zabrać głosu na temat uciekania od pracy fizycznej w Kraju gdyż nie posiadam żadnych danych. Mogę tylko nadmienić, że w Kanadzie sprawa ma się wręcz odwrotnie i że już od kilku lat zmniejsza się napływ kandydatów do wyższych uczelni. Niepokoi to bardzo tutejsze społeczeństwo i kanadyjska prasa bije na alarm, że jeśli ten stan się nie zmieni, Kanada stanie się krajem, który będzie musiał importować inżynierów i specjalistów. Przyczyna tego pędu do pracy fizycznej przedstawia się z grubsza tak :

Uzyskanie dyplomu inżyniera kosztuje tu około pięciu lat czasu i około dziesięciu tysięcy dolarów. Młody chłopak, który jak najprędzej chce mieć swe własne pieniądze (najczęściej na kupno samochodu) kalkuluje w ten sposób : jeśli pójdę do pracy wprost po ukończeniu *high school* (odpowiednik naszej dawnej czwartej gimnazjalnej) to w ciągu najbliższych pięciu lat zarobię dwadzieścia pięć tysięcy dolarów (pięć lat po trzy tysiące plus zaoszczędzone dziesięć tysięcy, które trzeba by wydać na wyższe studia).

Jeśli się weźmie pod uwagę, że dobry robotnik zarabia tutaj cztery tysiące dolarów rocznie, zaś średni inżynier pięć do sześciu tysięcy dolarów rocznie, to rozumowanie kanadyjskiego młodzieńca nie jest pozbawione pewnej słuszności. Zwłaszcza w społeczeństwie, gdzie człowieka nie osądzają według jego stanowiska, wykształcenia czy pochodzenia, lecz po prostu wedle jego majątku, względnie zarobków.

Z pewnych zdań autora artykułu ,,Literatura Pracy'' odnoszę wrażenie, że i on również ulega tej powszechnej wśród Polaków awersji do pracy fizycznej. Jestem już poza Krajem przeszło siedemnaście lat i oczywiście musiałem ulec pewnemu zamerykanizowaniu. Może temu właśnie należy przypisać, że coraz trudniej jest mi uzgodnić pewne poglądy z rodakami, którzy opuścili Kraj znacznie później. Zwłaszcza nie rozumiem już zupełnie ich wstrętu i pogardy dla wszelkiej pracy fizycznej, którą jeśli muszą wykonywać, to traktują to jako dopust Boży, niechętnie i ot, aby zbyć, póki znów nie uda im się dorwać do papierków i biurka.

Poznać nowoczesny samolot, lub nowoczesną obrabiarkę wymaga pewnej pracy, pewnych zdolności, pewnej inteligencji. Poznać te rzeczy można tylko przez praktykę i trwa to pewien okres czasu. Zresztą nauka ta nigdy się nie kończy. Gdy się już zgłębiło tajniki odrzutowego silnika, powiedzmy ,,J-47'', okazuje się, że silnik ten jest już przestarzały i że zostanie zastąpiony silnikiem ,,Orenda'' — i że znów trzeba się uczyć na nowo.

Nauczyć się obliczać czas pracy na kartach pracy (robota czysta i biurkowa) można w ciągu trzech do czterech godzin i system tych obliczeń jest prawie niezmienny. Mój rodak obliczający czas mojej pracy uważa, że spełnia inteligencką, biurową robotę i często ubolewa nam moim „zdeklasowaniem się" (pracuję w kombinezonie) i co pewien czas, ilekroć zawakuje w ich biurze praca gryzipiórka, ofiarowuje mi swą protekcję.

Gdy jeszcze pracowałem w hotelu, poznałem jednego z rodaków. Pisarz o bardzo znanym nazwisku. Był w ostatecznej biedzie. Przypadkiem dowiedziałem się, że w hotelu zawakowała praca windziarza (hotel ma tylko 48 wind). Pogadałem z szefem personalnego biura i uzyskałem jego zgodę na swego kandydata. Zwolniłem się z pracy i pojechałem po mego znajomego pisarza. Samochód, dla pośpiechu, zostawiłem na chodzie i skakałem po trzy schody :

— Chodź Pan, mam pracę dla Pana.

Jadąc tłumaczyłem mu rodzaj zajęcia jakie udało mi się dlań zarezerwować i z dumą wyjaśniłem, że będzie otrzymywał pięćdziesiąt dolarów tygodniowo.

Mój znajomy wysłuchał mojej propozycji i poprosił bym zatrzymał samochód. Do hotelu było jeszcze ze dwie mile.

— Czemu? — zapytałem zdziwiony.

— Pan zapomina, że jestem intelektualistą.

Wysiadł bez pożegnania. Nie kłaniamy się sobie od tego czasu. Żalił się memu przyjacielowi, że śmiałem jemu, intelektualiście zaproponować pracę windziarza.

Bardzo typowy wypadek, jeśli chodzi o rodaków.

Obok mnie pracuje młody mechanik, Jimmy. Ukończył uniwersytet i przez parę lat był nauczycielem. Zarabiał około dwóch i pół tysięcy dolarów i miał tego serdecznie dość. W Kanadzie nauczyciele są słabo płatni i awansują bardzo powoli. Jimmy podziękował za pracę w szkole i dziś, jako mechanik, zarabia ponad cztery tysiące dolarów. Wątpię, by mu kiedy przyszła do głowy myśl, że się zdeklasował.

Typowy wypadek jeśli chodzi o Kanadyjczyka.

Zainteresowania Jimmy'a jako nauczyciela i jako mechanika są też same : latem ryby, zima hokey. Wieczorami telewizja. Książek unika. Ale umyślnie go pytałem i Jimmy zapewnia, że nigdy książek nie lubił.

Podobnych przykładów mógłbym przytoczyć setki. Wszystkie one są bardzo charakterystyczne dla naszego ukochania papierkowej pracy i wstrętu dla pracy fizycznej.

Komunizm przyniósł w Kraju wiele zmian. Część tych zmian jest odwracalna, część nie. Ale polskiego zamiłowania do papierkowej pracy i do urzędożenia nie zmieni ani komunizm ani żaden inny ustrój.

Nie bardzo rozumiem, co ma na myśli pan Miłosz mówiąc o przegrodzie językowej. Każde środowisko ma swój własny język i swój odrębny sposób bycia. Absolutnie nie zgadzam się

ze zdaniem, że robotnik fizyczny posługuje się swym językiem jak kaleka szczudłem.

A już twierdzenie że ,,i to we wszystkich społeczeństwach'' jest stanowczo przesadą. Znam wielu robotników bardzo a bardzo wymownych. Środowe zebrania naszej unii stają się często popisową areną mówców. Ostatnio nawet musieliśmy ograniczyć czas przemawiania, gdyż zebrania przeciągały się zbyt długo, właśnie dzięki temu krasomówstwu.

Pytania pana Miłosza co do stosunków w fabrykach będących wynikiem panującego w tych fabrykach bałaganu, dotyczą raczej stosunków w Kraju niż tu. W Kanadzie robotnik fizyczny jest bardziej chroniony przed samowolą kierownictwa fabryki niż tak zwany biało-kołnierzykowiec. Tak zwany pracownik umysłowy może być ze swej pracy zwolniony za tygodniowym, lub dwutygodniowym wymówieniem. Wystarczy by wpadł w niełaskę szefa.

Za robotnikiem stoi jego unia. Prowadziłem kiedyś przeszło pół roku wojnę ze swym formanem, który nie lubił *bloody foreiner'ów*. Ostatecznie wdała się w to unia. W rezultacie forman nie jest już formanem, a ja jak pracowałem, tak i pracuję.

Nie wiem jak jest w Kraju. W Kanadzie unie są potęgą. Są wśród nas robotnicy bardziej lub mniej lubiani przez zarząd fabryki, ale gdy przychodzi do zwolnień — decyduje o tym wyłącznie starszeństwo i biuro personalne układa listy w ścisłym porozumieniu z unią.

Właśnie miesiąc temu zaczęliśmy pracować o pół godziny krócej (za też same co i przedtem zarobki). Zarząd fabryki chciałby te pół godziny skrócić w ten sposób, że czas pracy zacznie się o pół godziny później. Unia zarządziła głosowanie i robotnicy wypowiedzieli się za tym, by zaczynać o tej samej godzinie, lecz kończyć o pół godziny wcześniej. Zarząd musiał ustąpić. Unie mają oczywiście i swe strony ujemne — jednak każdy nie uprzedzony musi się zgodzić, że znacznie więcej mają stron dodatnich. Nie ostatnią z nich jest to głębokie poczucie robotniczej solidarności i koleżeństwa, które wyrasta ze świadomości należenia do potężnej organizacji, ze świadomości, że choć samemu nie znaczy się zbyt wiele, to jako członek organizacji jest się cząstką potężnej siły.

Koleżeństwo pracy jest jedną z dodatnich stron pracy fizycznej. Jest ono znacznie silniej rozwinięte wśród robotników niż wśród pracowników umysłowych. Może po prostu dlatego, że wśród nas jest mniej współzawodnictwa o awans, mniej dbamy o łaskę lub niełaskę przełożonych — no i bardziej jesteśmy zależni od swych współpracowników w drużynie. Praca zespołowa jest codziennym chlebem. Ta zespołowa praca kazała mi zrewidować kilka swych wyniesionych jeszcze ze ,,Starego Kraju'' poglądów i uprzedzeń. Lubię — na przykład — Francuzów, a niecierpię Niemców. Ale pracować wolę z Niemcem. Wiem, że mogę na nim polegać.

Ciekawe, że Polacy, którzy w Kraju pracują raczej niezbyt wydatnie, tu, w Kanadzie (tak samo i w USA), mają opinię najlepszych robotników. Mówiąc stylem wojskowym, posiadamy drugą lokatę, zaraz po Niemcach. Daleko przed Skandynawami i Anglikami, których nam ongiś w Kraju stawiano za wzór i przykład. Znam masę wypadków, gdy Polak zwolniony z pracy z powodu małego starszeństwa (zwolnienia, jak już wspomniałem odbywają się na podstawie starszeństwa), już po paru tygodniach, pod tym lub innym pozorem był przyjmowany ponownie do pracy.

Nie chciałbym, by to co piszę, było uważane jako chęć zbijania twierdzeń pana Miłosza. Do zajęcia takiego stanowiska nie mam ani powodów, ani danych. Pan Miłosz pisze raczej o pracy w Kraju — ja o pracy w Kanadzie. Piszę, bo sam autor artykułu „Literatura Pracy" zwraca się do rozsianych po świecie rodaków, z prośbą by zabrali głos w poruszonej przez Niego sprawie. Pragnę tylko zwrócić uwagę pana Miłosza, że ten dziennikarz, który uważa, że lepiej jest pracować „tam" niż tu, zapomina że :

W fabryce w której pracuję : 93% robotników posiada własny samochód, przy czym 56% posiadanych przez robotników samochodów to są modele z roku 1953-1956. 51% robotników jest właścicielami domów w których mieszka (ja też). 27% robotników posiada własne tak zwane „cabins" w górach lub nad jeziorami, do których jeździ na week-endy i wakacje. Tylko 11% robotników (do tych 11% i ja się zaliczam) nie posiada aparatu telewizyjnego. Co roku udaje się z naszej fabryki wycieczka robotników do Europy i Anglii. Nikt nie subsydiuje tych wycieczek i robotnicy sami opłacają cały koszt włącznie z przelotami przez Atlantyk.

Nie wiem, czy jest jakaś fabryka „tam", która mogłaby się pochwalić podobną statystyką.

Proszę mi wierzyć, że jest szaloną różnicą, czy jedzie się do pracy stojąc w natłoczonym tramwaju lub autobusie — czy też jedzie się do pracy wygodnie własnym samochodem. Również stanowi różnicę, czy po pracy wraca się do robotniczych mieszkań w dzielnicy slumsów, czy do pięknego domku w ogródku.

O ile dobrze zrozumiałem, pan Miłosz twierdzi, że praca fizyczna jest złem od którego każdy ucieka.

Ja powiedziałbym inaczej :

Złem jest każdy wyzysk i ucisk. Złem jest każda praca źle płatna. Złem jest praca, która nie zapewnia robotnikowi pełnego, ludzkiego standardu życia.

Bolesław POMIAN

Nieznana inicjatywa Piłsudskiego

Profesor Roman Smal-Stockij wystąpił na łamach nowojorskiego dziennika ukraińskiego „Swoboda" z rewelacjami na temat swojego pośrednictwa w sporze polsko-litewskim ujawniając nieznany epizod wysiłków Józefa Piłsudskiego w kierunku uregulowania stosunków z Litwą.

Prof. Smal-Stockij wyjaśnia, że opisuje ten epizod na skutek dialogu polsko-litewskiego na łamach „Kultury":

„Znane czasopismo polskiej emigracji „Kultura", ukazujące się w Paryżu, które w należytym tonie omawia również zagadnienia ukraińskie, otworzyło swe szpalty dla dyskusji na temat stosunków polsko-litewskich". Do tej dyskusji włącza się głos ukraiński, jednego z czołowych ukraińskich działaczy niepodległościowych. Autor przypomina stosunki między obu państwami, raczej ich całkowity brak, zaznaczając iż układ między tymi narodami nie może być dla Ukraińców, jako sąsiadów zarówno Polski jak i Litwy i Białorusi, obojętny. „Sprawa ich wzajemnych stosunków stanie się dla nas prędzej czy później ważnym zagadnieniem. Dlatego też pragnę z tej okazji wypełnić stronę z historii dyplomacji UNR w latach dwudziestych chcę przekazać kilka wspomnień związanych ze stosunkami litewsko-polskimi, jako materiał dla naszej historii i współczesnej polityki".

Autor przypomina, że w czasie przewrotu majowego w 1926 roku na czele UNR jako następca Szymona Petlury stał Andryj Liwickyj, premierem był Wiaczesław Prokopowycz, ministrem spraw zagranicznych Aleksander Szulgin. Prof. Smal-Stockij zajmował stanowisko wiceministra spraw zagranicznych, a po przewrocie majowym wyznaczony został na posła-łącznika przy nowym rządzie polskim.

„Pod osobistym przewodnictwem prez. Liwickiego odbyła się konferencja z wyznaczonymi piłsudczykami, a do mnie należało wyjaśnienie im podstawowych koncepcji polityki zagranicznej UNR. Jeszcze w okresie swojego posłowania w Berlinie, gdzie posłowie Ukrainy, Gruzji, Białorusi i Armenii odbywali tygodniowe konferencje tworząc wspólny front narodów ujarzmionych przez Moskwę, idea utworzenia wspólnego frontu narodów

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

ujarzmionych pod przywództwem Ukrainy, zyskiwała coraz więcej zwolenników. Autor wywodzi, że w latach 1923-1924 w Londynie zainteresował tą sprawą polityków, wojskowych i dziennikarzy wspomnianych narodów i stale wskazywano na stosunki litewsko-polskie, jako na zasadniczą przeszkodę w wytworzeniu wspólnego frontu. ,,Nie bacząc na śmiertelne zagrożenie Litwy i Polski przez czerwoną Moskwę oba te narody nie potrafiły stworzyć wspólnego frontu, nie umiały rozbudować go poprzez Łotwę, Estonię aż do Finlandii. Ten stan rzeczy podrywał wszelką wiarę Zachodu nie tylko w zmysł państwowy tych narodów, lecz i w realną wartość wszystkich narodów ujarzmionych przez Moskwę i ich idei wspólnego oporu wobec czerwonej Rosji i jej nowego imperializmu. Nie owijając niczego w bawełnę, za zgodą prez. Liwickiego, przedstawiłem na konferencji z piłsudczykami w obecności naszego ministra spraw wojskowych Włodzimierza Salskiego oraz Mikołaja Kowalskiego, Ewgena Łukaszewycza i innych całą sprawę oraz podkreśliłem iż to zagadnienie stanowi największą trudność naszej zagranicznej polityki, drugą zaś to sprawa Ukraińców, znajdujących się w granicach Polski, sprawa ukraińskiego uniwersytetu i autonomii dla wschodniej Galicji i Wołynia. Polskim rzecznikiem był Tadeusz Hołówko, urodzony w Turkestanie, socjalista, który często na łamach ,,Robotnika" bronił Ukraińców przed endekami".

Prof. Smal-Stockij z uznaniem mówi o znajomości i zrozumieniu przez Hołówkę zagadnień narodowościowych, ich roli w walce z bolszewizmem, zaznacza iż Hołówko miał zawsze wolny wstęp do Piłsudskiego, który ,,używał go często jako swojego osobistego łącznika do prez. Liwickiego".

,,Dojście do władzy Piłsudskiego, niedawne zabójstwo Sz. Petlury, fakt iż następcą jego został Andryj Liwickij, sygnatariusz warszawskiego układu zaktualizowało nagle całe zagadnienie ukraińskie..." Nominacja Hołówki na stanowisko naczelnika wydziału wschodniego w MSZ nie pozostała bez wrażenia na Ukraińców. Autor wywodzi że prasa niemiecka zamieszczając z okazji przewrotu na Litwie z dnia 17 grudnia 1926 roku informacje biograficzne o Waldemarasie doniosła, że podczas konferencji pokojowej w Brześciu posiadał on ukraiński paszport dyplomatyczny, co odpowiadało rzeczywistości. ,,Po kilku dniach, pewnego wieczora przybył do mnie Hołówko zabrał mnie do prezydenta Liwickiego i poprosił, bym wyjechał w imieniu UNR do Kowna celem przekazania Waldemarasowi propozycji załatwienia sprawy wileńskiej. Hołówko zobowiązał nas do zachowania tajemnicy faktu, iż propozycja pochodzi bezpośrednio od Piłsudskiego, ale prosił by zapewnić Waldemarasa, że jest szczera i bliska Marszałkowi. Propozycje przedstawione przez Hołówkę zamykały się w następujących punktach: Polska wyrazi zgodę, by Wilno stało się ,,kondominium Polski i Litwy", by do Wilna przeniósł się rząd litewski i uniwersytet. Warunkiem przedwstępnym miałoby być natychmiastowe nawiązanie normalnych stosunków dyplomatycznych, uruchomienie komunikacji kolejowej i otwarcie ruchu pogranicznego". Liwickij wahał się lecz naciskany przez Hołówkę zgodził się na misję prof. Smal-Stockiego. Do Kowna wyjechał on w styczniu przez Gdańsk-Królewiec. Po telefonicznej rozmowie konsula litewskiego w Królewcu z premierem Waldemarasem prof. Smal-Stockij uzyskał wizę a w Kownie czekał na niego zarezerwowany pokój w hotelu

„Continental". Tegoż samego dnia o godzinie 10-ej wieczór przybył po niego wóz premiera.

„Po kilku minutach zjawił się Waldemaras i przeprowadził mnie do swojego gabinetu. Wymieniwszy normalne dyplomatyczne uprzejmości i przekazawszy ukłony naszego prezydenta i rządu UNR, oświadczyłem mu otwarcie, że obecny stan stosunków litewsko-polskich przynosi szkodę sprawie wyzwolenia narodów ujarzmionych przez Moskwę i że ten stan rzeczy stanowi w gruncie rzeczy wodę na młyn moskiewski. Rząd UNR był sojusznikiem Polski w okresie rządów Piłsudskiego w 1920 roku a obecnie Piłsudski znowu powrócił do władzy. Czynniki UNR posiadając stosunki z nowym rządem Polski stwierdziły, że istnieje obecnie odpowiednia sytuacja dla uporządkowania litewsko-polskich nieporozumień. Po tym wprowadzeniu przekazałem mu wspomniane propozycje. Około północy powróciłem do hotelu..."

Ranek prof. Smal-Stockij spędził na wędrówce po mieście, która przekonała go, że w Kownie mieszką mnóstwo Polaków. „Po obiedzie znowu zaprosił mnie do siebie Waldemaras informując mnie, iż po naradzie z prezydentem Smetoną, nie uważa propozycji „kondominium" za dostateczną podstawę do rozmów, jakoże Wilno jest ich konstytucyjną stolicą". Prof. Smal-Stockij przypomina sobie dalej, że Waldemaras był w wysoce optymistycznym nastroju odnośnie możliwości realizacji pretensji litewskich, był pewny poparcia Niemiec, Włoch, Ligi Narodów. Prof. Smal-Stockij nie był zachwycony Waldemarasem i nie szczędzi mu krytycznych uwag. Określa go jako profesorskiego gadułę, który każdą rozmowę rozpoczynał od „prawa rzymskiego".

„Tak więc skończyła się moja misja. Niezgoda polsko-litewska była nieszczęściem dla wszystkich narodów bałtyckich, nie zdołały one wobec tego skonsolidować bałtyckiego skrzydła dawnych kolonii rosyjskich od Polski aż do Finlandii i stworzyć silnego sojuszu obronnego przeciwko nowej, czerwonej Rosji".

Zdaniem autora „niezgoda litewsko-polska była nieszczęściem dla wszystkich narodów ujarzmionych przez Moskwę a dla Polski i Litwy stała się jedną z desek do trumny ich niepodległości".

W końcowych uwagach prof. Smal-Stockij stwierdza, że do 1938 roku wielokrotnie bywał w Wilnie i studiował dokładnie to zagadnienie, wówczas, etnograficznie, obraz przedstawiał mu się następująco: „miasto było żydowskie, ze sławnym kulturalnym ośrodkiem, drugą grupę narodowościową stanowili Polacy a Litwinów mieszkało 6.-7.000 (są to dane litewskie); litewskie terytorium etnograficzne podchodziło do Wilna z zachodu na odległość około 20 klm., podczas gdy całe Wilno otoczone było etnograficznie białoruskim terytorium... Wiele miast znałem w Europie, ale Wilno jest jedyne. Tam krzyżowały się narody: Litwini, Polacy, Białorusini, Żydzi, Tatarzy; wyznania: katolicyzm, prawosławie, judaizm, islam; to skrzyżowanie kultur i architektury! To wszystko nadawało temu miastu jakiś dziwny czar a u Ukraińca wywoływało jeszcze wspomnienia o pobycie w Wilnie Tarasa Szewczenki".

Kończąc stwierdzeniem że ani Polska ani Litwa nie posiada Wilna, tylko Rosja prof. Smal-Stockij wskazuje na konieczność wyciągnięcia przez emigrację należytych wniosków. Należałoby już teraz przyjąć zasadę że

wszystkie sporne zagadnienia graniczne załatwione będą w drodze plebiscytów, przeprowadzonych przez międzynarodową kontrolę. Pytaniem „Czy emigracja narodów ujarzmionych przez Moskwę, znajdująca się w Ameryce, świadoma jest tych zadań, przed którymi może ich postawić przyszłość ?" — prof. Smal-Stockij kończy swoje uwagi.

Wspomnienie prof. Smal-Stockiego wskazuje niezwykle wyraźnie, że marszałek Piłsudski nie tylko szczerze zmierzał do uregulowania stosunków z Litwą, że skłonny był na daleko idące ustępstwa lecz — co jest jeszcze bardziej znamienne — że oceniali to niepodległościowi Ukraińcy. Z relacji tej jasno wynika, że ukraiński rząd emigracyjny pokładał wielkie nadzieje w polityce Piłsudskiego, polityce zmierzającej do poparcia ruchów wyzwoleńczych narodów ujarzmionych przez imperializm sowiecki. Stanowisko Litwy — niestety, jak to jasno przedstawia prof. Smal-Stockij, zaważyło ujemnie na biegu wypadków.

(*beh*)

Jeszcze o lotnictwie we Wrześniu

W artykule zamieszczonym pod powyższym tytułem w numerze 1/99 „Kultury" gen. Rayski występuje przeciwko wydawnictwu „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej" (Tom I, Część I) z szeregiem zarzutów mających wykazać, że lotnictwo polskie nie jest w nim należycie uwzględnione.

Zarzuty te są przedwczesne. Generał Rayski krytykuje część wydawnictwa, która się jeszcze nie ukazała.

Oto bowiem sprawy lotnicze zostały — na żądanie lotnictwa — wydzielone z całości w osobny dział, który umieszczony będzie (podobnie jak i sprawy morskie) w ostatniej części I-go Tomu. Zostało to zaznaczone we wstępie do Części I (str. XII). Jeżeli mimo to liczne wzmianki o lotnictwie musiały znaleźć się w opublikowanych już częściach I Tomu to dlatego, że ówczesne lotnictwo polskie było jeszcze częścią składową wojsk lądowych : było łącznie z nimi administrowane, a w toku kampanii współpracowało z nimi jak najściślej. W tym stanie rzeczy całkowite jego pominięcie w omawianej książce dawałoby obraz zniekształcony i fałszywy, zarówno w dziedzinie przygotowań do wojny jak i w samych działaniach. Z drugiej strony jednak wobec koncepcji osobnego działu lotniczego, ograniczono się w ogłoszonych dotychczas częściach do ujęcia spraw lotniczych jedynie całkiem ogólnie, przy czym niemal wszystkie ustępy odnoszące się do lotnictwa zaopatrzono w uwagi stopo-

we, odsyłające czytelnika do działu lotniczego, na wypadek, jeśli by wzmianka umieszczona we wstępie była przeoczona lub źle zrozumiana.

Osobny dział lotniczy opracowany został jeszcze w roku 1947 przez oddzielną komisję składającą się z oficerów lotnictwa. Oczywiście ujawniające się od tego czasu źródła i opracowania będą dodatkowo uwzględnione.

Na tym wyjaśnieniu można by właściwie zakończyć na razie dyskusję, gdyby gen. Rayski w artykule swym ograniczył się do spraw lotniczych. Tak jednak nie jest. Wysuwa on również cały szereg zarzutów natury ogólnej, tak co do treści książki jak i co do zastosowania metody, i wysnuwa z nich daleko idące wnioski ogólne. To zmusza nas do odpowiedzi.

Większość merytorycznych zarzutów gen. Rayskiego dotyczy dziedziny *spraw gospodarczych i finansowych.*

Otóż chcemy podkreślić, że omawiane wydawnictwo nosi tytuł ,,Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej'', a tytuł Tomu I brzmi: ,,Kampania wrześniowa''. Nie jest to zatem ani ogólna ,,Historia Polski'' w okresie dwudziestolecia niepodległości, ani też ,,Historia gospodarcza Polski'' lub ,,Historia skarbowości polskiej'' w tymże okresie. Jest to opracowanie sztabowe, którego zasadniczą treścią są sprawy militarne. W tamtych dziedzinach specjalnych nie jesteśmy kompetentni. Potrzebny tu jest podział pracy.

Część I Tomu I-go ma charakter wstępny i nosi tytuł ,,Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną''. Oczywiście są w niej uwzględnione również elementy gospodarcze i finansowe, tak ważną odgrywające rolę. Jednakowoż działy te nie są dotąd jeszcze w literaturze powojennej opracowane przez fachowców, a równocześnie źródła w tej dziedzinie, dostępne na emigracji, są niezmiernie skąpe. W rezultacie przedstawiamy polski wysiłek zbrojny, w ramach tych środków, jakie gospodarka polska faktycznie postawiła do dyspozycji na ten cel — i w związku z tym w całokształcie potencjału wojennego Polski czynniki ludnościowy i gospodarczy, a w szczególności finansowy i przemysłowy, zostały podane jedynie w formie zwięzłego zestawienia istotnych danych konkretnych, ilustrujących faktyczny stan rzeczy przed wojną.

Co więcej stwierdzić trzeba z całym naciskiem, że Część I — zgodnie ze swym tytułem — daje tylko tło dziejowe kampanii wrześnowej, a nie jest bynajmniej ,,Historią wojska polskiego'' w dwudziestoleciu niepodległości. I miejsca na to nie ma i materiału źródłowego brak. Źródła aktowe do tego okresu nie są dla nas dostępne (z publikacji krajowych wynika, że co najmniej znaczne ich fragmenty zachowały się w kraju). Źródła relacyjne są fragmentaryczne i ogólnikowe. W największej mierze odnosi się to do działu administracji wojska i w tej właśnie dziedzinie trzeba było zadowolić się stwierdzeniami ogólnymi oraz przytaczaniem cyfr globalnych i przybliżonych.

W takim ustosunkowaniu się do spraw gospodarczych, finansowych i administracyjnych idziemy za wzorem innych opracowań sztabowych, dawnych i nowych. Świeżo ukazało się opracowanie sztabowe brytyjskie „Royal Air Force 1939-1945" (w trzech tomach). Przedwojenne przygotowania lotnicze Wielkiej Brytanii są tam ujęte na 39 stronach. Oczywiście nikomu nie przyszłoby na myśl szukać w tej publikacji odpowiedzi na takie pytania, jak na przykład z jakich źródeł była finansowana rozbudowa lotnictwa brytyjskiego lub jaka była technika wykonywania budżetu lotniczego.

W artykule swym gen. Rayski kilkakrotnie z oburzeniem stwierdza, że w książce *nie ma oceny* wypadków i ludzi. W szczególności na stronie 111 — mając wyrobiony własny sąd o swych przełożonych z okresu przed wojną — zapytuje: „Gdzież jest właściwa ocena tej głupoty przez historyków w tyle lat później?"

Widocznie przeoczył we wstępie do Części I ustęp, z którego dowiedziałby się, że oceny osób i wypadków w niej nie znajdzie.

Podajemy fakty w ich przyczynowym związku, a więc stwierdzamy co zrobiono i co z tego wynikło. Przypuszczeń unikamy, a jeśli wyjątkowo uciekamy się do nich, aby nie zrywać zbyt często łańcucha powiązanych ze sobą faktów — to wyraźnie zaznaczamy, iż w danym wypadku chodzi o przypuszczenie. Tak samo przedstawiamy jedynie działalność ludzi i instytucji w jej zasadniczych przejawach i wynikach — oczywiście na tle okoliczności — a nie dajemy ani oceny tej działalności ani też charakterystyki osób.

Ocenę faktów i osób traktujemy jako stadium dalsze, które z książki naszej zostało *świadomie wyłączone*, zgodnie z praktyką stosowaną często w historii najnowszej, a niemal zawsze w wydawanych wkrótce po wojnach opracowaniach sztabowych. Na razie więc — w obecnym stadium — chodziło o odtworzenie ze źródeł podstawy faktowej. Przyszli historycy rozpracują na tej podstawie sprawy personalne i z odleglejszej już perspektywy ocenią całość wydarzeń.

Czytelnicy zostali uprzedzeni o takim postawieniu sprawy we wstępie do Części I (strona XVI).

W związku z powyższą sprawą gen. Rayski wytyka nam, że nie wykrywamy *inspiracji* nieprzyjaciela w różnych dziedzinach życia politycznego i gospodarczego Polski.

Nieprzyjacielska dywersja przez infiltrację w nasz organizm państwowy i przez inspirację zwłaszcza na terenie przemysłu zbrojeniowego niewątpliwie istniała, gdyż stosuje się ją wszędzie. Są też dane (ze strony niemieckiej), że na rzecz Niemiec pracowała pewna ilość polskich oficerów.

Niestety jednak o tym wszystkim nie mamy *konkretnych* wiadomości. II-gie oddziały nie publikują archiwów i nie lubią składać dokładniejszych relacyj w tych sprawach. Pozostają

więc tylko domysły i poszlaki, najczęściej w formie podejrzeń personalnych. Otóż podejrzeń takich w źródłach nie brak, ale dowodów brak. Można więc na ten temat snuć przypuszczenia, ale nie można na razie stwierdzić faktów. Toteż dziedzina ta ujęta jest w naszym opracowaniu tylko całkiem ogólnie z naciskiem na dywersję niemiecką w terenie, o której mamy wiadomości konkretne (patrz Cz. I str. 438, Cz. II str. 335 i 732).

Tyle co do ogólnej strony merytorycznych zarzutów gen. Rayskiego. Rozpatrzymy teraz jego zarzuty szczegółowe:

1. Sprawa przestawienia przemysłu zbrojeniowego (w ogóle — nie specjalnie przemysłu lotniczego) na produkcję wojenną bynajmniej nie jest w książce przemilczana.

Rozstrzygającą rolę w tej sprawie odegrały względy natury zewnętrzno-politycznej i sytuacja gospodarcza kraju. Dlatego poglądy ówczesnych czynników miarodajnych dotyczące tej sprawy podajemy — oczywiście ogólnie tylko i bez ich oceny — w rozdziale I przedstawiającym ,,Rozwój położenia politycznego Polski" przed wojną (strona 63).

W dziale lotniczym sprawa ta będzie dodatkowo omówiona w odniesieniu do przemysłu lotniczego.

Również motywy częściowej mobilizacji w marcu 1939 roku (4 dywizje piechoty i jedna brygada kawalerii) nie są przemilczane. Przedstawiono je wyczerpująco na stronie 289. Chodziło o zapewnienie osłony. Niezdolność wojska na stopie pokojowej do zadań osłonowych przedstawiono na stronie 150 i następnych.

Gen. Rayski dopytuje się, gdzie są rozkazy zarządzające mobilizację lotnictwa i stwierdza, że ich w książce nie ma. I to nie odpowiada rzeczywistości. Oczywiście całość mobilizacji lotnictwa przedstawiona jest w dziale lotniczym, jednak o zasadniczym rozkazie zarządzającym alarmową mobilizację lotnictwa (która obejmowała całą bojową jego część), jest mowa na stronie 402.

2. Tak zwana *pożyczka lotnicza* (używano na nią skrótu P.O.P.P., co oznaczało — zdaje się —,,Pożyczka na obronę powietrzną państwa") była fragmentem akcji finansowania planu rozbudowy sił zbrojnych. Brak konkretnych danych źródłowych o jej losach i nie wiemy w jakiej mierze została ona zrealizowana. Relacje organów administrujących rezerwą zaopatrzenia oraz innych oficerów którzy mogli mieć coś do czynienia z tą pożyczką — nie wyjaśniają sprawy.

Ale i ta sprawa nie jest w książce całkowicie pominięta. Udało się ustalić w przybliżeniu ogólną kwotę, wydaną faktycznie na dozbrojenie z sum pozabudżetowych w roku budżetowym 1939/40 (str. 205 i 206). Jeśli P.O.P.P. została uruchomiona, to wpływy z niej uczestniczą w tej kwocie. Gen. Rayski nazywa przytoczenie wydatków na rezerwę zaopatrzenia w latach 1936-1939 ,,zamydlaniem sprawy pożyczki lotniczej" i domaga się ,,zdania rachunku z tej specyficznej pozycji". Niestety Komi-

sja Historyczna sztabu głównego nie jest w stanie — w ogóle, a tym bardziej przy obecnym stanie źródeł — odegrać roli organu rewizyjnego czy też likwidującego sprawy finansowe władz państwa polskiego sprzed roku 1939 i „zdać z nich rachunku" generałowi Rayskiemu.

W dziale lotniczym uchwalenie P.O.P.P. będzie oczywiście omówione, gdyż sama jej nazwa ilustruje nastawienie społeczeństwa polskiego do spraw, związanych z obroną powietrzną państwa, a w szczególności z lotnictwem.

3. Sprawa *zniszczenia czy niezniszczenia fabryk lotniczych* (i w ogóle zbrojeniowych) oraz prototypów została w rzeczywistości w Części I pominięta. Nie jest to jednak przemilczanie. Przecież rzeczowo i chronologicznie należy ona nie do przygotowań wojennych, lecz do przebiegu kampanii. Będzie o niej mowa w dalszych częściach.

4. Zarzuty odnoszące się do sprawy *sprzedaży sprzętu lotniczego za granicę* są nieuzasadnione z dwóch powodów:

Po pierwsze sprawa ta przedstawiona jest w książce tylko ogólnie, gdyż oczywiście należy ona do działu lotniczego.

Po drugie — ustęp poświęcony tej sprawie jest częścią rozdziału „Rozbudowa potencjału wojennego Polski" (patrz str. 167) i tym samym odnosi się do całego okresu rozbudowy od końca roku 1936, a nie bynajmniej wyłącznie do sprzedaży sprzętu za granicę w ostatnich miesiącach przed wojną — jak to przedstawia w swym artykule gen. Rayski i na czym właśnie opiera swe zarzuty.

W ustępie tym wcale nie próbujemy nadać tej sprawie „pozorów przemyślanej konieczności", a jedynie referujemy stwierdzone w źródłach założenia, na podstawie których w okresie rozbudowy część sprzętu wojennego wyprodukowanego w Polsce, postanowiono sprzedawać za granicę (chodziło o zdobycie dewiz na zakup surowców za granicą i utrzymanie fabryk w ruchu). Są to właśnie te założenia, na zasadzie których także i gen. Rayski w roku 1938 eksportował na Bałkany sprzęt lotniczy polskiej produkcji — w tym także nowoczesne samoloty myśliwskie P.24 — w przeświadczeniu, że Polska była wówczas tak dalece nie zagrożona, iż jej lotnictwo myśliwskie mogło jeszcze przez czas dłuższy posiadać samoloty przestarzałe, oraz uważając, że jeśliby coś zaszło, to zawsze jeszcze będzie dość czasu na wyprodukowanie nowoczesnego sprzętu i przezbrojenie eskadr (patrz co do tego: książka gen. Rayskiego „Słowa prawdy o lotnictwie polskim", str. 45-7).

W dziale lotniczym cała ta sprawa jest omówiona szerzej i ilustrowana tabelą, na której uwidoczniono daty i ilości eksportowych samolotów w latach 1938-1939 oczywiście aż do ostatnich miesięcy przed wojną.

Również i sprzedaż dział przeciwlotniczych 40 mm. oparta była na tych samych założeniach, przy czym wyzyskano tę okoliczność, że Anglicy kupowali same tylko działa bez amunicji.

Przedstawienie gen. Rayskiego także i w tym wypadku nie jest ścisłe. Przytoczone przez niego z omawianej książki cyfry produkcji dział 40 mm. i amunicji odnoszą się właśnie do ostatnich miesięcy przed wojną, kiedy już tylko co czwarte działo wychodziło z produkcji bez amunicji (innymi słowy do pełnej wojennej dotacji każdego działa wówczas produkowanego — wynoszącej 3.000 pocisków — brakowało 700 pocisków). Ale w poprzednich latach produkcja amunicji rozkręcała się powolniej niż produkcja dział, skutkiem czego stosunek wyprodukowanych dział i pocisków był znacznie gorszy. W rezultacie mimo sprzedaży części dział bez amunicji do Anglii, wytworzył się w tym początkowym okresie produkcji duży niedobór do teoretycznego zapasu wojennego amunicji. Niedobór ten zmniejszał się tylko powoli. Ponieważ zaś teoretyczny zapas wojenny (3.000 pocisków) obliczony był bardzo skromnie, przeto niedobór wynoszący około jedną trzecią normy nie był wówczas uważany za drobnostkę.

Oczywiście niedobór ten mógłby być wyrównany, gdyby przemysł wojenny był wcześnie przestawiony na produkcję wojenną. Ale tego nie zrobiono i — jak już wyżej zaznaczyliśmy — czytelnik wie o tym z Rozdziału I.

Nie mamy szczegółowych danych odnoszących się do eksportu dział przeciwlotniczych do Anglii. Wiadomo jednak, że ostatni transport (kilka dział bez amunicji i przyrządów celowniczych) zatrzymano w Gdyni w drugiej połowie sierpnia 1939. Były one użyte w obronie wybrzeża. Jest o tym mowa w dziale dotyczącym spraw morskich.

5. Gen. Rayski twierdzi, że przedstawiamy fałszywie współpracę dowództwa lotnictwa M.S. Wojsk. ze sztabem głównym *w planowaniu rozbudowy lotnictwa,* gdyż w związku z ograniczoną kompetencją dowództwa lotnictwa współpraca ta polegała jedynie „na zestawieniach cyfr, terminów i możliwości". Otóż pisząc o ścisłej współpracy obu czynników mieliśmy przede wszystkim na myśli nie co innego, jak współpracę w ramach kompetencji tychże czynników, a więc to samo co przyznaje generał Rayski. Są też dane, że szefowie departamentów i dowódcy broni M.S.Wojsk. — a zatem także i dowódca lotnictwa — brali udział w dotyczących ich specjalności posiedzeniach, generalskiego „Komitetu Spraw Uzbrojenia i Sprzętu", gdzie zapadały zasadnicze decyzje w sprawach rozbudowy sił zbrojnych.

Skoro gen. Rayski stwierdza, że współpraca ta nie była ścisła, to oczywiście wiadomość ta będzie uwzględniona w dziale lotniczym.

Gen. Rayski biada, że nie piszemy o „wielkich omyłkach w planowaniu finansowym" rozbudowy sił zbrojnych i wytyka nam, że nie podajemy ani daty ani treści rozkazu rozciągającego ten plan z czterech lat na przeciąg lat sześciu.

Otóż o ile chodzi o finansowanie planu rozbudowy sił zbrojnych, to stwierdzić musimy, iż zdołaliśmy ustalić i podajemy w omawianej książce jedynie rzeczy najistotniejsze i to — o ile chodzi o cyfry — tylko w przybliżeniu. Podajemy więc, że koszta realizacji planu miały wynosić 6 miliardów złotych, że miały one być pokryte częścią z budżetu M.S.Wojsk. (dział rezerwy zaopatrzenia), a częścią z wpływów pozabudżetowych o charakterze dochodów niestałych (pożyczki, dary, sprzedaż sprzętu za granicę, dotacje specjalne ministra skarbu), że początkowo „przewidywano" realizację planu w ciągu czterech lat; że wpływy niestałe od początku zawodziły, że w związku z tym rozciągnięto realizację na sześć lat i w końcu, że do wybuchu wojny, a więc w ciągu pierwszych dwóch i pół lat wydatkowano w ramach planu około 1.400 milionów na rezerwę zaopatrzenia oraz na nie dającą się obecnie uchwycić sumę na rozbudowę pokojowej organizacji sił zbrojnych w latach 1937-1939 (przedstawioną na stronie 192 i następnych). Oto wszystko.

Nie wiemy czy wyszedł rozkaz o rozciągnięciu planu na sześć lat, czy też może rozciągnięcie to dokonywało się automatycznie przez doraźne redukowanie zamierzeń i dostosowywanie ich do rzeczywistych wpływów. Gen. Rayski chciałby, żebyśmy rozważali, czy w tych warunkach nie należałoby raczej „planu odwołać". To pewne, że ludzie zajęci realizacją planu pracowali pod ciśnieniem bardzo ciężkiej rzeczywistości i może nieraz myśleli czy nie lepiej zrezygnować ze wszystkiego. Ale nie zrezygnowali, a my piszemy o tym co było, a nie o tym do czego nie doszło.

Zdajemy sobie oczywiście sprawę z tego, że byłoby dobrze, gdybyśmy mogli napisać o finansowej stronie planu rozbudowy sił zbrojnych znacznie więcej. Nasuwa się tu cały szereg zagadnień — zdaje się — o wiele większej wagi, aniżeli te, które porusza gen. Rayski. Przytaczam kilka z nich: Jaki był stosunek planu rozbudowy sił zbrojnych do ogólnego planu inwestycyjnego, realizowanego równocześnie przez ministra skarbu — w ogóle, a zwłaszcza na odcinku rozbudowy przemysłu, gdzie obydwa te plany musiały się zazębiać? Czy plan rozbudowy sił zbrojnych był planem w skali państwowej, czy też tylko planem o charakterze wojskowo-sztabowym? Jakie były rzeczywiste możliwości sfinansowania obu planów i dlaczego przewidywania zawiodły? Czy kolejne pogotowia wojenne wileńskie, zaolziańskie, karpato-ruskie, o których piszemy w Rozdziale I — a o których zupełnie nie wiemy jak były finansowane — i w końcu także osłonowe pogotowie przedwojenne, wywarły wpływ na realizację planu rozbudowy, a jeśli tak, to w jakim stopniu? I wreszcie — czy i w jakiej mierze w ramach gospodarki M.S.-Wojsk i sztabu głównego wyzyskane zostały wszystkie środki finansowe, jakie ostatecznie postawiono instancjom tym do dyspozycji?

Wszystkie te zagadnienia wymagają jednak monograficznego opracowania przez fachowców, a wyniki ich w zwięzłym ujęciu wejdą niewątpliwie do przyszłych prac historyczno-wojskowych. My byliśmy w tej sprawie — i nie tylko w tej sprawie — w położeniu, w jakim często bywają historycy czasów najnowszych: w braku monografii fachowych musieliśmy sami sięgnąć doraźnie do obcego nam materiału źródłowego dziedzin postronnych — w dodatku nader szczupłego i fragmentarycznego — a następnie bardzo uważać, aby podać czytelnikom raczej mniej, a zgodnie z prawdą, aniżeli więcej, a nie fachowo i fałszywie.

Gen. Rayski ma nam to za złe i uważa, że tuszujemy prawdę.

Z kolei przystępujemy do zarzutów gen. Rayskiego tyczących *metody* zastosowanej w omawianej książce.

1. Pierwszy z nich dotyczy *„omijania"* przez nas *źródeł*. Gen. Rayski twierdzi, że nie uwzględniliśmy materiałów zebranych przez „Komisję do badania przyczyn klęski wrześniowej". Jest on w błędzie, gdyż materiały te zostały przez nas wyzyskane.

2. Gen. Rayski gromi nas za *brak wyczucia co jest ważne* a co nieważne i pokpiwa sobie, że „rozwodzimy się nawet nad kolorami kartek mobilizacyjnych", gdy jego zdaniem „sprawy lotnictwa są najważniejsze". Niestety rzeczywistość roku 1939 była inna. Wiadomo że lotnictwo było w Polsce niedoceniane. Będzie o tym mowa w dziale lotniczym. Specjalnie lekceważona była skuteczność bombardowania lotniczego, czego najlepszym dowodem są wielkie skupienia urządzeń lotniczych na Okęciu i w Dęblinie. Ale gdyby nawet doceniano lotnictwo należycie, to w ówczesnych warunkach niemożliwe było w Polsce stworzenie go w takich rozmiarach, aby było ono w stanie i osłonić wnętrze kraju przed lotnictwem niemieckim i powstrzymać kolumny niemieckie, wjeżdżające przez otwarte granice do Polski. Nie było między Polską i Niemcami Kanału La Manche i zdaje się, że w tych warunkach izolowana w powietrzu „battle of Poland" nie była aktualna. Niewątpliwie lotnictwo polskie mogło być silniejsze i gdyby tak było, mogłoby ono w pewnych momentach pokusić się o ukrócenie bezwzględnego panowania Niemców w powietrzu. Dlatego było bardzo ważne — i dlatego poświęcono mu w naszym opracowaniu osobny dział — ale były i inne rzeczy niemniej ważne.

W rezultacie rzeczywistość była taka, że nawała niemiecka zwaliła się całym swym ciężarem na wojsko lądowe i na nie też spadło całe brzemię klęski. Lotnictwo pomagało dzielnie i ofiarnie, ale walki jego były tylko pięknymi i zaszczytnymi epizodami. Nie bylibyśmy w zgodzie z tą rzeczywistością, jeśli by lwia część „Kampanii wrześniowej" nie było poświęcona sprawom wojska lądowego. Mobilizacja tego wojska, a w szczególności jej technika, była rzeczą bardzo ważną, gdyż — wobec późne-

go rozpoczęcia mobilizacji — jedynie tym właśnie pogardzanym „kartkom" większość naszego wojska zawdzięczała możność zebrania się i stawienia oporu przeciwnikowi. „Kartki" odegrały swoją rolę także i przy mobilizacji bojowej części lotnictwa, a duża część służb lotniczych nie zdołała się zmobilizować właśnie dlatego, że nie była objęta mobilizacją „kartkową".

3. Przez cały artykuł jako zarzut zasadniczy przewija się zarzut *tendencyjności*. Co chwila czyta się o „przemilczaniu", „zamydlaniu", „pomijaniu", „tuszowaniu" prawdy lub o „osłanianiu" czegoś lub kogoś. Równocześnie przez stawianie odpowiednich pytań autor artykułu jak gdyby sugeruje czytelnikowi, że przecież muszą być jakieś ukryte cele takiego obchodzenia się z prawdą, a tu i ówdzie robi na ten temat konkretne domysły. Jednej tylko myśli gen. Rayski nie dopuszcza do siebie: że może być książka bez tendencji.

Wydaje się, że jednym z głównych powodów tego tropienia tendencji — jest przyjęta w omawianej książce zasada wyłączenia z niej oceny wypadków i ludzi, o czym była już mowa na początku. Z wszystkiego wynika, że gen. Rayski ma swój własny wszechstronnie wyrobiony pogląd na sprawy września. Denerwuje go, że my mówimy tylko „jak było", podczas gdy on jest całkowicie przekonany, że wie o wiele więcej, a mianowicie, że powinno było być całkiem inaczej i kto winien, że nie było inaczej. Wytyka nam, że nie przedstawiamy rzeczy w ten sposób, aby czytelnik widział jasno kto zawinił „brakiem zdrowego rozsądku", a kto dał się uwieść „inspiracji wroga". Słowem żąda od książki oceny wypadków i ludzi i to oceny niejako inspirowanej czytelnikowi. Nic dziwnego! Ocena bowiem zespoliła się u gen. Rayskiego z faktami tak ściśle i organicznie, że kto mówi o faktach bez ich oceny, ten — wedle niego — „przemilcza" część faktów lub „koślawi" fakty — mówi „półprawdę" jest szkodnikiem.

Takie zespolenie się faktów wrześniowych z ich oceną jest nam dobrze znane. Występuje ono w olbrzymiej większości źródeł relacyjnych, w opinii publicznej, w prasie, w publicystyce; mamy z nim do czynienia często w głosach prasy o naszej publikacji. Same oceny wydarzeń i ludzi wykazują przy tym różnice bardzo znaczne, ale emocjonalne podłoże skojarzenia się oceny z wydarzeniami wrześniowymi jest we wszystkich wypadkach wspólne. Straszliwy zawód, ból, rozpacz, a nie najmniej uczucie upokorzenia i wstydu po klęsce, wreszcie przeżycia i tragedie osobiste — wpłynęły decydująco na sformowanie się tego nastawienia. W atmosferze porachunków i wzajemnych zarzutów, „niewczesnych żalów i potępieńczych swarów" ugruntowało się ono do tego stopnia, że jeżeli ktoś mówi o wrześniu nie wyrażając opinii o wypadkach i ludziach, to z miejsca jest podejrzany o chęć fałszowania prawdy.

Z nastawieniem takim polemizować niepodobna ze względu na jego irracjonalny charakter.

My jednak stoimy na stanowisku, że właśnie rozerwanie tego zespolenia samych faktów z oceną wypadków i ludzi jest podstawowym warunkiem dotarcia do całej prawdy, a przez nią do sformułowania właściwej, nieemocjonalnej oceny — przy czym *nie przesądzamy* zupełnie, jak ta właściwa ocena wypadnie.

I to jest właśnie celem naszej ,,Kampanii wrześniowej''.

Wykorzystujemy cały dostępny materiał źródłowy historyczno-wojskowy i sporo źródeł z dziedzin postronnych; nie ma mowy o opieraniu się na relacjach ,,wybranych ludzi''. Nigdzie nie piszemy, że ,,wszystko było dobrze'' i nie stwierdzamy, że ,,przygotowania do obrony były bez zarzutu''. Niczego nie tuszujemy. Wychodzimy z założenia, że im cięższe zarzuty wchodzą w grę, z tym większym spokojem i obiektywizmem musi być przedstawiony ich faktyczny podkład. Toteż staramy się dać czytelnikom rzeczywistość przedwrześniową i wrześniową, wydobytą spod grubej warstwy zakorzenionych opinii różnego rodzaju, opartych na emocjonalnych odruchach, naturalnych po wielkiej klęsce. Chodzi nam o to, aby na podstawie ustalonych przez nas faktów czytelnik mógł sobie wyrobić samodzielne — *a nie w jakimkolwiek kierunku suflowane* — zdanie o wypadkach i ludziach września. Jest to praca trudna i na pewno nie uniknęliśmy w niej błędów, ale wykonywaliśmy ją z dobrą wolą i w poczuciu odpowiedzialności.

Gen. Rayski patrzy inaczej na tę sprawę, ale artykuł jego jest dla nas dodatkowym dowodem, że nasze — tradycyjne zresztą w opracowaniach sztabowych — podejście do niedawnych wypadków wojennych jest właściwe, pożyteczne i pilne. Artykuł ten jest bowiem — tak nam się zdaje — drobnym ale dość dosadnym przykładem konsekwencji zaprawiania przeszłości dziejowej emocjonalnymi osądami.

Na zakończenie jeszcze jedna sprawa, niewątpliwie drobna, ale gen. Rayski zdaje się przywiązywać do niej wielką wagę. W dłuższym ustępie zarzuca on nam *podanie* (na stronie 178) *fałszywych danych* stanu liczebnego lotnictwa przed wojną. Otóż w rzeczywistości wszystkie przytoczone tam dane liczbowe są ścisłe z tym tylko, że w jednej liczbie przemknął się błąd drukarski, który jednak poprawiony został atramentem w całym nakładzie. Pomyłka i w tym wypadku jest po stronie gen. Rayskiego, który widocznie nie zauważył, iż na wspomnianej stronie podano *nie* stany rzeczywiste, lecz stany wedle tak zwanej przeciętnej budżetowej, której znaczenie (norma kalkulacyjna) — znane niewątpliwie gen. Rayskiemu jako długoletniemu dowódcy lotnictwa M.S.Wojsk. — wytłumaczono czytelnikom uprzednio (na str. 152). W konsekwencji gen. Rayski nie zrozumiał, że w dodatkowej uwadze (na arkuszu poprawek) bynajmniej *nie prostujemy* danych przytoczonych w tekście, lecz *przeciwstawiamy* stany rzeczywiste lotnictwa stanom budżetowym, a to w tym celu, aby — do czasu ukazania się w druku

działu lotniczego — uniknąć nieporozumień. W dziale lotniczym bowiem sprawa pokojowych stanów liczebnych będzie obszerniej przedstawiona w związku z mobilizacją lotnictwa.

W rezultacie jednak gen. Rayskiemu wystarcza drobny i w dodatku poprawiony odręcznie błąd drukarski do tego, aby ironizować na temat „walorów" książki, poddawać w wątpliwość skrupulatność redakcji i wysuwać także i w tym wypadku sugestywne pytania na temat jakichś ukrytych celów tych urojonych pomyłek.

Cóż robić! Błędy zdarzają się i to nie tylko drukarskie. Sam gen. Rayski w swej cytowanej wyżej książce (str. 33) pomylił się w dodawaniu o dziesiątki milionów złotych (537 milionów zamiast 617 milionów). Błąd ten nie został ani sprostowany ani poprawiony, a natomiast oparto na nim wywody i szczegółowe tabele. Przypomina się przysłowie „medice cura te ipsum".

Na tym kończymy naszą odpowiedź gen. Rayskiemu, który wypowiedziom swoim nadał wyniosłą i kategoryczną formę uwag i żądań jak gdyby fachowo-autorytatywnych oraz orzeczeń nieomylnych i bezapelacyjnych. Czytelnicy „Kultury" sami osądzą, w jakim stosunku forma ta pozostaje do ścisłości, rzeczowości i zasadności wysuniętych zarzutów.

Także i namiętność tonu w artykule gen. Rayskiego ocenią czytelnicy sami. Nie zamyślamy odpłacać się pięknem za nadobne. Gen. Rayski bowiem, jego odezwy, memoriały i jego książka — są to źródła historyczne dużej wagi do spraw przedwrześniowych i wrześniowych. To się zdarza, że źródła zieją namiętnością na wszystkie strony. W danym wypadku trochę tego prysnęło także w stronę redakcji „Kampanii wrześniowej". Mniejsza o to. Jest naszym obowiązkiem do źródeł historycznych podchodzić spokojnie, rzeczowo, beznamiętnie.

A gen. Kukiel — któremu także coś się dostało przy tej sposobności — nie jest i nigdy nie był superredaktorem „Kampanii wrześniowej". Natomiast Komisja Historyczna zwróciła się do niego z prośbą o przejrzenie i krytyczną ocenę całości opracowania z punktu widzenia wymogów nauki historycznej, gdyż jest on w tej dziedzinie autorytetem ogólnie uznanym, mimo że gen. Rayski mianuje go pogardliwie „specem od historii". Za cenne, choć niewiążące, uwagi, Komisja wyraziła gen. Kukielowi podziękowanie w „Przedmowie" do całości wydawnictwa.

Adam SAWCZYŃSKI,
redaktor Tomu I wydawnictwa
„Polskie Siły Zbrojne
w drugiej wojnie światowej".

Dwunastego sierpnia 1952

Roku 1948-go, u schyłku nocy jesiennej, policja sowiecka przeprowadziła szeroko zakrojoną akcję, która położyła kres życiu kulturalnemu miliona ośmiuset tysięcy Żydów — jedynych którzy ocaleli spośród pięciu milionów żyjących przed wojną w stalinowskim imperium. Gdy wzeszło słońce nie mieli już swoich organizacji, szkół ani drukarni, domów wydawniczych, gazet ani teatrów. Aresztowano nauczycieli, pisarzy, dziennikarzy i działaczy na terenach Rosji, Ukrainy i Białorusi, w krajach bałtyckich i na zajętych wschodnich ziemiach Polski. Stało się to w sercu wielkich miast — ale pośród ciszy opuszczonego, wiejskiego cmentarza.

Kiedy w trzy miesiące potem ,,The Forwards'', wielki dziennik robotników żydowskich Nowego Jorku, ogłosił tę niesłychaną wiadomość rozpętano, jak zazwyczaj, kampanię niekończących się oszczerstw, przeciw dziennikowi i tym wszystkim, którzy domagali się ukazania prawdy.

M.W.D. rozprawiło się jedynie z literaturą i prasą w języku żydowskim, toteż ,,Prawda'' (z 28 stycznia 1949) zaatakowała gwałtownie ,,antypatriotyczną grupę krytyków dramatycznych'', a w rzeczywistości pisarzy i dziennikarzy żydowskich piszących po rosyjsku. Dalsze pisma, pomiędzy nimi słynna ,,Litieraturnaja Gazjeta'', przyłączyły się z zapałem do napaści na tych, których piętnowano jako *kosmopolitów bez przodków,* lub *ludzi bez paszportu,* używając ulubionego wyrażenia antysemitów z czasów carskich. Społeczeństwu wyjawiano rzeczy niesłychane : że krytyk Chołodow nazywa się w rzeczywistości Majerowicz, że Malnikow to Mehlman, a Jasny to Finkelstein, i tak dalej.

Żadne natomiast z tych pism nie podało do wiadomości, że Ehrenburgowi na imię wcale nie Ilia, lecz Eliasz i że tenże Eliasz był i jest istnym pierwowzorem ,,kosmopolity bez przodków''. Co prawda autorowi ,,Odwilży'' nie zdarzyło się pomylić w porach roku : do Sowietów przystał dopiero w roku 1921, po wojnie domowej, a do Stalina przekonywał się w miarę jak wzrastała

władza dyktatora. Stalin uczynił go swym *poeta laureatus* i to w tym samym czasie, kiedy rozkazał ,,zlikwidować fizycznie'' bojownika i pisarza tej miary co *Izaak Babel*.

Otóż Ilia Ehrenburg, ambasador Dżugaszwilego od spraw kultury, był pierwszym, który usiłował wyjaśnić nagłe i całkowite zniknięcie literatury żydowskiej w Z.S.S.R. W jego ojczyźnie, twierdził, Żydzi uważali się za Rosjan, chcieli mówić i czytać tylko po rosyjsku. A ponieważ propagandysta zajęty był właśnie ratowaniem pokoju... w Hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku, nie miał więc dosyć czasu, aby przekonać wypytujących go dziennikarzy o tym, że pisarze, którzy w ciągu jednej nocy utracili wszystkich swych czytelników, zasługiwali na to aby ich aresztowano i zgładzono, że ślad po nich nie pozostał. I niewątpliwie wyjaśni się kiedyś rzeczywista rola, jaką w tej sprawie odegrał Ehrenburg. W każdym razie w Rosji krążą pogłoski obciążające go bardzo poważnie.

◆

Przy końcu ubiegłego roku naczelny prokurator moskiewski zawezwał do siebie rodziny owych dwudziestu sześciu pisarzy żydowskich, aresztowanych w 1948, i poinformował ich, pojedyńczo, że nie mają co czekać na powrót ich ojca, męża, syna czy brata: *Dwudziestu sześciu zostało rozstrzelanych dwunastego sierpnia* 1952. Wysoki urzędnik dodał, iż chodzi tu o niesprawiedliwość godną pożałowania, i że zamordowani zostaną zrehabilitowani, jeżeli tylko ich rodziny poczynią w tym kierunku odpowiednie kroki u władz sowieckiej sprawiedliwości.

Nie wróci również czterdziestu pisarzy żydowskich, będących ofiarami tej samej akcji, ponieważ zmarli śmiercią ,,naturalną'', w łagrach Kołymy, Workuty i Karagandy. Ale ci, których pośpiesznie przewieziono do Moskwy na rozwałkę, należeli do rzędu najlepszych poetów, powieściopisarzy, dramaturgów i eseistów. Byli elitą, która wyznacza charakter literatury, panuje nad jej teraźniejszością i zapewnia jej przyszłość. Pisarzy tej samej miary, tylko że nie należących do Partii, lub wręcz stojących w opozycji, zlikwidowano już o wiele wcześniej, w czasie wielkich czystek — podczas gdy większość spośród dwudziestu sześciu, byli to ludzie we wszystkim posłuszni nakazom reżymu; podobnie jak ich koledzy Rosjanie, pieli zachwyty na cześć ,,największego człowieka wszystkich czasów i wszystkich krajów'', i wołali: ,,Na śmierć!'', kiedy tylko tego od nich zażądano. Podobnie jak Rosjanie, zdradzali swych przyjaciół i braci, ilekroć tego wymagała wierność Partii. Pomimo to musieli umrzeć, gdyż nie potrafili zdradzić swej mowy i dzieł nią pisanych.

Hitler i jego wspólnicy, zgładziwszy prawie sześć milionów Żydów ze wschodniej Europy, zniszczyli ogromną większość odbiorców literatury pisanej w jidisz. Stalin, zgładziwszy jej pisa-

rzy, dopełnił dzieła zniszczenia. Morderstwo to nie ma precedensu w dziejach światowego pisarstwa i jest czymś bezprzykładnym nawet w martyrologii Żydów.



Nienawidzę wszelkich uniesień nad grobem. Zabraniam drżeć głosowi memu, gdy opowiada o zbrodniach katów-szalbierzy, o współwinie intelektualistów-agentów i o cierpieniach ich ofiar.

Ale wy, jakże moglibyście spoglądać obojętnie na los literatury, którą zamordowano? Nie znane są wam jej dzieła, ich piękno i wielkość, ich obietnice unicestwione. A przesławne sumienie powszechne śpi snem tak sprawiedliwym, że nie zdołałby go zamącić krzyk zabijanego, gdyby nawet możnym tego świata nie udało się go na czas stłumić.

Jednym spośród dwudziestu sześciu rozstrzelanych był Perec Markisz, najlepszy poeta jidisz naszego pokolenia. Poznałem go po rewolucji, we Wiedniu, a po raz drugi spotkałem go w Moskwie w 1931 roku. Wyglądał tak, jak sobie młodzi wyobrażają płomiennego poetę. Aby móc poznać jego utwory nauczyłem się czytać po żydowsku.

Mówią, że kiedy Markisz oszalał, nie przestawał śmiać się i śpiewać, nawet w chwili gdy lufa dotknęła jego głowy... Obok niego zginął wielki powieściopisarz, Dawid Berglson. Milcząc, patrzył na swych zabójców oczami liczącymi trzy tysiące lat. Ten *kosmopolita bez przodków* wziął jako tytuł swej ostatniej książki słowa swego przodka, psalmisty: ,,Zabity, żyć będę!''. U tego samego autora zapożyczył Berglson swe ostatnie słowa:

,,Ziemio, ach ziemio, nie przykryj mej krwi!''

Manès SPERBER

(Tłumaczył *Marian Pankowski*)

Stanisław Grabowski

W ,,Przeglądzie Kulturalnym'' ukazał się świetny artykuł Joanny Guze o malarstwie sztalugowym i malarzach, częściowo przedrukowany w kwietniowym numerze ,,Kultury'' Rozprawia się w nim ona z modną i naiwną teorią o końcu malarstwa sztalugowego i stawia problem jak stworzyć warunki życia mala-

rzom w kraju, gdzie nabywcą jest państwo wyłącznie, gdzie zakupy stają się z natury rzeczy obowiązkowo filantropijne, mechaniczne (obrazy do piwnic Ministerstwa Kultury i Sztuki), gdzie nie ma możliwości znalezienia nabywców prywatnych z powodu zbyt niskiego standardu życiowego wszystkich.

Joanna Guze pisze o skrajnej nędzy młodych malarzy w Polsce, wobec której mit nędzy Van Gogha ,,wygląda prawie komicznie'', bo przecież miał brata, który mu posyłał farby, a sam zaś tak mieszkał, że jeszcze Gauguina mógł do siebie zaprosić.

Odruchowo porównałem sytuację malarzy w Kraju z rzeczywiście tragicznym losem malarzy na Zachodzie.

Jestem przekonany, że bardzo wielu z nich powodzi się materialnie również nieskończenie gorzej niż Van Goghowi i równie źle jak artystom w Polsce. Jakie artysta ma tu plusy? Istnieje tu przecież możliwość pomocy prywatnej. Wielki mecenas był i jest zawsze czymś tak rzadkim, że nie wiem czy warto o tym mówić. Ale jest walka kierunków, ożywiająca i płodna, stwarzająca autentycznych zwolenników i przeciwników malarza, jest to co mi powiedział jeden z polskich malarzy: ,,umrzeć możemy jak chcemy i nikt nas tutaj instrukcjami i naukami nie *bakieruje''*. Malarze, którzy doszli tutaj do sławy i pieniędzy, nawet Picasso — przechodzili okresy wielkiej nędzy. Ta nędza innych nie opuszczała do śmierci, ale nikomu z nich nie przychodziło do głowy, że nie jest artystą wolnym. Ginęli tu malarze dla wielu powodów: bo jest ich za dużo (mówi się zawsze o cyfrze 30 do 40 tysięcy), bo nie mieli talentu i przy malarstwie się upierali (nie tylko bywają grafomani ale także i pędzlomani), bo mieli więcej niż talent: mieli swoją odrębną *wizję* świata i byli *odpychani*. Narzucić wizję to proces skomplikowany, nieraz trwający lata. Nie wierzę, by taki Buffet dziś był brany poważnie, przez kupujących go na całym świecie, sytych i wytwornych kolekcjonerów, gdyby w pewnym momencie jeden z marchandów Paryża nie puścił w ruch dla niego całej machiny propagandowej. Buffet mógłby i tak ,,dotknąć bruku'' (prędzej posadzek) ale kiedyś w przyszłości, kiedy rosa by mu dawno oczy wyjadła. Może byłby lepszy nawet gdyby nie miał możliwości zamalowywania kilometrów płócien, ale dzieło jego tej miary i tych rozmiarów (a rozmiar tu coś znaczy) co ,,Okropności wojny'' na pewno by wówczas powstać nie mogły. Sukcesy takich ludzi jak Derain, Rouault, Picasso czy Sutin to zwycięstwa na polu usianym trupami kolegów. Ta zdarta metafora wydaje mi się tutaj najzupełniej ścisła. Obojętność, ślepota społeczeństw wobec wysiłku ludzi o własnej wizji, spokój z jakim te społeczeństwa dają im ginąć — jest zagadnieniem wiecznym. Cóżby się stało z Gierymskim gdyby nie Abakanowicz.

Na terenie paryskim Stanisław Grabowski jest dziś na pewno jednym z paru najwybitniejszych artystów polskich, nie tylko na emigracji. Najdelikatniej wrażliwy na kolor — ten malarz

ulegał przed wojną przeróżnym wpływom, jak zresztą każdy z nas, ale wówczas wiązać go można było chyba najbardziej z nurtem Dufy'ego : lekkość, arabeska, fantazja, świeżość i duża kultura malarska. W ostatnich latach zaczynał być coraz szerzej znany i uznawany w Paryżu. Wystawiał w najlepszych galeriach. Parę jego płócien zakupiły kolekcje. I w tej chwili właśnie dotknęło go nieszczęście. Niecałe dwa lata temu ten człowiek pełen życia i energii dostał wylewu w mózgu i jest dzisiaj na wpół sparaliżowany. Wnuk Konstancji Gładkowskiej, pierwszej narzeczonej Chopina, syn urzędnika w Libawie, trafił do Paryża poprzez lata dzieciństwa spędzone w Rosji i pierwszą młodość w wolnej już Warszawie. Gdy przybył do Francji w 1927 roku, został już tu na stałe. Wracał do Polski na krótko by urządzać swoje wystawy u Garlińskiego i w IPS'ie. Robił na mnie wówczas zawsze wrażenie malarza-poety. Z rozwianą blond-czupryną, nie chodził a latał. Zawsze mi się zdawało, że ma gdzieś skrzydła ukryte. Entuzjastyczny, niezmiernie wrażliwy, nie lubił mówić o swoich zmartwieniach. Nie miało się nigdy wrażenia, by ciągła nędza, w której tkwił, w jakikolwiek sposób podcięła mu morale. Był uparty, gotów na każdą pracę. Tu, z Paryża, coraz to wyjeżdżał to na winobrania, to na pracę w polu, to na statystowanie w filmach, by móc coś zarobić i nie przerywać malarstwa. Do ostatniej chwili przed wypadkiem miał uczucie młodości i pełni sił. Wojna zastaje go na południu Francji. Aresztowany, potem wypuszczony, pracuje na roli, żyje nędznie, dożywia się paczkami ze Szwecji i ciągle maluje.

W roku 1945 cały w sprawach nic z malarstwem nie mających wspólnego, i jeszcze w mundurze, spotykam nagle Grabowskiego w metrze. Jest bardzo blady, już widzę na twarzy ślady zmarszczek i parę siwych włosów. Niesie pod pachą ogromną tekę gwaszy i akwareli. I tu, w metrze, mi je pokazuje. W oczach ten sam upór i w ruchach ten sam rozpęd. W rozmowie z nim miało się wrażenie jakby nie miał nawet świadomości, że była wojna, że są na świecie inne sprawy jak malarstwo. W martwych, które mi wtedy pokazał, uderzyło mnie, że barwa jest tak samo delikatnie wyczuta, ale że elementy konstrukcyjne grają rolę o wiele większą, transpozycja rzeczywistości wydała mi się bardziej zdecydowana i własna. Grabowski miał od tego czasu parę wystaw w Paryżu. Poza obrazami wystawiał również ceramiki : główki, figurki, talerzyki o kształtach i formach nieoczekiwanych. Tu znowu czuć było daleką i rozgałęzioną genealogię od poterie Picassa aż do figurek kreteńskich. Przyszły lata. Nie spotykałem go prawie. Paryż jest wielki. I dopiero teraz odwiedziłem go w szpitalu, jednym z największych, pod Paryżem w Garche, wśród tłumu ludzi o kulach i na wózkach. Miasto chorych. Wyszliśmy w chłodne, wiosenne popołudnie przed szpital. Grabowski powtarzał mi ciągle to samo : „Miałem zrobić coś nadzwyczajnego i nagle wszystko się urwało". Ta myśl wraca ciągle do niego jak obsesja i w głosie jego sły-

chać zdziwienie, skargę dziecka, które skrzywdzono nie wiadomo dlaczego. Przecież żył dla sztuki, tylko dla sztuki, wszystko jej poświęcił. „Już zaczęło mi się powodzić materialnie" — a potem uśmiecha się porozumiewawczo — „naturalnie, tak, na moim poziomie, i wszystko się urwało". Po ataku jeszcze w przeciągu więcej niż roku Grabowski malował i rysował lewą ręką. Widziałem jego ostatnie rysunki z jesieni. Jest w nich takie czucie plastyczne, że nawet kreska węglowa, zalana czerwonym kolorem, jeszcze gra kolorystycznie i ma swój smak. Na grubych kartonach parę martwych, najzwyklejsze przedmioty szpitalne i jeden delikatny rysunek węglem na brunatno zamalowanym papierze „Emmaus". — „Czy ma pan książki", pytam. — „Mam", odpowiada; przynosi mi... „Match" z wielką, kolorową reprodukcją Utrilla. — „Tak lubię Utrilla". Na pożegnanie wciska mi ten „Match", tego Utrilla — w prezencie.

Co miesiąc lekarze pozwalają Grabowskiemu przyjeżdżać na parę dni do Paryża do swej starej pracowni, gdzie wtedy jest pod opieką przyjaciela, malarza abstrakcyjnego — Janikowskiego. Odwiedziłem ich parę dni temu w ich pracowni paryskiej, w domu już historycznym „La Ruche". Głęboko na tyłach Montparnasse'u, który już sam dzisiaj prędzej jest podobny do Pompei niż do dawnego Montparnasse'u „Rotondy" i „Dôme'u" z lat 1920-1930. Ten „ul" to gmach okrągły, dziś niemożliwie cuchnący i nędzny, cały pokrojony jak tort w wąskie trójkąty pracowni. Wątpię, żeby był inny za czasów gdy tu mieszkali Sutin i Chagall, Apollinaire i Cendrars. Tu dopiero mogłem obejrzeć część dorobku artysty. Dziwne wrażenie robi to malarstwo gdy je porównuję z paru malarzami, o których dziś trąbi krytyka światowa. Obrazy Grabowskiego zdają mi się bardziej muzykalne, dyskretniej poetyczne, pozbawione wszelkiej mechaniczności, która tak szkodzi wielkiemu talentowi Buffeta. Drobne sceny, postacie prawie schematycznie narysowane, z plamami czerwieni na tle całej gamy szarości, wielkie martwe: turkusowo-szafirowa, biała i różowa, czy najdelikatniej szara — wszędzie ta niezmienna dyskrecja połączona z bogactwem i gamy barwnej i inwencji.

Kiedy patrzyłem na małe płócienka z paru postaciami-laleczkami, występującymi na tle szarych wnętrz, przypominały mi się obrazy o ileż szczęśliwszego Campigliego. Ale i tu zdawało mi się, że te małe płótna są jakby głębiej i „jedyniej" przeżyte, że mają wyższą qualité.

Nie wiem z kim z malarzy polskich mógłbym go związać. Z Waliszewskim? To Waliszewski bardziej kameralny, cichy, o wiele mniej agresywny. Bardziej jeszcze łączyć go można z Makowskim, w uproszczeniach form Makowskiego i w podobnej subtelności barwnej. Nawet w zachowaniu dzisiaj przypomniał mi Grabowski tego wysmukłego, nieśmiałego samotnika, którego kiedyś odwiedziłem w jego ciemnej pracowni w okolicach Avenue du Maine.

Płócien Grabowskiego jest bardzo niewiele — ależ bo większość tych, które widziałem, to płótna, to kartony malowane po obu stronach i ileż razy zamalowywane dlatego, że na nowe płótno czy nawet karton nie było pieniędzy.

Mimowoli patrząc na te obrazy zbierała we mnie gorycz: „Lepiej być koniem wyścigowym w Polsce niż malarzem" — powiedział w swoim czasie Gierymski. A być polskim malarzem w Paryżu, nie jest lepiej. Grabowski jest jednym z takich malarzy mojego pokolenia, z którym los obszedł się najokrutniej. Jego dorobek nie powinien być zaprzepaszczony, *a według oceny lekarzy przy dobrej opiece możemy się jeszcze spodziewać, że będzie mógł dalej pracować.*

Znam sporo polskich kolekcjonerów. Kupują podkowy Sobieskiego, mapy staroświeckie, portrety historyczne, albo zbierając obrazy mistrzów rujnują się na marne falsyfikaty. Ten gust do kolekcjonowania jest nadzwyczaj czcigodny. Uderza mnie jednak jak mało znam Polaków, którzy chcieliby *ryzykować* kupując malarzy nieznanych, malarzy nie figurujących na giełdzie światowej. We Francji był taki Chocquet, skromny urzędnik, który kupował Cézanne'a. Był doktór Gachet, który leczył Van Gogha, a którego syn parę lat temu złożył królewski dar galerii Luwru (parę przepięknych Van Goghów i Cézanne'ów). Był ten rzeźnik, który kupował nieznanego i biednego Sisley'a, a w Polsce byli przecież lekarze i dentyści krakowscy, dzięki którym w ogóle malarstwo Młodej Polski mogło się rozwinąć. Na pewno, że i tacy są także na emigracji. Ja znam na razie tylko dwóch, to mało: inżynier w Kalifornii i lekarz w Londynie. Wielcy mecenasi, wielcy milionerzy — to marzenie ściętej głowy.

Jeżeli artyści w najcięższych czasach swego życia mogli się utrzymać, mogli pracować — zawdzięczali to przeważnie *przyjaciołom,* którzy interesowali się nimi, kochali ich i kupowali ich obrazy, choćby na raty. Takim sposobem powstały najcenniejsze kolekcje Francji, i tak możemy teraz pomóc Grabowskiemu.

Nie znam ani jednego malarza ukraińskiego na emigracji, któremu by zakupami nie przychodzili z pomocą rodacy z Ameryki (przeważnie księża!).

Piękne płótno Grabowskiego, ulica Paryża, w tonach szarych, perłowych i różowych nabyła „Kultura" i można je w domu „Kultury" obejrzeć. Większość płócien artysty jest w jego pracowni, a w galerii Barbizon na ulicy Saints-Pères można obejrzeć jego rysunki wykonane w szpitalu.

Pomóżmy malarzowi, jednemu z najlepszych którego posiadamy, uratujmy jego dorobek przed zniszczeniem.

Józef CZAPSKI

Jan Łukasiewicz

Śmierć Jana Łukasiewicza okryła żałobą nie tylko naukę polską. Z nim zeszedł do grobu jeden z świetnych umysłów naszego wieku, którego odkrycia zapisane są trwałymi zgłoskami w dziejach myśli ludzkiej. Uczyć się o nim będą przyszłe pokolenia jak uczą się dziś o Bolayiu i Łobaczewskim, odkrywcach geometrii nie-euklidesowych lub o samotnym geniuszu Georga Cantora, twórcy teorii mnogości. Odkrycie przez Łukaszewicza logik wielowartościowych jest osiągnięciem tego samego rzędu i podobnego znaczenia. Bolayi, Łobaczewski, Cantor i Łukasiewicz, każdy we własnej dziedzinie, dokonali swych odkryć przez podanie w wątpliwość prawd uświęconych autorytetem wieków, rzekomo oczywistych i niewzruszonych, pozornie głęboko zakorzenionych w naszej intuicji przestrzeni, stosunku całości i części oraz prawdy.

Lecz zanim wypadnie powiedzieć słów kilka o tym światowym odkryciu, wróćmy na grunt nauki polskiej, by zakreślić w wielkim skrócie dzieło życia Jana Łukasiewicza oraz rolę jaką odegrał w powstaniu i rozwoju nowoczesnej myśli filozoficznej w Polsce. Rola ta była nie mała i zasługi niepoślednie.

Jan Łukasiewicz wraz z swym nauczycielem Kazimierzem Twardowskim oraz jego uczniami, wśród których należy przede wszystkim wymienić Kazimierza Ajdukiewicza, Tadeusza Czeżowskiego, Tadeusza Kotarbińskiego i Stanisława Leśniewskiego, był jednym z najczynniejszych organizatorów studiów filozoficznych w Polsce niepodległej. Dzięki ich wysiłkom badania filozoficzne osiągnęły w okresie kilku lat stan kwitnący, a przez doniosłość swych odkryć, liczbę i świetność talentów, zyskały sławę w całej Europie. W Cambridge i w Oxfordzie, w Paryżu i w Getyndze, w Wiedniu i Zurychu, w Harvard i w Columbii, gdziekolwiek prowadzone były badania nad podstawami matematyki i logiką matematyczną, „sławna szkoła warszawska", jak ją nieodmiennie określano, była gwiazdą pierwszej wielkości na firmamencie mieniącym się w tym czasie od imion wielkich i wybitnych umysłów. Każdy kto miał sposobność zetknąć się bezpośrednio z tym uznaniem, składanym ustami uczonych o głośnych w świecie nazwiskach — niech wolno mi będzie wymienić tytułem osobiście doświadczonego przykładu Borela, Russella, Eddingtona, Hardy i Wittgensteina — musiałby odczuć, jak to było moim udziałem, uczucie dumy i wdzięczności w stosunku do myślicieli i uczonych, którzy otoczyli Polskę blaskiem niepowszedniej i najcenniejszej świetności.

Na osiągnięcia warszawskiej szkoły logiki matematycznej

złożył się wysiłek i praca wielu matematyków i filozofów, lecz jej niewątpliwymi twórcami i czołowymi przedstawicielami byli zmarły przed wojną Stanisław Leśniewski i Jan Łukasiewicz. Logika matematyczna jest młodą nauką, jaka rozwinęła się na przestrzeni dwóch ostatnich pokoleń. Wprawdzie jej początki sięgają Leibniza, ale jego pierwsze kroki na tym polu poszły w zapomnienie. Odkrył ją ponownie w połowie ubiegłego wieku George Boole, a jej najwybitniejszymi przedstawicielami pod koniec XIX i na początku XX wieku byli Frege w Niemczech, Peano we Włoszech, Peirce w Ameryce, Russell i Whitehead w Anglii. Jan Łukasiewicz był pierwszym polskim myślicielem, który jeszcze przed pierwszą wojną światową zapoznał się z logiką matematyczną, znajomość jej w Polsce rozszerzył, sam rozpoczął w niej twórczo pracować i innych do tej pracy zachęcił. Nad wejściem do Akademii w Atenach widnieć miał ponoć napis : ,,Niech nikt tu nie wchodzi, kto nie zna matematyki''. Łukasiewicz u bram wiodących do studiów filozoficznych w Polsce umieścił ostrzeżenie : ,,Niech nikt tu nie wchodzi, kto nie zna logiki matematycznej''.

W znacznym stopniu za sprawą Łukasiewicza badania nad logiką matematyczną wydały w Polsce owoce cenniejsze i obfitsze niż w wielu innych krajach. W Warszawie powstały systemy logiczne przerastające doskonałością i precyzją dotychczasowe systemy logiki matematycznej. W Warszawie rodziła się logika matematyczna jako odrębna dyscyplina i jako najdoskonalsze z dotąd znanych narzędzi badań nad podstawami nauki. Łukasiewicz zyskał sławę najwybitniejszego w świecie znawcy rachunku zdań, który doprowadził do pełnej, niemal ostatecznej doskonałości. Jednocześnie z wielkim matematykiem niemieckim Hilbertem zapoczątkował on nowy tok badań nad logiką matematyczną — metalogikę w której jeden z jego uczniów Alfred Tarski zyskał wkrótce światową sławę.

Wreszcie Łukasiewicz był pierwszym myślicielem, który dostrzegł związki logiki matematycznej ze starożytnymi i średniowiecznymi systemami logiki formalnej, niezrozumianymi przed nim przez wszystkich badaczy świata antycznego. Jego prace w tej dziedzinie były pionierskie i dały w rzeczywistości początki historii logiki we właściwym tego słowa znaczeniu. Do niego nawiązują wszyscy późniejsi badacze historii logiki, wśród których uczniowie i współpracownicy Jana Łukasiewicza zajmują czołowe miejsce w świecie. W pracy ,,Aristotle's Syllogistic from the Standpoint of Modern Formal Logic''', wydanej w Oxfordzie w 1951 roku, Jan Łukasiewicz zebrał plon pracy całego życia nad logiką matematyczną i logiką Arystotelesa dając pełny wykład sylogistyki w nowoczesnej matematycznej postaci. Została ona przyjęta w całym świecie — od Japonii, Nowej Zelandii i Australii, poprzez liczne ośrodki nauki w Stanach Zjednoczonych, do szacownych siedlisk wiedzy naszego kontynentu — jako arcydzieło wiedzy, jasności i precyzji. Przypomniało ono

światu raz jeszcze imię szkoły warszawskiej, która w Polsce po wojnie nie mogła się odrodzić.

Jan Łukasiewicz był czynny również na polu nauk filozoficznych. Jego rozprawa „O nauce" pozostanie w polskiej literaturze filozoficznej jako dzieło klasyczne. Prace nad logiką matematyczną dały Łukasiewiczowi nową miarę ścisłości naukowej, wobec której nie ostała się niezrównana, jak uprzednio myślano, ścisłość nauk matematycznych. Dało to w Polsce, podobnie jak w całym świecie, początek badaniom nad podstawami matematyki, w której Stanisław Leśniewski pozostawił po sobie genialne prace. Łukasiewicz przyłożył nową miarę ścisłości naukowej do wielkich systemów filozoficznych i prób rozwiązania tradycyjnych zagadnień filozofii. Gdy z miarą ścisłości, stworzoną przez logikę matematyczną, rozpatrywał systemy Kartezjusza, Spinozy, Kanta, Hegla, rozsypywały się mu one w rękach, jak to określał, jak domki z kart. „Ich zasadnicze pojęcia", stwierdzał Łukasiewicz, „są niejasne, najważniejsze twierdzenia są niezrozumiałe, rozumowania i dowody są nieścisłe, teorie logiczne, leżące u ich podstaw, są prawie zawsze błędne". Łukasiewicz doszedł do przekonania, któremu dał wyraz programowy w 1927 roku na II Zjeździe Filozoficznym w Warszawie, iż filozofię należy odbudować od podstaw, oprzeć ją o nowe metody logiczne i rozbudowywać metodę naukową. Widział w tym program na całe pokolenia, który wykonać mogą umysły zdyscyplinowane i logicznie wykształcone. Droga do „wielkiej filozofii" wiodła w jego mniemaniu poprzez „małą filozofię", przygotowującą grunt i narzędzia do wielkich systemów i syntez przyszłości. Łukasiewicz nie wyrzekał się podjęcia zasadniczych zagadnień filozoficznych bytu i przeznaczenia człowieka, lecz sądził, iż chwila do podejmowania podobnych prób była przedwczesna. Dlatego sam unikał ogólnikowych spekulacji o złudnej i zwodniczej oczywistości. „Syntezą badań filozoficznych jest system filozoficzny, wszechstronny pogląd na świat i życie", pisał Łukasiewicz w rozprawie, jaką pozostawił w rękopisie. „Systemu takiego dać nie potrafię. Nie wierzę bowiem, by można dziś stworzyć system filozoficzny, który by spełniał wymagania metody naukowej". Łukasiewicz wyjaśniał, porządkował, precyzował znaczenia słów i pojęć, uściślał twierdzenia, pokazywał jak należy myśleć, rozumować i pisać. Każdy kto zetknął się z twórczością filozoficzną w Polsce w okresie między dwiema wojnami, wie o tym, jak potężnie koncepcja Łukasiewicza oddziałała i jak świetne dała wyniki.

Lecz niewątpliwie największym osiągnięciem Łukasiewicza, jakie zapewniło mu trwałe miejsce w historii myśli ludzkiej, było odkrycie w 1920 roku logiki wielowartościowej. Do Łukasiewicza przyjmowaliśmy jako rzecz oczywistą, iż każde zdanie jest albo prawdziwe albo fałszywe, przybierać może jedną i tylko jedną z dwóch wartości logicznych, prawdziwość czy fałszywość. Zasada ta, zwana zasadą dwuwartościowości, nie może być

udowodniona. Można ją tylko przyjąć lub odrzucić. Lecz o jej odrzuceniu nikt nie myślał, gdyż traktowano ją jako prawo myślenia, które jest zarówno oczywiste, jak i konieczne, jeżeli nie mamy uwikłać się w sprzecznościach i niedorzecznościach. Pierwszy Łukasiewicz udowodnił, iż zasada dwuwartościowości nie jest ani oczywista, ani prawem myślenia, iż można ją odrzucić bez popadania w sprzeczność. Obok prawdziwości i fałszywości istnieje przynajmniej jedna jeszcze, trzecia wartość logiczna, przysługująca zdaniom, które nie są ani prawdziwe, ani fałszywe. Jak Łukasiewicz później wykazał, a w tym dziele pomocni mu byli jego uczniowie — Jaśkowski, Słupecki, Sobociński, Tarski, Wajsberg, zbudować można systemy, które obejmują nie tylko trzy, lecz i wiele, a nawet nieskończenie wiele wartości logicznych. Takie systemy są w tym samym stopniu konsekwentne i niesprzeczne jak logika dwuwartościowa.

Trzecią wartość logiczną Łukasiewicz interpretował jako możliwość przysługującą zdaniom, które wraz ze swym zaprzeczeniem w chwili ich wypowiadania nie mają realnego odpowiednika (chociaż mogą go mieć w chwili późniejszej). Nie są one przeto ani prawdziwe, ani fałszywe. Początkowo Łukasiewicz sądził, iż możliwość dopuszcza dwie interpretacje. Możemy bowiem zakładać, iż bądź możliwość nie ma stopni, bądź że ma ich nieskończenie wiele na wzór prawdopodobieństwa w rachunku prawdopodobieństwa. Z tej przyczyny Łukasiewicz początkowo sądził, iż dwa systemy logiki wielowartościowej mają znaczenie filozoficzne, mianowicie logika trójwartościowa i logika o nieskończenie wielu wartościach logicznych (system w którym zbiór wartości logicznych ma moc równą aleph zero).

Ten punkt wyjścia miał poważną wadę, gdyż nie dopuszczał, jak to Łukasiewicz sam pokazał, stworzenia systemu zdań modalnych w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Gdy pod koniec swego życia Łukasiewicz wrócił do tego zagadnienia, znalazł on rozwiązanie gnębiącego go od lat problemu. W pracy „A System of Modal Logic" (Journal of Computing Systems, Vol. I, N° 3, 1953) Łukasiewicz zbudował zaksjomatyzowany i zupełny system czterowartościowej logiki, którego interpretacją jest tradycyjna logika zdań modalnych. Ta wybitna praca jest jednocześnie najlepszą miarą właściwości umysłu Łukasiewicza. Wytrwałość, żywotność, odkrywczość, zdolność odrzucania tez nieprowadzących do pożądanego rezultatu, nie opuszczały go do końca życia, pozwalając mu wyznaczać nowe drogi rozwoju myśli ludzkiej.

Logiki wielowartościowe nie są wyłącznie teoretyczną konstrukcją, interesującą logika lub matematyka. Rozumowania oparte na logice trójwartościowej mają podstawowe znaczenie w analizie determinizmu i indeterminizmu. Logika trójwartościowa pozwoliła Łukasiewiczowi wykazać, iż determinizm nie jest logicznie lepiej uzasadniony niż indeterminizm, co ma miejsce, gdy stoimy na gruncie logiki dwuwartościowej. Logika wielo-

wartościowa jest użytecznym narzędziem w analizie tzw. intuicjonizmu w badaniach nad podstawami matematyki. Nasze tradycyjne rozumienie prawdy ulec musi rewizji, a wraz z nim wiele innych pojęć filozoficznych leżących u podstawy nauk szczegółowych. Czynione są próby stosowania logiki wielowartościowej w fizyce kwantowej. Istnieją nadal niewyjaśnione związki między logiką wielowartościową a rachunkiem prawdopodobieństwa. Jest rzeczą pewną, iż dotąd nie zdaliśmy sobie jeszcze w pełni sprawy z następstw odkrycia Łukasiewicza, tak jak współcześni Bolayia, Łobaczewskiego i Cantora nie rozumieli następstw ich odkryć.

Całe życie Jana Łukasiewicza oddane było nauce i prawdzie. Liczba jego prac w języku polskim, angielskim, francuskim i niemieckim sięga cyfry kilku dziesiątek. W samym okresie od 1946 roku do chwili śmierci, który spędził w Dublinie jako kierownik wydziału logiki matematycznej Royal Irish Academy, wydał prac kilkanaście. Pisał i publikował nieprzerwanie otoczony rosnącą sławą i uznaniem.

Niechaj wolno mi będzie zakończyć nutą osobistą, przeznaczoną dla tych, którzy go znali, szanowali, byli do niego przywiązani i którzy nie mieli możności spotykania go w ostatnich latach jego życia. Jan Łukasiewicz umarł jak Euler. Do ostatniej chwili zachował jasność umysłu i niezwykłą pamięć. Pracował niestrudzenie i innych do pracy zachęcał. Chociaż choroba serca i inne dolegliwości dawały się mu dotkliwie we znaki, zachował spokój, cierpliwość, pogodę i wyrozumiałość. Miał umysł, który rozjaśniał wszystko, czego się dotknął, a tę niezwykłą właściwość opromieniała od wnętrza mądrość i dobroć. Miał głowę mędrca i oczy dziecka, które wzruszały i budziły poczucie wielkości u każdego, kto go spotkał. Wobec przeciwności losu pozostał nieugięty. Wierzył, że szukając prawdy służy najlepiej Polsce i ludzkości. Miał pewność, że siła prawdy niszczy zło i niesprawiedliwość i dlatego tak wielką wagę przywiązywał do myślenia w sposób jasny i ścisły. Był świadomy, iż temu samemu celowi służą jedni w kraju, drudzy na obczyźnie. Dlatego nie znał zwątpienia i rozpaczy. Miał pewność zwycięstwa.

Odszedł od nas umysł potężny, wielkie i pokorne serce, duch niezwyciężony. Jak bohater conradowski, Jan Łukasiewicz szedł za swoim marzeniem, ciągle naprzód. A gdy doszedł do kresu, pozostawił świat bogatszym niż go zastał. Szczęśliwy i niezwykły to człowiek, o którym takie można wydać świadectwo.

Zbigniew JORDAN

Dwie książki, dwie epoki

Czytając prasę krajową, natrafiamy ostatnio na coraz liczniejsze artykuły i wypowiedzi świadczące o tym, że „odwilż" nie jest jedynie słowem marzeniem, ale zjawiskiem idącym z Warszawy na Kraj coraz szerszymi kręgami. Nic więc dziwnego, że w każdej książce szukamy chociażby zapowiedzi owego przedwiośnia, której nie brak w pismach krajowych. Wypatrujemy ze wzruszeniem książek pisanych już z podniesioną głową, z myślą o czytelniku i sławie — a nie jak dotychczas z myślą o cenzorze.

W jesieni 1955 roku ukazały się dwie powieści: „Półchłopek" (*) Kazimierza Koźniewskiego i „Zły" (**) Leopolda Tyrmanda. Obie zasługują na specjalną uwagę, są bowiem wywieszkami krańcowo pojętych estetyk, utworami, na których rozłamuje się współczesna literatura polska tworzona w Kraju. Zajmiemy się nimi po kolei.

Przy czytaniu „Półchłopka", już od pierwszych stron widzimy, że Koźniewskiemu nie idzie bynajmniej o napisanie *przede wszystkim* dobrej powieści, lecz stara się jedynie poruszyć jeden z problemów „ludowego Państwa". Toteż krzywdzilibyśmy autora, przypuszczając iż miał jeszcze inne zamiary.

Swej dwustupięćdziesięciustronicowej książce poskąpił autor treści. Wszystko to powinno było się zmieścić na kilkunastu stronicach, i mogło było stać się dobrą nowelą. O cóż bowiem chodzi w „Półchłopku"?

W jednej z warszawskich fabryk samochodów pracuje brygada szlifierzy Zetempowców. Są to przeważnie młodzi chłopcy ze wsi, z których żaden nie przekroczył dwudziestu lat. Pracują z entuzjazmem, bijąc normy i świecąc przykładem. Nic też dziwnego, że „wróg wewnętrzny", pragnąc sabotować produkcję, stara się o rozbicie tej właśnie grupy.

Pewnego dnia rodziny Zetempowców zaalarmowane zostają telegramami powiadamiającymi ich o śmierci syna, spowodowanej nieszczęśliwym wypadkiem. Wpierw pojedyńczo, na koniec gromadą, rozszlochane i pomstujące chłopki zjeżdżają do hotelu przyfabrycznego, gdzie mieszkają ich synowie,

(*) *Iskry*, Warszawa, 1955, str. 253.
(**) *Czytelnik*, Warszawa, 1955, str. 679.

aby upomnieć się o ciało dziecka. Okazuje się, że synowie żyją, że fabryka nie nadawała telegramów. Pomimo to ów makabryczny żart poderwał zaufanie chłopów do „ludowej władzy".

Artystycznie rzecz biorąc, pomysł jest dobry. Ale autor podał go na schematycznej tacy: młodzi, pracujący do upadłego Zetempowcy, kierownik hotelu, będący przedwojennym konstruktorem samolotów, który nie chce oddać swej wiedzy na usługi „ludowej ojczyźnie", i do tego słucha w nocy „Wolnej Europy", sekretarze partyjni i zebrania, nic tylko zebrania...

Maszyny stają, czas się zatrzymuje, a Zetempowcy w kółko obradują. Bywa nawet tak, że zebranie ich nadawane jest przez głośniki na całą fabrykę, i pochyleni nad maszynami tokarze i strugarze mogą słyszeć rzeczy tak fascynujące jak np.: „kolega Błocisz nie chciał przyjść na to zebranie. Dwukrotnie musieliśmy zbiegać po niego na dół, tracąc w ten sposób cenne dla nas minuty pracy. Czy kolega Błocisz chce nam teraz wyjaśnić?"

Trudno sobie wyobrazić książkę bardziej układną w doborze „konfliktów", trudno o bardziej monotonny przewodnik dla wiejskiej młodzieży po stołecznej fabryce. I nawet płomienne wyznanie autora: „I było niewzruszone poczucie obowiązku wobec ludowej ojczyzny; jego wypełnieniu należało podporządkować wszystko" — nawet to wyznanie nie potrafi przydać rumieńców książce-pogrobowcowi wczorajszej epoki „produkcyjniaków".

◆

Polska Ludowa to nie tylko U.B., PAX i spółka, to nie tylko średniowieczny warszawski barbakan, o którego ukończeniu czytają ze łzami wdzięczności wdowy i starcy, żyjący ze stu dwunastu złotych, rzucanych im hojnie przez „ludową władzę" — Polska Ludowa to również nuda. Nuda przerywana od czasu do czasu kolorowymi kieckami uczestniczek festiwalu, czy ogólnonarodowym sukcesem w mistrzostwach bokserskich.

Ta straszna i upaństwowiona nuda odbiła się przede wszystkim na życiu kulturalnym. Po stronicach socrealistycznych książek, jeszcze wczoraj, przechadzali się kilkumetrowi górnicy, u stóp których czołgał się błagając o litość, inżynier-sabotażysta w grubych, rogowych okularach zagranicznego kroju...

W salonie warszawskich literatów Kruczkowski po mału ale dokładnie porastał spiżem, a Broniewski, szczęśliwy że rewolucja wygniotła w łonie KPP ostatnie żmije, pisał: „Pięknie jest myśleć, że w Moskwie żyje Stalin. Pięknie jest myśleć, że w Moskwie myśli Stalin"...

„Odwilż" zaskoczyła boleśnie wyżej wymienionych patriotów. Niby czereda tłustych much poderwali się znad ludowego żłobu również inni oportuniści. Od dobrych kilku miesięcy, jak Polska długa i szeroka, słychać jak coraz głośniej odpryskuje socrealistyczny lakier...

Różni różnie wykorzystują „odwilż" w polityce kierowania kulturą. Jedni wypominają wczorajszym kacykom rządy żelaznej ręki, drudzy wytaczają im proces, uważając, że sami unikną w ten sposób ławy oskarżonych. Ale najrozsądniej chyba postąpił Leopold Tyrmand. W iście zatopkowych tempie wykorzystał „odwilżowe" ocieplenie i „machnął" prawie siedmiusetstronicową książkę. Niestety „machnął" a nie napisał; miejsca świetne wynurzają się bowiem zbyt rzadko z taniej, przyprawionej łzawym tangiem wiechowszczyzny, abyśmy mogli cieszyć się tą książką „bez ale".

Czytelnicy przyjęli „Złego" entuzjastycznie. Książka została wykupiona i wędruje z rąk do rąk. Ciekawe natomiast są reakcje tak zwanych kolegów po piórze. Owszem, nie przeczą, „Złego" czyta się z zapartym oddechem, akcja jest porywająca, ale „to nie jest literatura". Ten sam recenzent zarzuca Tymandowi odstępstwa od prawdy w malowaniu Warszawy, chwaląc go, kilkanaście linijek dalej za to, że „porzuca realizm i nie krępuje się już żadnym pozorem prawdopodobieństwa".

Okazuje się że zazdrość nie omija nawet naszych klasyków po sześćdziesiątce... bo czymże wytłumaczyć takie zdanie: „Nie róbmyż z tej książki zdarzenia literackiego. Można mieć i takie książki w szafce — ale nie w szafce z napisem 'polska literatura współczesna' ". Czyżby w ocenie „współczesności" nadal obowiązywało kryterium polityczne?

Mało znany, nienotowany na warszawskiej giełdzie pisarz za jednym zamachem wypisał tragiczną egzotykę powojennej Warszawy, ukazał pełną rozkładu lagunę życia i jego dżunglowej moralności, w której rośnie nasza młodzież o oczach czerwonych od wódki, mając cynizm za credo swego pokolenia.

„Zły" jest literaturą, pomimo miejsc słabych, pomimo rażących błędów językowych („spojrzał w tym miejscu nieco zbyt nagle"). Autor wżywa się często do tego stopnia w tworzoną przez siebie akcję, że zapomina się i zaczyna mówić cwaniackim językiem swoich bohaterów, w miejscach najmniej odpowiednich. Pułap myślowy tej książki nie jest też za wysoki, a horyzonty nie sięgają za Anin. Pomimo to „Zły" jest książką napisaną z talentem, książką, która żyje autonomicznym życiem tworu fantazji. Trzeba było bowiem niemałej wyobraźni, aby z ponurych koszar obudowanych kolumnami wywieść Warszawę apaszowskiej baśni, beztroskiego przepychu, neonów i śmiechu — jednym słowem miasto marzeń Tyrmanda nie istniejące na ziemi.

Czy naprawdę nie istniejące? Tu dotykamy problemu złożoności, podwójności budulca powieściowego, którym posłużył się autor. Rzeczywistość dnia i nocy warszawskich przemieszana jest w tej książce z fantazją, i na tym polega osiągnięcie Tyrmanda. Z realistycznymi opisami ruin, czy rusztowań budowy graniczą stronice wspaniałej fantazji, jak np. scena przeglądu świeżo zwerbowanych chuliganów przez szefa najpotężniejszego, warszawskiego gangu, Merynosa.

Nocą, w ogromnej, podziemnej hali jakiegoś wypalonego gmachu, ... „na usypiskach cegieł i kupach szmelcowego żelastwa, wśród zardzewiałych zbrojeń, w spękanych stropach i na spalonych balustradach siedzieli ludzie". Setki mężczyzn. O twarzach oświetlonych trzymanymi w ręku świeczkami. Do nich przemawia szef: „Warszawskie chłopaki!" Jemu, gdy skończy, odpowiadają przeciągłym, rozdzierającym gwizdem chuligani, a potem, w dowód hołdu, rzucają mu do stóp puste, ćwiartkowe i półlitrowe butelki po wódce.

„Wokół Merynosa srebrzyło się coraz więcej szklistej stłuczki. Im więcej butelek lądowało wokoło, tym bardziej gwizd nabierał na dzikości i zapamiętaniu. Stojący w świetlistym otoku wódczanego szkliwa Filip Merynos..."

Miejsc tak sugestywnych i artystycznie celnych nie brak w tej książce.

Tworzą *pendant* do stron, na których żyje Warszawa autentyczna, miasto konkretne, miasto z ludzi i ruin, potem z ludzi zrujnowanych dniem powszednim. Aby ocenić tę możliwość talentu Tyrmanda, rysującego fragmenty życia miejskiego kreską zwinną à la Kostrzewski, wystarczy przeczytać opis warszawskich „ciuchów", placu ze starzyzną.

Fantazja Tyrmanda zaskakuje nie tylko wyolbrzymianiem cech rzeczywistych postaci, bądź rzeczy; autorowi udaje się osadzić w akcji, brutalnej i zakrawającej na bestialską, przerywający ją dialog o... „Ali w krainie czasów" i „Kubusiu Puchatku". Były bokser, jeden z czołowych opryszków, wdaje się z rozmowę ze swą niedoszłą ofiarą gwałtu i oboje dzielą się swymi zachwytami nad bohaterami obu książek. Chuligańska rzeczywistość cofa się przed czystą jak łza fantazją.

Tak, pomimo łatwizn wołających o pomstę, pomimo cukierkowatego, po belfersku „wyjaśniającego" Epilogu, książka Tyrmanda przeżyje swoje socrealistyczne siostrzyce, jest bowiem *pierwszym* zwiastunem literatury, która nie chce *służyć*, lecz istnieć. I jest naraz potrzebna i niepotrzebna, jak obłok, drzewo, czy ptak.

M. PANKOWSKI

Trzecia Rzesza i Żydzi

Przerażenie, jakie ogarnęło świat bezpośrednio po wojnie, po ujawnieniu zbrodni hitlerowskich, popełnianych na Żydach, narodach podbitych i przeciwnikach reżymu nazistowskiego, przyćmione zostało nowymi zbrodniami Moskwy i przytłumione kojącym balsamem, jaki stanowi czas. A jednak zbrodnie te były tak potworne i dotknęły tyle milionów ludzi, że świat o nich zapomnieć nie może. Trzeba je przypominać nie w celu podniecania nienawiści i zadrażnień, ale po to, by działały po wieczne czasy jako przestroga, dla tych, którzy je popełnili lub tolerowali, a również i dla tych, którzy chcieliby w przyszłości wstąpić w ich ślady.

Wielkie uznanie należy się przeto autorom i odważnej, niemieckiej Spółce Wydawniczej „Arami" w Berlinie, za wydanie bogatego tomu „dokumentów i opracowań", poświęconych piekielnej operacji wyniszczenia narodu żydowskiego „in capite et in membris". Dobrze się stało, że praca ta ukazała się dopiero obecnie, prawie jedenaście lat po kapitulacji Niemiec. Perspektywa całego dziesięciolecia pozwoliła na spokojne i rzeczowe podejście do tematu, na opublikowanie w pierwszym rzędzie cyfr, faktów i dokumentów.

Praca Poliakova i Wulfa składa się z pięciu części, noszących tytuły: „rabunek i grabież", „wykorzenienie", „zeznania świadków", „Hitleriana" (czyli perwersje wyniszczenia). Każda z tych części jest poprzedzona

---

Leon Poliakov-Joseph Wulf, *Das Dritte Reich und die Juden*, Dokumente und Aufsaetze, Arami, Verlags-GmbH, Berlin-Grunewald, str. 457.

krótką syntezą lub komentarzem istotną ich treść stanowią dokumenty i fakty. Piąta część pt. „Solidarność i pomoc" jest wymownym dowodem godnego podziwu obiektywizmu autorów, którzy nie wahali się przytoczyć licznych przykładów pomocy, udzielanej Żydom przeważnie z narażeniem własnego życia. Wśród przykładów tej „solidarności i pomocy" spotykamy nie tylko przedstawicieli różnych narodów, nie brak wśród nich również i Niemców.

Wśród pewnych kół niemieckich usiłuje się niejednokrotnie bagatelizować zagadnienie likwidacji Żydów twierdzeniem, że ilość zlikwidowanych była niewielka i że likwidacja ta nastąpiła jakoby „w wyniku działań wojennych". W Bad Woerishofen wychodzi obecnie czasopismo pt. „Die Anklage", będące organem Związku „Der entrechteten Nachkriegsgeschaedigten". Pismo to posiada czelność twierdzić (w dniu 15 lutego 1955) że w ogóle zginęło tylko 365 tysięcy Żydów, z tego na przykład 268 tysięcy na skutek działań wojennych, a tylko 10 tysięcy zostało zgładzonych na skutek szpiegostwa lub sabotażu (!).

A co mówią oficjalne, urzędowe dokumenty organów hitlerowskich?

Weźmy dla przykładu jeden z dokumentów ze zbioru w książce Poliakova i Wulfa. Dokument PS-3868 Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze, zawierający zeznanie Rudolfa Franza Ferdinanda Hoessa, komendanta obozu w Oświęcimiu, w czasie od 1 maja 1940 do 1 grudnia 1943. W tym czasie (rok 1944 nie jest tą statystyką objęty), w jednym tylko Oświęcimiu — według szacunku tego bezspornie autorytatywnego „świadka" — liczba zagazowanych i spalonych Żydów wynosiła, „co najmniej 2,5 miliona". Dalsze 0,5 miliona zginęło wskutek „głodu i chorób". A więc bilans jednego tylko Oświęcimia w ciągu trzech lat i siedmiu miesięcy" to *trzy miliony* Żydów.

Inny dokument tego samego Trybunału (PS-2738) : zauprzysiężone oświadczenie SS-Sturmbannfuehrera Wilhelma Hoettla, przytaczające rozmowę, prowadzoną pod koniec sierpnia 1944 z SS-Obersturmbannfuehrerem Adolfem Eichmannem, szefem oddziału Gestapo w „Reichssicherheitsamcie". Według twierdzenia Eichmanna sporządził on dla Himmlera raport w sprawie likwidacji Żydów. W raporcie tym wymienił Eichmann liczbę około 4 miliony Żydów wymordowanych we wszystkich obozach, 2 miliony zginęły w inny sposób. Himmler był z raportu tego nie zadowolony, ponieważ jego zdaniem — jak twierdził Eichmann — „liczba zabitych Żydów winna być większa aniżeli 6 milionów".

Powyższe „dokumenty" stanowią tylko zeznania zainteresowanych (wprawdzie bardzo kompetentnych) hitlerowców. Omawiana książka zawiera jednak również oficjalny, szczególnie autorytatywny i bezsporny dokument: raport statystyczny, sporządzony na rozkaz Himmlera przez „Statistische Aufsicht im Dritten Reich". Raport ten, zaopatrzony w dopisek „tajna sprawa Rzeszy", nosi tytuł „Endloesung" i zawiera bilans akcji likwidacji Żydów do końca roku 1942. Szczegółowa, przez zawodowych statystyków przeprowadzona, analiza likwidacji Żydów w Europie, sprowadza się do końcowej cyfry 4,5 milionów Żydów, zlikwidowanych przez reżym hitlerowski. Ale likwidacja trwała jeszcze dwa lata a analiza — jak zaznacza wspomniany raport — nie zdołała uchwycić wszystkich zainteresowanych źródeł.

Jeden z autorów książki, Leon Poliakov, przeprowadza wreszcie własną analizę całej tej mozaiki cyfr i źródeł i — powołując się ponadto na opracowanie wybitnego statystyka Jakuba Leszczyńskiego, autora broszury „Bilan de l'extermination" — dochodzi do wniosku, że liczba, zlikwidowanych przez Hitlera do końca wojny Żydów wynosi *co najmniej* 6 *milionów*, to jest 63% całego żydostwa europejskiego. Liczba wytępionych Żydów w Polsce wynosi 85% stanu z roku 1939. Rozmiary tego bilansu uwypuklają się w całej rozciągłości dopiero wówczas, jeśli się uwzględni, że likwidacja objęła prawie wszystkie dzieci żydowskie. W roku 1945 nie było w całej Europie prawie że zupełnie dzieci żydowskich poniżej lat 10.

Trzeba by stronicami całymi przytaczać tekst książki, by dać choć skromny obraz bestialstwa i sadyzmu z jakim akcja eksterminacyjna była przeprowadzana. Przytoczymy tylko parę przykładów.

Książka zawiera np. tekst listu niemieckiej Akcji Zimowej (Winterhilfswerk) w Poznaniu z dnia 16 stycznia 1943, skierowanego do Zarządu Ghetta przy niemieckim zarządzie miasta Łodzi. W liście tym uskarża się Akcja Zimowa na zły stan odzieży, dostarczonej przez zarząd Ghetta na cele pomocy zimowej. Odzież ta jest nie tylko brudna, ale poszczególne części zawierają nadal, mimo chemicznego czyszczenia, plamy krwi lub są zaopatrzone w „gwiazdę żydowską".

Albo inny list: niejakiego Koeltzera z Kalisza (z dnia 22 marca 1943) zwracającego się z zapytaniem, czy nie mógłby otrzymać z zapasów Ghetta taniego zegarka dla swego syna, powołanego do Luftwaffe!

Warto wreszcie przytoczyć przykłady chorobliwej manii doszukiwania się wszędzie rzekomych pierwiastków i wpływów żydowskich w celu, oczywiście, usuwania ich i ewentualnego likwidowania osób zainteresowanych. Niejaki Gerigk z bliżej nieokreślonego „Amt fuer Musik" zwraca się w dniu 21 października 1944 (!) do „Hauptamt Ueberstaatliche Maechte" w Berlinie z rewelacyjnym doniesieniem, że Beethoven — jak wykazały ostatnie badania archiwalne — zaczynał kilka listów do swego nakładcy Hoffmeistera, słowami „Szanowny Panie Bracie". Zwrot ten nasuwa podejrzenie, że Beethoven był masonem, jakkolwiek dotychczas przypuszczeń takich nie było. „Jaka istnieje możliwość" — zapytuje gorliwy antysemita i antymason — „wyjaśnienia tej kwestii?" Albo list SS-Standartenfuehrera Dr. Koeppena do kierownika instytutu „zur Erforschung der Judenfrage", zawiadamiający instytut o wykryciu, że w muzeum w Wasserburgu nad Innem znajduje się rzeźba, przedstawiająca Chrystusa „całkowicie jako Żyda". Oba listy pochodzą ze zbioru dokumentów Trybunału Norymberskiego.

Czynniki nie należące formalnie do elity hitlerowskiej, usiłują niejednokrotnie uchylić się od odpowiedzialności za zbrodnie, popełniane na Żydach, twierdzeniem, że o zbrodniach tych nie wiedzieli. Argument ten spotykamy szczególnie często w kołach nacjonalistycznych dawnego Auswaertiges Amt i w kołach Wehrmachtu. I pod tym względem praca Poliakova i Wulfa dostarcza mnóstwa dowodów, zadających kłam takim twierdzeniom. Umieszczone są częściowo nawet fotokopie listów policji bezpieczeństwa względnie innych organów SS, adresowane do niemieckiego MSZ, zawierających raporty sprawozdawcze dotyczące likwidacji Żydów. Oczywiście nie potrzeba dodawać, że listy takie nosiły zawsze adnotacje „ściśle poufne" lub „trzymać pod zamknięciem". Obok innych dowodów współ-

uczestnictwa w tępieniu Żydów wymieńmy choćby następujące dwa zdania, wyjęte z rozkazów marszałka Reichenaua i Mannsteina. Reichenau wydał w dniu 10 października 1941 tajny rozkaz dotyczący się zachowania armii niemieckiej na wschodzie. „Żołnierz musi mieć pełne zrozumienie — pisze Reichenau — dla konieczności twardej, ale sprawiedliwej pokuty, nakładanej żydowskim 'Untermenschen'". A Mannstein wyraża się w rozkazie z dnia 20 listopada 1941 jeszcze wyraźniej. „Żydowsko-bolszewicki system musi być wytępiony raz na zawsze".

◆

Ograniczone rozmiary niniejszej krytyki nie pozwalają nam, niestety na przedstawienie licznych objawów sympatii i pomocy, udzielonych przez obce narody i obce zespoły religijne prześladowanym i zagrożonym Żydom. Wśród tych objawów pomocy nie zabrakło także przedstawicieli narodu niemieckiego. Na wstępie książki umieszczono tekst przemówienia, jakie wygłosił prezydent Niemieckiej Republiki Federalnej, profesor Teodor Heuss, w dniu 30 listopada 1952 z okazji odsłonięcia w Belsen koło Bergen pomnika ku czci ofiar niemieckich obozów koncentracyjnych. Dwa zdania tego przemówienia zasługują na szczególną pamięć. Mówiąc o narodach, których ziomkowie znaleźli śmierć w niemieckich obozach, profesor Heuss powiedział: *„Oni nigdy nie zapomną, oni nie mogą zapomnieć tego, co im wyrząrzono. Nie wolno Niemcom zapomnieć, co ich ziomkowie popełnili w tych latach, pełnych hańby"*. A analizując w dalszym ciągu okropności popełnianych morderstw rabunkowych, prezydent Heuss ujął to w słowa, które w wolnym tłumaczeniu brzmiały następująco: *„Nie tylko o mordy chodzi. W istocie rzeczy chodziło o coś innego. Biologiczny prymitywizm półinteligentów wybił się do tego stopnia na powierzchnię życia niemieckiego, że mordowanie stało się* zrutynizowaną *czynnością pedantyczną bez odczucia najmniejszej nawet potrzeby jakichkolwiek, choćby pozornie tylko moralnych, skrupułów. Na tym polega właśnie najgłębsza zgnilizna tego okresu. A nasze zawstydzenie polega na tym, że zbrodnie te mogły być dokonane na ziemi, która dała światu Lessinga i Kanta, Goethego i Schillera. Nikt, absolutnie nikt, nie może nas uwolnić od tego wstydu"*.

St. CZECHANOWSKI

Kulisy wojny

„Człowiek o trzech twarzach" — oto tytuł dany przez autora H.O. Meissnera, historii chyba największej — o ile ocena jest możliwa — ze znanych akcji szpiegowskich przed i podczas drugiej wojny światowej.

Postacią centralną tej akcji jest Niemiec, Ryszard Sorge. Oficjalnie członek partii narodowo-socjalistycznej staje się ideowym komunistą. Przez wywiad sowiecki zostaje wysłany, na kilka lat przed wojną, do dalekiej Japonii, gdzie ogromnie starannie organizuje sieć szpiegowską, podporządkowaną nie cywilnemu, lecz wojskowemu wywiadowi sowieckiemu. Informacje cenne przed wojną światową stają się dla Kremlu bezcennymi podczas wojny. Wpływają one na najważniejsze decyzje Kremlu. Sądząc z tej książki Sorge przyczynił się do upewnienia Moskwy, iż Japonia rusza w kierunku Chin,a nie Związku Sowieckiego, co zadecydowało o przeniesieniu syberyjskich wojsk sowieckich na odsiecz Moskwy i stało się początkiem klęski Niemiec na terenie Związku Sowieckiego.

Sorge poza wieloma cechami, jak zdolności organizacyjne, wybitna inteligencja, zdolności dziennikarskie (był korespondentem poważnej „Frankfurter Zeitung" i innych), odwaga, szybkość decyzji i stanowczość — umiał ponadto zdobywać sobie przyjaciół i, mimo niepowabnej zdawałoby się urody, z łatwością zyskiwał względy kobiece. Jeżeli istotnie został powieszony — książka zawiera opis jego kaźni — to skutkiem zdrady kobiety-patriotki japońskiej.

Szereg współpracowników Sorge, różnych narodowością i charakterami, pomaga mu w jego akcji i przeważnie, tak jak on sam, działa z pobudek niematerialnych. Sorge zdradza swą ojczyznę-Niemcy, Ozaki zdradza swą Japonię. Książka ta, poza walorami narracyjnymi, żywością opisów i zwięzłością, może służyć jako ostrzeżenie jak dalece idea komunistyczna może oddalić człowieka od miłości własnej ojczyzny, jak czyni go nieczułym na los własnych braci.

Czemu autor, H.O. Meissner, uważał za właściwe opisywanie zdrady Niemca ?

Czemu autor, dyplomata, syn znanego dygnitarza niemieckiego, który potrafił, mimo zmieniających się okoliczności, w ciągu dwudziestoczterolecia — 1920-1944 — cieszyć się w Berlinie wielkimi wpływami, uznał za właściwe opisywać wyczyny tego szpiega, który być może zadecydował o klęsce Niemiec podczas wojny ? Czy może uważa tę książkę za ostrzeżenie ?

Z uważnej lektury książki Meissnera wynika rzecz szczególnie interesująca dla Polaków,a mianowicie, iż tajne radiodepesze nielegalnie nadawane w okresie przedwojennym i wojennym z Tokio czy innych ważnych centrów Dalekiego Wschodu wpływają na decyzje związane także z Polską.

Może kiedyś badania wykażą czy akcja książki jest tak ścisła historycznie jak się wydaje. Nasuwa się mimowoli porównanie z aferą szpiegowską, znaną pod nazwą „Afera Cicero" (historia akcji szpiega Albańczyka w ambasadzie brytyjskiej w Ankarze) ale mimo całego znaczenia jest ona nieporównanie mniejszej wagi od akcji, na której czele stał Sorge.

Kończąc czytać książkę Meissnera zastanawiamy się czy Sorge istotnie został powieszony ? A jeżeli ocaliły go możne wpływy — gdzie obecnie przebywa i co robi ?

Emeryk CZAPSKI

(*) H.O. Meissner, „The man with the three faces", London, Evans Brothers Ltd., 1955.

Listy do Redakcji

New York, 3 kwietnia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 3/101 „Kultury" na stronie 140-141 przeczytałem w liście do Redakcji A. Korbuta, że on, będąc na początku października 1941 roku w Mińsku, dowiedział się od dr. W. Tumasza, że Bierut „Zwrócił się... do p. J. Stankiewicza, ówczesnego kustosza miejskiego Muzeum w Mińsku, i ten podpisał się na podaniu Bieruta do Gestapo i nakłonił mnie (to jest p. Tumasza — J.S.) do tego samego kroku". Następnie, że po opuszczeniu przez dr. Tumasza Mińska „Na miejsce p. Tumasza p. Stankiewicz znalazł nowego poręczyciela w osobie byłego polskiego starosty p. Demidowicz-Demideckiego, który pełnił funkcje wice-burmistrza Mińska. P. Stankiewicz, znany białoruski „folks-frontowiec" uchronił w ten sposób Bieruta od aresztu i likwidacji przez okupacyjne władze niemieckie".

Oświadczam, że nigdy nie byłem „folks-frontowcem", że podczas okupacji niemieckiej nie byłem w Mińsku do listopada 1941 roku, nie byłem kustoszem miejskiego muzeum w Mińsku, jak również nie zajmowałem żadnego stanowiska podczas okupacji niemieckiej; Bieruta nie znałem, za niego nie ręczyłem, jak również nie namawiałem do poręczenia za Bieruta dr. W. Tumasza i p. Demidowicz-Demideckiego. Nie sądzę, by dr. W. Tumasz udzielił A. Korbutowi powyższych fałszywych informacji. Oczekuję również od p. W. Tumasza sprostowania.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Jan STANKIEWICZ,
były redaktor czasopisma „Vieda".

•

Montreal, 20. 3. 1956.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Małe sprostowanie jednego szczegółu z tak ciekawych „Wspomnień o Ojcu" pióra Rafała Malczewskiego („Kultura" Nr 2/100, 1956 r.). Znajduje się tam takie zdanie:

„Jacek Malczewski nie malował nigdy ryb na talerzu".

Otóż mogę stwierdzić, że właśnie na tryptyku, o którym autor wspomnień mówi trochę dalej i który został zakupiony przez Paderewskiego do jego siedziby Riond-Bosson pod Morges, Jacek Malczewski namalował rybę na talerzu. Na części tryptyku umieszczonej po prawej stronie (tryptyk nosił tytuł „Wilja") siedzi żołnierz: rozmierzwione włosy, zniszczona i nieogolona twarz, podarty i napół rozpięty szynel; przed żołnierzem na stole zbitym z desek stoi talerz z rybą, kawałek chleba i szklanka z jakimś napojem.

Obraz ten pamiętam doskonale. Wiąże się z nim ponadto pewna historia, która może być ciekawa ze względu na osoby biorące w niej udział.

Miała ona miejsce podczas mego pierwszego pobytu w Riond-Bosson. Spędziłem wówczas u pp. Paderewskich wakacje. Wakacje 1914 roku. W połowie lipca, prawie przed samym wybuchem pierwszej wojny światowej, przyjechał tam Roman Dmowski, otoczony wielkim szacunkiem przez wszystkich ówczesnych gości Riond-Bosson.

Jako członek Koła Braterskiego Zetu — organizacji, która tak niedawno zerwała z Narodową Demokracją, przyglądałem się z ciekawością Wodzowi tak potężnego wówczas stronnictwa. Próbowałem z nim dyskutować. Dmowski w wypowiedziach swych był prawie zawsze szorstki. Robiło na mnie wrażenie że rozkoszował się swymi szorstkimi i złośliwymi uwagami. Nie oszczędzał przy tym nawet samej pani Paderewskiej.

Raz wykrzyknął prawie że głośno:

„Ależ to jest nieprzyzwoite!..." gdy posłyszał, jak pani Paderewska opowiada o wizycie w szpitalu u swego pierwszego męża, Górskiego, który wtedy przebywał w Lausannie. „O takich rzeczach nie mówi się głośno!" dodał po chwili.

Kiedyś siedzieliśmy przy stole w sali jadalnej Riond-Bosson. Piękna to była sala: ściana południowa była szklana; widać przez nią było wierzchołki drzew parkowych; park schodził łagodnie do Lemańskiego jeziora. W dali widać było zaśnieżone szczyty Mont Blanc. Rozmowa zeszła na temat nowoczesnego malarstwa polskiego. Pani Paderewska zwróciła uwagę rozmawiających na ów tryptyk Malczewskiego, który zajmował jedną z bocznych ścian sali. Widoczne było, że oczekiwała pochwał. Oboje Paderewscy byli bardzo dumni z posiadanych zbiorów artystycznych.

Dmowski przez chwilę popatrzył na obraz.

„Nie znoszę tego malowidła!" powiedział. „Ten sołdat pijący okocimskie piwo działa mi po prostu na nerwy".

Okocimskie piwo? Przyjrzałem się uważnie tryptykowi i zobaczyłem w szklance szereg drobnych pęcherzyków unoszących się ku górze. Płyn pokryty był cienką warstwą piany i wyraźnie musował. Rzeczywiście mogło to być piwo. Nikt nie odpowiedział Dmowskiemu. Po chwilowym milczeniu rozmowa przeszła na inny temat.

Łączę wyrazy szacunku i poważania

Dr J. PAWLIKOWSKI

◆

Bejrut, 2 kwietnia 1956.

Szanowni Panowie,

W numerze 3 miesięcznika „Kultura" pomieszczona została korespondencja p. Wł. Kwiatkowskiego w której autor pisze, że zadania placówek dyplomatycznych w Watykanie i Libanie znacznie lepiej wykonane zostałyby przez amerykańskie organizacje społeczne Polaków. Ponieważ obawiam się, że autor korespondencji może pozwolić przepaść w niepamięci jakiejś wiekopomnej koncepcji, cieszyłbym się gdyby wyjaśnił mi, *jakie* kompetencje, jego zdaniem, posiadają w ogóle polskie placówki dyplomatyczne, oraz jak sobie wyobraża wykonywanie ich, jak pisze „znacznie lepiej" niż do tej pory, przez organizacje społeczne. Do późnej starości uczymy się, jak wiadomo.

Dziękując za opublikowanie tego listu łączę wyrazy wysokiego szacunku.

Dr. Z. ZAWADOWSKI,
Poseł R.P.

Londyński korespondent „Kultury": Juliusz MIEROSZEWSKI, 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 *strony* 10.000 frs. (*w tekście* + 50%; *okładka* + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt-légal: 2e *Trimestre* 1956.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.& O.)
Telefon : Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata ½-roczna	Prenumerata Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca", Serrano 2076, Buenos Aires	15 peso	90 peso	180 peso
AUSTRALIA: „Vistula" (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: **Julia Barcińska,** r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia Kietlińska,** Av. Batel 1514, Curitiba, Paranà; **Hanna Lekszycka,** r. Guiarà 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella", 12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z., Tel.: 716080	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; **St. L. Lemanski,** 472 Aïkins St., Winnipeg/Man.; **H. R. Radomski,** 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; **St. Zybała,** 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; **„Związkowiec",** 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomosci", Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; **St. Mikiciuk,** (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Łubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève, Tél. 32-32-92	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book C°, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; **W. Bieńkowski, „Gryf** Publ.", 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **L. Dudarew Ossetyński,** 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; **S. Dziarczykowski,** 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; **M. K. Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; **T. Konopacki,** 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; **Ch. M. Kretowicz,** 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; **A. Pleszczynski.** 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; **K. Trojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. **The Polish Book Importing Co, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf" Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 30 frs.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, **Maisons-Laffitte** (S.-et-O.)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 180 frs.